



J. Koszowski 318982

SZKICE I OBRAZKI



SERYA PIERWSZA.

Zeszyt I

WARSZAWA.

NAKLADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGER.

1857.

Cena Zeszytu Kop. sr. 25.

Okladka tymczasowa.

9. 52

83

14/IV 54

600-



474770



UNIVERSITY OF KIELCE



SE RY A P I E R W S Z A

Tom I

WARSZAWA

Wydawnictwo Uniwersyteckiego Instytutu Wydawniczego

1952

Wydawnictwo Uniwersyteckiego Instytutu Wydawniczego

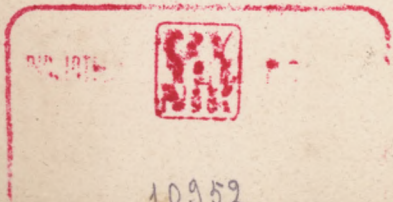
Copyright reserved

OBYWATEL STAREJ DATY W ZIMIE



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 489.

powracający z Kuratów.



10952

OBYWATEL WARSZAWSKI.

Nazwa istnieje, choć rzeczy samej niema. W ogólnym teraźniejszym znaczeniu tego wyrazu, obywatelem warszawskim zowie się ten, który mieszka w Warszawie, tak jak obywatelem wiejskim jest ten, który mieszka na wsi; innego określenia niema. Ścisłe jednak biorąc, właściwymi obywatelami są następcy dawnych mieszczan, i pomiędzy tymi ich szukać należy.

Obywatele warszawscy rozdzielają się na dwie części: jedna która ginie, druga która nadchodzi. Pierwsza traci powoli swoje właściwe cechy, druga nie nabyła ich jeszcze, ale z koniecznej kolei rzeczy przeszłość ustępując miejsca przyszłości, coraz się w ciasniejszym kółku zamyka. Dlatego też i my rozdzielimy obywateli warszawskich na dwie kategorie: na obywateli starój daty i nowój daty:

Obywatel warszawski starój daty.

Stare-Miasto i wszystkie ulice sąsiadujące z tą najdawniejszą częścią Warszawy, są najulubieńszymi jego strefami; tam on mieszka i rad przesieduje. Lubi on te wązkie uliczki, tę woń skór świeżych i korzeni zatęchłych, właściwą owym częściom miasta, te sionki ciemne i wschody ciemniejsze jeszcze, po których on jeden tylko potrafi się bezpiecznie kierować wrodzonym

sobie instynktem, te podwórka tak ciasne a okolone tak wysokimi murami, że nawet słońce zdjęte najwyższą ciekawością zajrzenia co się w głębi nich dzieje, niezdolne tam najmniejszego swojego promienia przecisnąć, lubi odgłos dzwonów z wież kościelnych, gęściej tam niż w którejś innej dzielnicy miasta zaprowadzonych, i nareszcie gwar i ruch staromiejski odbijający od zwykłego warszawskiego życia, jak staroświecka kapota od nowomodnego fraka. Więc też rzadko kiedy i chyba z koniecznej potrzeby, zachodzi on w świeżo powstałe ulice, bo dla niego plac przedzamkowy jest ostatnim krańcem miasta, jak gdyby brama Krakowska zawsze jeszcze istniała, reszta to już tylko przedmieścia. Na flizy narzeka, że w zimie utrzymać się na nich nie można, a w lecie nogi o nie trzeba sobie pozbijać, nowo urządzone drogi nazywa topielami, a żałuje owych błogich czasów, kiedy ścieki szły środkiem ulic, bo to, powiada, i dla pieszych było wygodniej i dla miasta czyściiej. Są pomiędzy nimi tacy, których nigdy ciekawość nie wzięła zajrzeć do dworca kolei żelaznej, i którzy na wzór Rossiniego, woleliby dać się porąbać w sztuki raczej, niżli wsiąść do wagonu.

Obywatel starój daty jest nabożnym i nieprzezwyjęziony ma wstręt do farmazonstwa przedmieściowych anechrystów. Wszystkie przepisy kościelne wypełnia święcie, wszystkie starodawne śpiewy nabożne na pamięć umie, i nie potrzebuje sobie kupować książeczki z gorzkimi żałami, bo choć je ma w kantyczkowej książce z kwadratowemi nutami przy każdej pieśni, dla formy tylko zagląda do nich. Nie opuści żadnej uroczystości kościelnej, żadnego nabożeństwa czy rannego czy wieczornego, na processjach występuje w świątecznym stroju, chociaż z boleścią serca, że już processje nie odbywają się w rynku staromiejskim. Każdy ważniejszy święty, każdy zaufański patron, każdy dzień imienin lub urodzin znajomych, jest u niego czerwoną lubryką podkreślony w kalendarzu, a kalendarz ów wisi na gwoździu przy oknie ponad staroświeckiem biórkim; jest on podług dawniej formy kwadratowy, ze świętami czerwonym drukiem, wróżbami pogody, sekretami gospodarskimi i koniecznymi anegdotkami. Dlatego obywatel starój daty najwięcej przyczynia się do odbytu wydania *Rodzyna*, który chociaż starozakonny, trzyma się dawnych tradycyj. Z pism perjodycznych utrzymuje on

Kurjerka tylko, i to często na wspólnie z jednym lub dwoma sąsiadami, chociaż i Kurjerek psuje się już i coraz więcej zaraża cudzoziemską mądrością; ale cóż czynić, trzeba coś czytać przecie. W polityce niebardzo obyty i czasem się tylko nią zajmuje, najwięcej się boi Partji Otomańskiej, bo to straszna potęga, a dom Rakuski także w niewielkich u niego łaskach. Resztę biblioteki jego stanowią z książek nabożnych, oprócz prawdziwie znakomitych dzieł treści religijnej, *Starego i nowego testamentu, Żywotów świętych Pańskich, Kazań księdza Skargi, Kompletny zbiór kantyczków, Śpiewnik kościelny*, a przytém niektóre jezuickie lukubracje, jako to: *Strzeliste affekty gorącego serca, Wojsko affektów zarekrutowanych pod sztandar wiary, nadziei i miłości, Pistolet z odwiedzionym kurkiem na zabicie grzechu śmiertelnego i Ścierka na zatkanie gęby heretykom*. Ze świeckich zaś *Historja o Magielonie królowie Neapolitańskiej i o Piotrze rycerzu złotych kluczów, czyli miłość smutną dolą tłuczona po lądzie i po morzu, a potem szczęśliwie uwieńczona w Neapolu; Koloander i Leonilda, książka o dwojgu kochankach związanych serdecznym affektem w trop końcowego uszczęśliwienia*, i nakoniec jako dzieło wiele zdrowych morałów zawierające: *Nieszczęśliwy i w różne boleści wpadający, a potem nagłym trefunkiem uszczęśliwiony człowiek, przetłumaczony z francuzkiego i ozdobiony dwiema rycinami rznietemi na miedzi*.

Strój obywatela staréj daty wyróżnia go odrazu zpomiędzy nowoczesnego tłumu. Jest to coś środkującego pomiędzy kostiumem staropolskim, a dzisiejszem kosmopolitycznem ubraniem. Jest to zwykle niby surdut, niby kapota, koloru granatowego albo zielonego, z wielkim zaokrąglonym kołnierzem i rękawami bufującemi się u ramion. Chustka na szyję w jaskrawe kolory, pomiędzy któremi czerwony dominuje, toż i kamizelka w tęczowe pasy upstrzona. Spodnie szerokie, buty czy zimą czy latem z wysokimi cholewami, bo za nic w świecie ciżemkówby nie ubrał. W lecie czapka sukienna z szerokim rydelkiem, albo zwykła rogatywka, w zimie także rogatywka, ale watowana, wyższa, półaxamitna, stercząca do góry i obszyta czarnym barankiem. W mrozy, zwierchnie jego ubranie stanowi płaszcz watowany z krótką peleryną, albo rodzaj tołuba podszytego barankiem. Futer nie zna, bo to rzecz żydowska i pańska, do kapelusza ma wstręt niezwyknięzony.

Młodszy z pomiędzy nich noszą także i fraki oddzielnego kroju, jest to zwykła kapota tylko z podciętemi połami. Starsi jednak uważają użycie fraka za herezję, przywdziewając w święta i dnie uroczyste rodzaj czamary, z wiszącymi taśmami i wielkimi guzami okrągłymi. W pogodę noszą laskę z rodzimego drzewa z toporkiem stalowym lub drewnianym czarnym kulaskiem, na słotę parasol płócienny, czerwony, fundamentalny, który kiedy deszcz ustaje padać, starannie zwijają i zawiązują tasiemką, bo taki parasol całe życie trwać winien. Wszystkie sprawunki co do ubioru i innych potrzeb, zakupują u znajomych sobie rzemieślników i kupców staromiejskich, którzy jedyni tylko umieją im wygodzić. Żydom rzadko kiedy powierzą robotę, a francuzów i niemców boją się jak ognia, bo to tak zaraz zaszwargocą i omanią człowieka, że nie wie na którym jest świecie.

Mieszkanie obywatela starej daty składa się z jednego, dwóch, najwięcej trzech szczupłych pokoików bez względu na wysokość, owszem, im wyżej tém lepiej. Na progu przybita podkowa dla szczęścia, na drzwiach wehadowych święconą kredą wypisane początkowe litery trzech królów: Kaspra, Maichra i Baltazara, bo to bronie od uroku i złego oka. Mahoń u nich jest rzadkością, farby na posadzkę nie znają, ale wszystko świeci się od czystości i porządku. Meble z drzewa olszowego lub jesionu. Najzdobniejszym sprzętem postawionym w najpokaźniejszym miejscu bywa komoda, na której symetrycznie ustawione filiżanki porcelanowe, a często i srebrne staroświeckie porządki. Biurko wysokie, stojące, ze spuszczać się klapą i kilkoma szufladami, a na niem biblioteka domowa, o której wyżej. Meble pokryte merynosem albo włosienicą, odkrywają się tylko od święta, zwykle zaś owe zbyt kowne obicie zachowane jest od zniszczenia perkalowymi pokrowcami w czerwone albo niebieskie prążki. U zamożniejszych oprócz kanapy i krzesel o niskich poręczach, wychyla dumnie swój grzbiet wygięty staroświecki fotel, pokryty brudną skórą i obity gwoździkami. W bawialnym na ścianach sztychy z wyobrażeniem pór roku, albo też elekcji pod Wolą i śmierci księcia Poniatowskiego, nad kanapą małe w złożonych ramach zwierciadło, poza ramy którego wetknięte bilety z powinszowaniem i girlandy na papierze z wierszami we środku. Zwierciadło to odkrywa się

OBYWATEL STAREJ DATY W LECIE



pielegnujacy ogródek na dachu.

BIBLIOTECA
ANULOWANO
10952

tylko w dni świąteczne, zwykle zaś zasunięte jest szczelnie zasłoną muślinową. W sypialni nad łóżkiem Najświętsza Panna Marya Częstochowska ku powana i poświęcana w Jasnej Górze i obraz patrona. Pod niemi na czerwonej lub niebieskiej materjalnej poduszeczce wisi zegarek srebrny w dwóch kopertach, na taśmie sztucznie z paciorków wyrobionój, a pod spodem krwawnikowa pieczętka z kluczykiem. Na kredens szafa czarna podwójna, a w każde drzwiczki wprawione małe półkole blaszane z dziurkami dla przewietrzenia. Przy każdym oknie jedna albo dwie klatki z ptaszkami, które w lecie umajają się i wystawiają za okno. Nie mniejszą także ozdobę okien stanowią w zimie doniczki z kwiatami, które w lecie przesadzając się w szufladki napełnione ziemią i wysadzone za oknem, stanowią nowy rodzaj wiszących ogrodów Semiramidy. Te ogrody są najmilszą ozdobą mieszkania i rozrywką, z wielkiem też bywają uprawiane staraniem. Drzwi wchodowe od cugu zasłonięte zwykle parawanem, na którym przyklejone starannie całe muzeum rycin ztąd i zowąd wycinanych. Dziwna tam mieszanina: kozak przebija piką Napoleona, a Fryderyk Wielki częstuje takaką elegantkę z *Journal des Modes*.

Obywatel starój daty żyje skromnie, wstaje bardzo rano zwykle ze świtem, kładzie się spać wcześnie. Z rana pija kawę, która powoli zastępuje piwo grzane, herbaty rzadko kiedy używa, chyba od święta. Jada sporo, ale bez nadużycia i to pożywne staropolskie potrawy: bigos, zrazy, groch ze szperką, pierogi tatarskie, kielbasa na kwaśno albo kiszka podgardlana, to jego ulubione przysmaki. Lubi czasem pociągnąć ale tylko w towarzystwie i to w dobrój komitywie. Węgrzyn jest jego faworytalnym napojem, bo miodu trudno już gdzie dostać, win francuzkich, reńskich, hiszpańskich nie zna. Nalewki dla konkokcji żołądka sam sobie sporządza, i *arte* najprzedniejsze ingredjencje dobierać do nich umie. Takie nalewki bywają najczęściej dlań lekarstwem, bo tylko w ostateczności do doktora się udaje. W szafie kredensowój istnieje kompartyment nazwany apteczką i tam owe lekarstwa i posiłki mają naznaczone sobie miejsce.

Oprócz ucziwój i rozważnój rozmowy, która ulubioną jest jego rozrywką, nie odbiega on i od innych zabaw, a temi są najczęściej gra w warcab

lub w karty, czasem w domino. Grywa zwykle o zdrowaśki, czasem o pieniądze, ale to na bardzo małą stopę. Ulubionemi jego grami są tarok, družbart, marjasz, czasem kix, chociaż ten ostatni jest mniej niż inne w użyciu, bo zabardzo podbudza namiętności. Miałem sposobność poznać bliżej jednego z tych ludzi, i opiszę go wam pokrótce:

Zdarzyło mi się raz, a będzie już temu lat z dziesiątek, że w przechodzie przez jedną z ulic do Starego-Miasta należących, zwrócił moje uwagę posąg Matki Boskiej z Dzieciąciem Jezus na ręku, stojący w niszy urządzonej na froncie jednej z kamienic, pomiędzy dwoma oknami pierwszego piętra. Widocznie posązek ten był roboty dobrego rzeźbiarza, ale zbytńia chęć przydania mu ozdób, popsuła go. Suknia Najświętszej Panny Maryi pomalowana była niebiesko w kwiaty złote, na twarzy i włosach także nie szczędzono farby, a jakiś dobroduszny artysta włożył na głowę Najświętszej Panny koronę tekturową czy drewnianą, ze złoceniem, które w wielu już miejscach uległo zniszczeniu. Posązek Dzieciątka Jezus był również jaskrawemi pomalowany farbami, w jednej ręce trzymało Ono palmę zieloną, w drugiej książkę, które to dwa przedmioty wydały mi się tak samo jak korona Najświętszej Panny późniejszym dodatkiem. Matka Boska miała na szyi perły na wstążeczce, Dzieciątko zaś Boże korale na szyi i na rączkach. Pod spodem wypukłemi literami był napis:

Królowo nasza chroń od złego

Ten dom i mieszkańców jego.

Patrzałem się na tę oznakę pobożności tak często u nas w dawnych czasach, tak rzadko pojawiającą się teraz, i nie miałem serca przyganiać uczciwej prostocie, która przez nieświadomość popsuła dzieło sztuki, bo posązek ten mniej piękny artystycznie, niż gdyby był zachował pierwotny kształt swój, zyskał natomiast jakiś urok dziwny, tęsknej poezyi, której źródło bije ze wszystkich krzyżów pochylonych, tak często napotykJających się przy drogach naszych, z obrazów Częstochowskiej wszczepionych w drzewa, ze śpiewów i modłów głośnych serdecznego ludu naszego, co to Boga za Ojca uważa i dziecięcą miłością kocha Go. Gdy mi te wszystkie myśli przesuwaly się przez głowę, usłyszałem nagle głos za sobą:

— A cóż to jegomościulku owo panie, czemu to tak pilnie się przypatrujesz?

Odwróciłem się i ujrzałem za sobą postać, która zdała mi się wciele-
niem mojego ówczesnego marzenia.

Był to staruszek siwiuteńki jak gołąbek, z białym wąsem sumiasto na
dół się spuszcającym, a siwizna ta dziwnie odbijała od twarzy dość rumia-
nej jeszcze i czerstwój, pomimo licznych zmarszczek, które więcej ślady lat
niżeli trosk, niepokojów, chorób, znamionowały. Dzieje przeszłości jego
musiały być jasne i pogodne, jak to słońce co nad nami świeciło, nie dzi-
wota więc że cała twarz, ubranie, wyraz fizjonomii, wierny obraz tej prze-
szłości zachowały na sobie, bo i pocóż mu było ku nowym czasom iść, kie-
dy staruszkowi dobrze było z minionymi latami, a wspomnienia starczyły za
czas obecny, pokrywając go jasnemi barwy młodych jego lat. Zdawałoby
się że czas zatrzymał dla niego szybki bieg swój, że terażniejszość nie ist-
nieje dlań.

Ubrany był w krótką ciemną kapotę, z wysokim płaskim a odwiniętym
kołnierzem, spinaną na haftki, a przepasaną zielonym pasem w centki sre-
brne i złote. Zpod kapoty wyglądało coś nakształt pół żupanika z materji
koloru morderowego, spiętego pod szyją sporym guzem z almantyną opraw-
ną w złoto.

Stał on wspierając się obiema rękami na grubiej sękatěj lasce ze stalow-
wym toporkiem, świecącym od częstego użycia, ze skówką żelazną, do któ-
rój przymocowany był drążek również żelazny ostro zakończony, tak że la-
ska silnie wetknięta w ziemię, mogła stanowić wcale bezpieczny punkt pod-
pory. Głowę pomimo palącego słońca (było to w początkach lipca), miał
odkrytą, a w rękę trzymał czapkę zieloną axamitną, rogatą, obszytą baran-
kiem, która jak na ową porę wydała mi się trochę przecieplą.

Popatrzywszy trochę na tę, nawet w tamtych stronach nie często napo-
tykającą się postać, uchyliłem kapelusza i odpowiedziałem że się przypatru-
ję wizerunkowi Najświętszěj Maryi Panny, który pierwszy raz uderzył wzrok
mój, chociaż niejednokrotnie zdarzyło mi się tamtędy przechodzić.

Stary pokiwał głową.

— Ot co, młodzi terażniejsi,— rzekł niby sam do siebie,—to tylko przez ciekawość się spojrzy, i nie pomyśli nawet że taki konterfekt wystawiony tu dla modlitwy, a nie dla ciekawości.

A odwracając się do mnie:

— Nie dziwota jegomościulu owo panie,— rzekł mi,— żeś tego konterfektu nie dostrzegł jeszcze, bo wam terażniejszym nie w głowie na święte figury patrzeć, a tylko do okien zaglądać, czy się jaki udatny pyziak nie pokaże. Ale oto dziwota jegomościulu owo panie, że kiedy już spostrzegłeś ten obraz i zaczęłaś na niego patrzeć, to nie uchylileś nawet kapelusza, tylko tak stoisz sobie jakby przed *spectaculum* jakim, chociaż to pewno czapkujesz przed lada świstakiem lub damulką co ich spotkasz na ulicy, a przed Matką Boską orędowniczką naszą nie łaska kapelusza uchylić.

Zawstydzili mnie te słowa poczciwego staruszka, i pospieszyłem głowę odkryć, a on tak dalej mówił:

— No widzę jegomościulu owo panie żeś jeszcze nie tak zepsuty jak mi się z początku zdawało, kiedy się sromasz swojego uczynku, i oddajesz winny respekt Matce Zbawiciela. Ale powiedzno mnie acpan jegomościulu owo panie co to porabiasz w tych stronach, bo to tam takie jak wy haleganciki (Bóg widzi że nie zasługuję na ten tytuł) rzadko tu zagładają, bo i cóż mieliby tu szukać dla siebie? a widno żadnej pilnej sprawy nie masz, bobyś nie marnował tak czasu, piekąc się na słońcu przed obrazem — a pewno o modlitwie nie myślałeś.

— Rzeczywiście,— odpowiedziałem,— żadnego interesu nie mam, ale lubię tu zachodzić czasami, bo mi się ta część miasta wydaje bardzo malowniczą i zdaje mi się kiedy tu jestem, że się przeniosłem gdzieś daleko od jednostajnego naszego ruchu i życia.

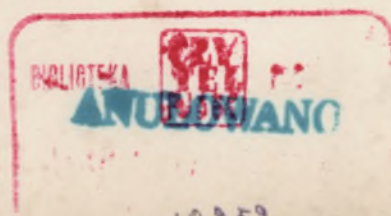
Staruszek pokiwał głową.

— Bo też takie wasze i życie jegomościulku owo panie,— rzekł.— Krećcie się w kółko i szumicie jak muchy w Oleśnicy, huku i puku wiele, a z tego wszystkiego nic, tak że gdyby człowiek nie bał się obrazy Pana Boga, toby powiedział że się teraz na tym świecie jakieś klepki popsuły. Ja tam jegomościulku owo panie, terażniejsze wasze życie niebardzo i znam,

OBYWATEL NOWEJ DATY W ZIMIE



nie wie czy ma iść do krzesel czy do łoży.



10952

bo nie lubię stąd wychodzić za Krakowską bramę (już ona jak wiadomo od kilkudziesięciu lat nie istniała), czasem tylko zajdę tam do jakiego z tamiecznych kościołów, a i tak uciekam spieszno napowrót, bo mi się w głowie kręci od tych wszystkich powozów, krzyków i tego ciągłego hurdu burdu, że aż w uszach szumi.

— To jegomość tu zapewne mieszka?

— A zgadłeś jak raz jegomościulu owo panie, ja z dziada pradziada tu-tejszy obywatel, i posiadacz téj oto kamienicy, przed którą jegomościulu owo panie stoisz. A jeżeli mamy tu rozprawiać pod gołym niebem, gdzie słońce dopieka, to proszę do mnie, jest bo tam chłód przynajmniej i znajdzie się na czém usiąść. A tylko jegomościulu owo panie na wschodach trzymaj się krzepko mojej kapoty, żebyś nie zleciał, jak tu jeden letkiewicz, co to przeszłego roku chciał w moim domu najać mieszkanie, bo w sieni ciemno, a do mnie sami tylko znajomi chodzą.

Poszedłem chętnie za staruszką.

Tak się zaczęła znajomość moja z panem Maciejem Bruzdą, potem odwiedzałem go często i nie żałuję owych długich chwil, które nieraz z nim spędzałem.

Był to jeden z tych ludzi którzy nawet pomiędzy tamtejszymi mieszkańcami stanowią już wyjątek, więc też mało z kim żył, bo jak sam mówił, trudno już było dobrać mu stosownego dla siebie towarzystwa. Dawne czasy lepiej pamiętał niż nowe, i rad rozповідаł o nich, ale wspomnienia jego nie sięgały poza dzieje samejże Warszawy; o tém co w reszcie kraju się działo, wiedział tylko z opowiadań, bo rzadko kiedy zdarzyło mu się wydalić z miasta. Dumnym był ze swojej godności mieszczanina warszawskiego i umiał na pamięć wszelkie przywileje, jakie mieszczaństwu głównych miast naszych w różnych czasach były nadane. W kształt genealogii szlacheckich, utworzył on sobie także drzewo rodu przodków, począwszy od Jana Bruzdy który za czasów Jana Sobieskiego, zakupił kamienicę, której obecnie Maciej był właścicielem. Był to spory arkusz papieru, zapisany od góry do dołu, a wiszący w wielkiem poszanowaniu na ścianie w najpokaźniejszym miejscu, w rami-

kach za szkłem. Tam w adnotacjach i cała historia kamienicy owęj spisana była, wszelkie jej reperacje i przemiany, podwyższenie dawnych opłat i postanowienie nowych, a nawet i o domy okoliczne zatrącono tam nieraz coś. Reszta dokompletowana w kalendarzach, których dokładny zbiór od lat kilkudziesięciu, wspomózony licznemi dopiskami i uwagami, każdego prawie dnia spisywanemi, spoczywał w kantorku pana Macieja.

Maciej Bruzda był wdowcem. Żona po kilkoletniem pożyciu odumarła go jeszcze przed rokiem 1816. Od tego czasu prowadził życie samotne, nie pomyślawszy nigdy o zawarciu powtórnych ślubów.

Bywało kiedy wychodzi na miasto, a zwłaszcza w święta, zawsze ma pełno w kieszeni groszaków i trzygroszniaków. Drobne te pieniądze dostarczał mu kupiec korzenny, który na sklep i mieszkanie najmował cały dół w jego kamienicy, a miał sobie wymówione w kontrakcie, że panu Maciejowi musi codziennie wedle potrzeby drobnych pieniędzy dostarczać. Więc też żadnego ubogiego nie opuścił, ale przed każdym się zatrzymywał, udzielając jałmużny, jeżeli młody, grosz, jeżeli stary albo kaleka, trzy grosze, i polecając jakąś duszę jego modłom. W święta oraz w dniu imienin i urodzin, tak Macieja jak i nieboszczki żony, ubodzy podwójną płacę dostawali. Toż całe żebractwo ze Starego-Miasta znało go doskonale, i kroku bez licznój świty nie mógł się ruszyć. Największy to był wydatek, gdyż zresztą był to człowiek na podziw skromnie i oszczędnie żyjący. Nieraz zdarzyło mi się zrobić mu uwagę, że ten i ów udaje kalectwo albo defekt jakiś, żeby wyłudzić grosz, że pomiędzy prawdziwie ubogimi znajduje się wielu leniwców, którzy nie chcąc pracować, wolą wyciągać ręce po ulicach, a potem pieniądze wyłudzone łatwym sposobem od dobrodusznych, obracają na dogodzenie nagannym nałogom. Ale na to moje przekładanie pan Maciej trząsł tylko głową mówiąc:

— Może jegomościulku owo panie jest w tém co asindziej mówisz i trochę prawdy. Ale nie pocieszyłbym się nigdy, żebym lekając się wyrzucać grosz darmo, opuścił prawdziwie ubogiego. A zresztą wszystko udać można, ale biedy nikt nie uda, a temu co rękę wyciąga, musiała już jegomo-

ściu! owo panie nieźle bieda doskwierzyć. Bo dla czegożby znowu wszyscy ludzie mieli być komedjantami?

Przez cały czas com go znał, na teatrze był tylko dwa razy i to z mojej namowy. Raz z wielką biedą zaciągnąłem go do teatru rozmaitości na *Zemstę* Fredry, bo miał przesąd do tego jak go zwał gmachu marywilskiego, pamiętając i wychwalając dawne Bogusławskiego czasy. *Zemsta* podobała mu się dość, chociaż żadnym sposobem nie mogłem mu wbić w głowę, że Rychter jest młody człowiek. „Gdzieby tam, mówił, wasze młokosy potrafili tak chodzić z powagą i wasa zakręcać? To już darmo jegomościu owo panie, tego się nie nauczy od waszych belferów, co to z niemiecka świat stroją.“ Ale drugi raz trafiliśmy nieszczęściem na jakieś tłumaczenie francuskiej sztuki. Wyszedł w pół widowiska, i długo mi darować nie mógł, żem go do takiego zbereźnictwa namówił. A nie chciał mi nawet powiedzieć co go tak obraziło, chociaż widocznie jakiś *ekiwok* mu się nie podobał, i spluwał tylko wspominając o nim.

Chodził do spowiedzi co miesiąc, bo mawiał kiedy bielizna się zbruka, trzeba ją często prać, bo inaczej nie domyje się jej do czysta, a cóż dopiero z duszą człowieka, która gorzej się bruka od bielizny. A wdziewał na się wówczas co miał najlepszego, bo to, prawik, w odwidziny do lada kogo człek się wyświeża, więc tem bardziej kiedy ma do stołu Pańskiego przystąpić, trzeba dać dowód respektu i konsyderacji. Łatwo zaś było poznać dzień w którym się spowiadał. Miał bowiem starą gospodynię panią Szymonową, od kilkadziesiąt lat u niego zostającą, z którą ciągle był w sprzeczce i nie szczędził jej wymówek. A łącno o lada co wybuchał. Ale w dzień w którym wrócił od spowiedzi, jeżeli mu się jedzenie albo jaki szczegół w gospodarstwie nie podobał, i zaczynał swoją zwykłą reprimandę:

— A to jegomościu owo panie jechał wasanią sęk z takim gospodarstwem, to psu na budę się nie zdało...

Zatrzymywał się nagle i dodawał zaraz:

— Przepraszam was moja Szymonowa, to tylko tak się wypsnęło z predkości, rada gęba że ma co pleść, ale nie uważaj wasani na to, ja wiem

dobrze z przekonania jegomościu owo panie, że jesteście bardzo dobrą kobiciną.

Po dwóch albo trzech dniach jednak zapominał o napomnieniach księdza i gderał w najlepsze.

Raz pamiętam w wielki wpadł gniew. Jakiś jegomość chciał najać na kawiarnię ów sklep, gdzie się oddawna handel korzenny utrzymywał, i ofiarował mu kilkaset złotych na rok więcej. Pan Maciej ani chciał słyszyć o takiej zamianie, ale właścicielowi kawiarni znać miejsce wydawało się dogodnym, bo się upierał przy swoim, ciągle podwyższając cenę. Aż nareszcie stary nie mogąc już dłużej wytrzymać ofuknął:

— Ucz waspan szydłem dzieci kaszę jeść; ja się jegomościu owo panie obejdę bez pieniędzy waspana, a zdrożności w mojej kamienicy tolerować nie myślę. Kiedyś owo waspan dał już swoją duszę czartu na zatracenie, to nie wódz na pokuszenie drugich.

I doprawdy tak się zapalił, że gdyby ów jegomość nie był sam zrejterował z placu, to myślę żeby go za drzwi wypchnął.

Kiedy siadał do stołu, robił na sobie znak krzyża i zęgnął jedzenie, toż samo kiedy wstawał. Posty odprawiał regularnie, chociaż w tak podeszłym wieku mógłby być od nich wolnym, ale mawiał że mu służą na zdrowie. Jeżeli ubogi przyszedł do domu prosić o jałmużnę, to nigdy nie podawał mu jój w sieni, tylko musiał próg przestąpić, bo mawiał że czyniąc inaczej, odpiera się błogosławieństwo Boże, i można się na urok narazić. Z każdego chleba odkrawał kromkę i chował dla ubogich, a nigdy nie zdarzyło mu się odstąpić od tej zasady, bo tym tylko sposobem chleb się szczęści. Miał zawsze w domu kupowane przy różnych uroczystościach kościelnych wodę i kredę święconą, mirrę, palmy i gromnicę. Ulepiwszy sam misternie oprawę do obrazu Matki Boskiej w kształcie ołtarzyka, utrzymywał przed nim zawsze palącą się lampę, i tam odmawiał ranne i wieczorne modlitwy. Miał zawsze przy sobie kilka szpilek, i kiedy spotkał pogrzeb, jedno z nich rzucał na ziemię. Nie pozwolił nigdy pod żadnym pozorem, żeby się trzy świece w pokoju u niego paliły, a nawet kiedy gdzie był w gościnie i to się wydarzyło, zaraz

OBYWATEL NOWEJ DATY W LECIE



73,5 cm

spieszmy do Ostendy a może do Paryża.

BIBLIOTEKA



WARSZAWA

ANULOWANO
1095X

jedną zdmuchiwał. W przepowiednie snów wierzył, bo kiedy, mawiał, prorocy je w piśmie świętym tłumaczyli, to musi w nich być coś. Jeżeli słomka leżała na progu, za nic w świecie nie przeszedł żeby jej nie zdjął, bo tam złe zagnieżdżyć się może. Podczas pełni księżyca nosił w kieszeni kasztany, a przy nowiu strzygł wasy i przesadzał kwiaty w doniczkach. A choć sam mówił że go ksiądz często za różne przesady strofuje, nie mógł się z nich wyleczyć. Dziwna też w nim dawała się widzieć mieszanina prawdziwej i szczerzej nabożności, i dziecinnych zabobonów, nigdy jednak nie kłął, strzegł się nawet wymówić imienia złego ducha, i często unosząc się gniewem, żałował potem swojej popędliwości. Zresztą dużo z tych sprzeczności, które w nim wybitniały, u wielu ludzi tak zwanych starzej daty, najwięcej widzieć się dają.

Są to ludzie pobożni, uczynni, miłośni, sumienni, dopełniający święcie rodzinnych obowiązków, szczerze przywiązani do ziemi, która im była matką i w której kości swoje kiedyś złożyła. Zwyczajów przodków i tradycyj dawnych pilnują święcie i boleją nad tem, że większość coraz bardziej od nich odbiega. Pracując uczciwie przez całe życie, i w podeszłym nieraz wieku odmawiając sobie spoczynku, starają się w Bogu i cnocie wychować dzieci, i z żalem widzą je hołdujące nowym zwyczajom i wymaganiom teraźniejszego świata. Ale liczba ich zmniejsza się coraz bardziej, i teraz rzadko już kiedy da się napotkać czysty typ tych szczątków dawnego warszawskiego mieszczaństwa. Jeszcze kilka lat, a znikną może zupełnie, ustępując tej kosmopolitycznej barwie, która coraz więcej łączy miasto nasze z wielką rodziną europejskich stolic. W Paryżu niszczą już ślad domów i ulic dawnych, bo ci co je zamieszkiwali, dawno zniknęli; u nas domy i ulice istnieją jeszcze, ale dawnych mieszkańców zaczyna braknąć. Tam gdzie było serce, teraz nerwy drgają tylko.

Obywatel warszawski nowej daty.

Są to powiększej części wszystko ludzie nowocześni i tegowieczni, którym nie brakło na sposobności przekonania się jak wysokie znaczenie w teraźniejszym społeczeństwie posiada kapitał, i którzy hołdują temu bożkowi.

uważając go, słusznie poniekąd za dźwignię do wszystkiego. Więc rozdzielili życie na dwie połowy, jedna służy do skrzętnego zbierania majątku, lub zwiększania wszelkimi sposobami spuścizny po rodzicach, druga do korzystania z darów Bożych, i zrównania się o ile możności z najbogatszymi, z najmoźniejszymi, z najszlachetniejszymi (w znaczeniu herbownym) jeżeli nie w sobie, to przynajmniej w dzieciach. Ale w tém właśnie leży nieszczęście. Owe dzieci, wychowane jak paniątka, przyuczane, nakłaniane, przyzwyczajane do pańskiego życia, zazbyt dobrze, zazbyt gorliwie korzystają z nauk udzielanych sobie, i zoczywszy się na czele wielkich nieraz majątków, nie myśląc wcale o pracy, o życiu użytecznym i przydatnym dla społeczeństwa, w nierozsądnej rywalizacji z możniejszymi i wyżej położonymi od siebie, tracą szybko krwawo zarobione fortuny, i po kilku latach wracają do punktu, z którego ich rodzice wyszli — *Pulvis es et in pulverem reverteris* (Proch jesteś i w proch się obrócisz).—Pierwszą cechą wyróżniającą z tłumu obywatela nowój daty, jest to że się otrząsnął z dawnych przesądów, jakieby one nie były. Obecnie nie jest on już takim Wolterjanistą i filozofem, jak przed kilkunastu, przed kilku nawet latami, bo religja stanęła jakoś *à l'ordre du jour* u tych, z których on wzór czerpie i którym dorównać najgorętszym jest jego życzeniem. Ale za to czuje jakiś pociąg do wyobrażeń i obyczajów zachodnich, dyskuruje o nich, i chciałby sam w siebie i w drugich wmówić, że przybrał je, chociaż tyle są one mu znane ile księgi *Hermesa Trysmegisty* uczonym niemieckim, którzy piszą o nich traktaty. Z tychże samych powodów wypływa, że najgorliwiej ściera z siebie starodawne cechy i rdzę zaściankową, o tyle więcej zadowolony, o ile z jego fizjonomji i sposobu życia trudno poznać do jakiego narodu należy.

Obywatel nowój daty nie rzadko mówi po francuzku, chociaż najczęściej źle, ale lubi popisywać się z tym językiem, *bo to w dobrym tonie*. Ci którym szczęście nie posłużyło w tym względzie, i którzy chcąc nie chcąc muszą wyrażać swoje myśli rodzinnym językiem, wynagradzają ten brak dystynkcji, pilnem czytaniem zbieraniny romansów tłumaczonych z francuzkiego na polskie, i uczą się na pamięć *Montechristów*, *żydów wiecznych tula-*

czów i t. p., nabierając z nich wyobrażenia o literaturze francuzkiej. Za niemiecki język więcej pomiędzy nimi upowszechniony, bo to jest mowa w której obrabiają się interesa, ale nie popisują się z nim chętnie. Czytając pilnie Kurjera od deski do deski, krytykują go na głos, że nie jest Europejskim; jako właściciele domów prenumerują gazetę policyjną, a czasem dla formy inne jeszcze jakie pismo perjodyczne, czytając w niem jedynie powieść zamieszczaną w feljetonie. O polityce radzi rozprawiają, i z wielką pewnością siebie porządkują interesa europejskie, chociaż trudnoby im było powiedzieć kto przed Ludwikiem Filipem panował we Francji, albo w Anglii przed królową Wiktorją. Obecnie przy kupowaniu herbaty zbierają bliższe wiadomości o Chinach, bo to jest kwestja dzienna. Zresztą wykształcenie ich naukowe kończy się po większej części na wiadomości, że teraz można koleją żelazną dojechać do Paryża, i że korty i sukna najtańsze są w Niemczech, sér najlepszy w Szwajcarji, a brzytwy najostrzejsze w Anglii.

Ten stan ich umysłowy rozwiązuje nam pytanie dlaczego w kraju naszym w którym sama Warszawa liczy przeszło 180,000 ludności, tak mało jest czytających; oprócz bowiem Kurjera który jak mówiłem stanowi wyjątek, i czytelnia niedzielnej, która wabna taniością zastosowana jest do wszystkich pojęć, prenumerujących inne pisma perjodyczne zbierze się hurtem zaledwie 3000, a kupujących książki nie wiem czy do czterechset należy. Toż samo można powiedzieć o dziełach sztuki i pracach artystów naszych, zaledwie kilkudziesięciu się znajdzie, którzy je kupują z prawdziwego amatorstwa, reszta żywi się po tandetach i licytacjach kopjami za liche pieniądze nabywanemi. Za to handle mebli, sklepy z towarami galanteryjnemi, warsztaty krawców i modniarek, słowem wszystkie przedmioty służące do powierzchownego błyszczenia i urządzania domów na *przywoitą stopę*, prosperują, i obawiają się tylko współzawodnictwa z przemysłowcami zagranicznymi, bo u wielu obywateli nowój daty, okazuje się rok rocznie gwałtowna potrzeba wód, i zmusza ich do jechania za granicę dla ratowania drogiego zdrowia.

Obywatel nowój daty uczęszcza do teatru i na koncerty, ale największym jest lubownikiem sztuk gimnastycznych, akrobatycznych, hecarskich,

czarodziejskich i t. d. W ogóle co się tyczy widowisk publicznych zasadą jego jest iż lepiej śmiać się niż płakać, bo życie ludzkie mieści i tak trosk i smutków niemało, po cóż więc jeszcze przysparzać je sztucznemi sposobami. A w śmiechu nie wybredny, zadowolni go kompletnie lada farsa, byleby tam pobłaznowano trochę, o resztę mu nie idzie. Do salonów muzykalnych uczęszcza, bo tam bywa cały świat, nie można się więc odróżniać. W zimie bywa na wieczorach i wydaje je u siebie, starając się zawsze o *przyzwoity dobór towarzystwa*. W tym względzie stanowią tylko wyjątek tancerze, bo tych trzeba brać z kądem można. Mieszkanie ma urządzone na wielką skalę, ekwipaż jest u mego błogiem uwieńczeniem marzeń, a służbę i niższych z góry traktuje. W lecie, jeżeli niema dóbr własnych, albo nie wyjeżdża za granicę, wysyła żonę i dzieci pod Warszawę na letnie mieszkanie, których się w ostatnich czasach wiele namnożyło, a sam dojeżdża do nich o ile mu pozwalają interesa i sprawy sercowe, bo i tém nie gardzi.

Do dzieci trzyma metrów prywatnych, guwernerów i guwernantki, i największem jest dlań szczęściem, jeżeli syn albo córka potrafią mówić językiem którego on sam nie rozumie. Będąc obeznany z interesami i sposobem robienia i utrzymania majątku, mniej dba o wzwyczajenie dzieci do pracy i potrzebnych zajęć, byleby tylko nauczyły się dobrego tonu i znajezienia się w świecie. To też jak powiedziałem na płodny grunt spada to ziarno i zwykle nadspodziewanie bujne wydaje owoce.

Obywatel nowój daty jest zbiorem sprzeczności, zachodzi w nim ciągła walka pomiędzy tém czém jest, czém go Pan Bóg stworzył, a tém czém chce być albo przynajmniej wydawać się. W gruncie może dobry i uczciwy, jak większa część tych co w naszym kraju się rodzą, albo zamieszkawszy tu stale przyjęli choć w części szczerą polską naturę, sam w sobie psuje to zbarwienie usposobienie i dobre instynkta, starając się ucywilizować i ukształcić światowo. A złe to szkodliwe samo w sobie, gorsze daleko w skutkach, bo następujące po nim pokolenia, silne przykładem i zachętą, coraz bardziej odrywają się od świętych tradycji, przygłuszając zdrowe zboże na téj ziemi wyrosłe, plewami i kąkolem, które nam wiatr zachodni przynosi. Bo dobre trzeba z trudem wyszukiwać, a złe samo się przyczepia.

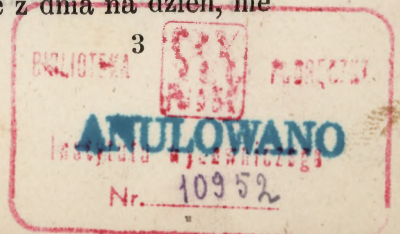
S O L E C.

Przedmieście Warszawy.

W Warszawie istnieje osobna zupełnie część miasta pod nazwaniem Solec. Jestto właściwie ulica ciągnąca się wzdłuż brzegów Wisły od Tamki, a łącząca się z Czerniakowską, poniżej dolnej drogi wiodącej do Łazienek Królewskich, zwykle jednak oznaczają tém mianem całą połąć brzegów Wisły, ciągnącą się naprzeciwko Saskiej Kępy aż do Belwederskich rogatek.

Położony u stóp wzgórza, na którym szeroko rozsiadła się stolica Mazowsza, oddzielony od reszty miasta po większej części ogrodami albo placami pustemi, żyjąc w sobie i z siebie, i rzadko komunikując się z arystokratycznym sąsiedztwem swoim, Solec zachował oddzielną zupełnie fizjonomję, która pośród tych wszystkich zmian i przeobrażeń jakim Warszawa uległa, pozostała zawsze taż sama i nieodmienna. Jest on niejako częścią portową Warszawy, tam mieszka i żyje wszystko co ma styczność z Wisłą, tam jest główny punkt zborny tak zwanój czeladzi Nadwiślańskiej, składająć się z przewoźników, orylów, wyrobników, drwalów, posługaczy szlacheznych, todreśników, fajeryków, i całej téj gawiedzi o silnych barkach, krzepkiem zdrowiu, a niezmordowanój pracy, która żyje z dnia na dzień, nie

Zeszyt II.



oglądając się na jutro, nie troszcząc się o lepsze czasy, ani też rachując na nie.

Domów murowanych niewiele tam znajdziesz, tem bardziej kilkupiętrowych kamienic. Są tam wprawdzie niektóre większe gmachy, bo nie licząc tylnych zabudowań Młyna parowego, Magazynu solnego, kościoła KK. Trynitarzy, gdzie dawniej nawet była przez lat kilka tameczna parafia, i świeżo wystawionych budowli należących do zakładów Żeglugi parowej, wychylają tam jeszcze dumnie świeżo otynkowane swoje gzymsy, mieszkania wzbogaconych handlarzy drzewa i kilku fabrykantów, którzy tam obrali siedzibę swojej działalności; ale oprócz tych świetnych wyjątków, ciągną się tam sznurem domki bez piętra, po większej części drewniane, albo z tak zwanego muru pruskiego, z dachem omszałym, dziurawym i przeciekającym, ze ścianami z których tynk wyleciał, a trzcina wydzierająca się na wolność wieczną walce toczy z wiążącym ją wapnem, z izbami ciemnymi, wilgotnymi i zapadłymi w ziemię, pochylone nad Wisłę i spoglądające na nią z zadumaniem, jak gdyby badając czy prędko wyrwie się z brzegów, by podmyć ich fundamenta, zamulić piaskiem rzeczny izby, powyrywać deski ze ścian i futryny z okien, i zmusić ich mieszkańców do szukania schronienia na dachu, jak to się rokrocznie prawie zdarza.

Tam to zamieszkuje owa ludność, mieszcząc się często po kilka rodzin w jednej izdebce, chociaż wielu jest takich co się wcale bez pomieszkania obywają, zakładając sobie siedziby w lecie pomiędzy szychdami drzewa albo nad brzegiem Wisły, w zimie zaś *pod lasami* (tak się zwą suszarnie gdzie słońce wypalają w browarach), albo przy fabrykach lub składach drzewa, jak kto może, w budzie, w sieni, pod strychem. O przeprowadzanie niema kłopotów, bo każdy z nich trzymając się zasady Talesa, całą swoją własność na sobie nosi, jeżeli zaś się obfitszy jaki zarobek nastęrczy, to tylko pójdzie na korzyść uczciwego szynkarza a zarazem garkuchniarza, który w złych czasach i pokredytuje nieraz. Bo jak powiedziałem, Solec to oddzielne miasteczko, niezależne zupełnie od Warszawy, posiada ono swój własny handel, przemysł i sposoby utrzymania, co się tam na miejscu zarobi, to się

i skonsumuje na miejscu, a wszystko zastosowane jest do zwyczajów i potrzeb tamecznej ludności.

Wielkie miasta europejskie posiadają swoje pory roku (saison), w których życie ich więcej ożywione, silniejszym bije tętnem. Dla mieszkańców solcowych taką porą jest lato. W lecie i łatwiejszy zarobek i troska o utrzymanie życia mniejsza i robota znośniejsza. Bo ileż to się nadarza sposobów zarobienia grosza, tylko wybierać trzeba. Już to przewóz na Wiśle nie ustaje ani na chwilę, bo Warszawa częste miewa komunikacje z Saską Kępą, a i do mostu zdarzy się robota i na Pragę się nieraz zawita, przytém wyładowywanie i zwózka drzewa, układanie i rychtowanie szych, wyładowywanie berlinek i galarów, koło których jednak od czasu zaprowadzenia żeglugi parowej, daleko mniej jest roboty jak dawniej, stawianie i naprawa budynków, nadbrzeżna obsługa, rąbanie drzewa i układanie go w sąźnie, i tysiączne inne sposobności. Ale w zimie cała ta czynność po większej części ustaje. W takim razie zamożniejsi którzy posiadają za kapitał piłę i siekiere, najmują się za drwali, i idą w górne ulice szukać roboty, biedniejsi zaś szukają zajęcia w fabrykach, najmują się do browarów, gdzie za kubek cieńkusz (rodzaj podpiwka powstałego z płukania naczyń gdzie piwo było) i kilka groszy dziennie pomagają w robotach. Dawniej miewali oni zyskowne rzemiosło, najmuąc się żydom defraudantom gęsto rozsiadłym w tamtych stronach, do przenoszenia lub przewożenia na łódkach *todresu* (gorzałka defraudowana). Teraz jednak ze zmianą przepisów propinacyjnych, ustało to już.

Arystokrację pomiędzy nimi stanowią rybacy i przewoźnicy. Są to ludzie po większej części z ojców i dziadów Solca mieszkańcy, a różniący się od flisów i orylów przybywających z galarami i tratwami, całą warstwę oddzielającą stałą ludność stołecznego miasta od przybyszów z prowincyi. Traktują ich zawsze z góry, nazywając chamami, chociaż przy gorzałeczce podochoceni, zapominają swojej wyższości, bratają się z nimi jakoś, bez uwagi na przywileje, jakie im wyższa miejska cywilizacja nadaje. Przewoźnik warszawski zna tę część koryta Wisły, która nasze miasto oblewa, tak dobrze

jak swoje kieszeń, a czasem i lepiej może, bo nieraz w kieszeni nic ciekawego się nie dopatrzy, a nad Wisłą coraz nowe czyni spostrzeżenia. Przybór i opadnięcie wody odgadnie na kilka dni naprzód, i nie potrzebuje żadnych sztafet ani doniesień urzędowych, żeby wiedzieć czego się trzymać w tym względzie. Śmiały jest i odważny do niewierzenia prawie, bo przeprawia się na Wiśle, nieraz w parę dni po puszczeniu lodów, kiedy całe koryto zalegają płynące w szybkim rozpędzie ogromne kawały kry, a jedno uderzenie takiego kawała zdolne jest słabe jego czółenka przewrócić lub roztrzaskać, a wtenczas ratunek bardzo trudny, bo w lodowatej wodzie członki prędko kostnieją, a kra pływaniu przeszkadza. Ci przewoźnicy trudnią się zwykle przeprawianiem na Saską Kępę, lub na tamten brzeg Wisły udających się tam osób albo dążących napowrót, a czółna ich bywają płaskie, najczęściej bez żagli, szerokie żeby o ile możności najwięcej gości pomieścić, z ustawionymi wpoprzek deskami, które służą za siedzenie. Przewoźnik sam siedząc u steru, posługuje się własnymi robotnikami, a najczęściej przysposabia do tego synów, jeżeli mu niebo udzieliło tego błogosławieństwa. Zna on doskonale kontyngens ludności odwiedzającej Saską Kępę, i nie omieszkuje zachęcać do przeprawy wszelkiego rodzaju sposobami, których skuteczność zna.

-- Panowie, mówi on do młodych ludzi, jeżeli jacy przechadzają się nad brzegiem, niech panowie siadają do mojego czółna, polecimy jak ptak, a śliczne panny już pojechały. Ja sam przewiozłem ich trzy przed godziną, takie wyalagantowane że choćby łyżką jeść, a do Antkowej krypy wsiadło tego aż pięć, co jeszcze kwiczały jak prosięta, kiedy się krypa na bok przechyliła, bo ten Antek niezdarą nie umie nawet porządnie od ładu odbijać.

— Niechno panienska wsiada na mój statek, tu bezpieczniej jak na moście, ani chybnie się nawet, i deski są na dole żeby sobie nóg nie zamaczać. A taka tam siarczysta muzyka i będą tańce, bo Fajwel ze skrzypcami i rudy lcek z tołumbasem pojechali już naprzód. I hecarze są tam także co to butelkę trzymają na nosie. No niech się tylko imość nie wzdraga, trzeba dać dziecku się zabawić, wszak to lato, a gdzież jak nie na Saską Kępę, tam porządne towarzystwo, i huśtawki wszystkie odnowione.

— Fajwlu, chodźta no, pełno już, ale jeszcze na żyda dość miejsca, bo to niechrzczony, to mniej zaważy.

— O! a z jegomościem już tak dawno nie jechałem, a to wstyd nie dać biednemu człowiekowi zarobić na tak ciężkie czasy. A żeby to jegomość wiedział jakiego tam wybornego świeżego bawara wstawili do Stariej Fuch-sowej, a to tam miejsca nie można znaleźć tak się roi ludu. Bo to teraz z bawara to w Warszawie same wybiorki, a co najlepszego to na Saską Kępe.

Najprzebieglejsi z nich urządzają w swoich czółnach tak zwane *wabiki*. Są to postrojone dziewczęta, które oni wynajmują żeby z nimi podróż odbywały. Czasem są to ich własne córki albo krewne, które starają się galantostwo wysztafirować. Jeden i drugi znęcony widokiem pięknej towarzyski, myśląc zrobić łatwą znajomość i znaleźć towarzystwo i rozrywkę, siada na czółno, i zajechawszy na Saską Kępe widzi ze zdziwieniem, jak panienki odbijają od brzegu napowrót do Warszawy razem z przewoźnikami.

Podczas przyboru wody, albo zaraz po puszczeniu lodów, zarobek daleko obfitszy, chociaż przeprawa staje się nieraz niebezpieczną. Ale przewoźnik dodaje ducha i ręczy za wszystko. Podług niego wypadki zatonięcia są to bajki, które sobie wymyślili ludzie, żeby mieć o czém drukować. Na Wiśle nikt nie zatonął, chyba ten co chce koniecznie, a i tak musiałby chyba iść na odludne miejsce, żeby nie było żadnej krypy u brzegu. Ale za to w szyneczku wieczorem, kiedy się przychodzi łyknąć na odpoczynek po pracy dzienniej, co to tam dziwnych historii o zatonięciach, topielcach, topielcach, załamaniu się lodu i t. p. Jest tam i wiele prawdy, ale przewoźnik ma trochę natury strzeleckiej, łże jak najęty, a jak jeszcze podpije, to mu to idzie tak gładko, jakby nigdy w życiu nic innego nie robił.

Przewoźnik nie cierpi statków parowych, dopatrując w nich jakiegoś współzawodnictwa, chociaż statki parowe nigdy się przewożeniem od jednego do drugiego brzegu nie trudnią.

— To niemieckie wymysły, mówi on, sprowadzili je tylko tu na to, żeby biednym ludziom chleb odebrać. Albo to się zda na co? Kiedy woda opadnie to stoją sobie w kącie ze spuszczonego nosem, i tylko szorują a ma-

lują, malują a szorują, niby to na malunku świat stoi. A moje czółno choć nie pomalowane, to tak sunie wiatrem, że tylko im się w oczach mignie. A więcej dymu jak czego; jak się tego tałałajstwa namnoży, to tak nam zakopca Wisłę, że Bożego świata nie ujrzy na wodzie, i wszystkie ryby pozdychają.

Więc też jak się jaka szkoda wyrządzi statkowi, to nie tają swojej żywej radości.

— No, okulawiał bestyjnik, niechże teraz posyłają po niemieckiego felczera, żeby mu te jego trajkotki porychtował.

Przewoźnicy noszą zwykle długie juchtowe buty na parcianych spodniach, kamizelkę sukienną granatową, kurtkę zdjętą z rękawów, a zwieszoną na ramieniu, którą kładą w krypę kiedy trzeba wiosłem robić, rękawy od koszuli zakasane, i niski słomkowy kapelusz z okrągłym rondem. Są to ludzie zwykle samsonowskiej postawy, śmiałego wzroku, rozmowni i poufali do każdego. Pamiętają swoich gości, i kogo już raz przewozili poznają od razu. Nie lubią pomiędzy sobą przybyszów, i wymyślają z pogardą na małe czółenka, które stają z nimi do współzawodnictwa. Poczciwy to jednak lud, bo w przypadku ratunek z nich pewny, i nieraz na największe się niebezpieczeństwo narażają żeby ocalić tonącego, i to najczęściej bezinteresownie. Z powodu ciągłego prawie przebywania na wodzie, i narażania się na niewygody i zmiany powietrza, wódka stała się dla nich konieczną potrzebą, wątpię więc czyby towarzystwo wstrzeźliwości miało pomiędzy nimi wielkie powodzenie. Ale przewoźnik choćby się nie wiem jak zataczał na lądzie, kiedy stanie nogą na łódce już jest pewnym swego i można mu śmiało ufać, że nie pokpi sprawy. Znałem jednego z nich, który często ze mną jeździł, a u którego pijaństwo stało się stanem normalnym. Nigdy go inaczej nie widziałem, a zawsze powoził jak najdoskonalej. Raz tylko pamiętam chcąc użyć przejażdżki wodnej, zastałem go trzeźwym i wydawał mi się zakłopotanym, jak gdyby się wstydził, że odstąpił od zwyczajnego trybu życia, a ja wsiałem na inne czółno, bo się lękałem naprawdę przypadku. Przewoźnikowi trzeźwemu niema co dowierzać, bo może mu się bardzo łatwo zawrócić w głowie.

Nie wspominając o rybaku którego typ bardzo jest podobnym do przewoźnika, często bowiem te dwie godności bywają połączone z sobą, tak jak obywatel i urzędnik, przechodzę odrazu do nadwiślańskiej czeladzi, w której jak powiedziałem przewoźnicy stanowią arystokrację.

Ta czeladź niema swojego wyłącznego zatrudnienia, sąto najemnicy dzienni, którzy każdej podejmują się roboty. Żydów pomiędzy nimi jest nie mało, a nawet dowiedziona rzecz, że żyd skorszy do roboty i więcej ciężarów zniesie i więcej zarobić potrafi. A trudno uwierzyć nawet, jak ta ciągła praca fizyczna pomimo lichego pożywienia wzmacnia siłę, a nawet krzepi zdrowie. Pomędzy tymi najemnikami znałem ludzi, którzy dwa korcowe worki zboża nieśli na plecach i to po wschodach na piętro, beczkę pełną piwa z największą łatwością ująwszy ją palcami za wązkie brzegi podnosili na wóz, a nawet spore czółna wyjęte na brzeg dla naprawy podejmowali z ziemi, i przewracali bez żadnej pomocy. Trzeba widzieć jak kilku z nich za pomocą drągów obracają i toczą ogromny kloce drzewa ważący nieraz kilkadziesiąt centnarów, jak te kłocę układają w wysokie szychty, bez pośrednictwa żadnych machin, a tylko za pomocą drągów i krzepkich ramion.

Jeden z pomiędzy nich nazwiskiem Jan Fal, próbował się przed kilkunastu laty na scenie teatru warszawskiego z herkulesem Dupuis'em, który ogłosił nagrodę dla tego co go powali na ziemię. I Fal byłby niewątpliwie otrzymał zwycięztwo, gdyby Dupuis nie wziął się na sposób, i nie żądał żeby nadwiślanin ubrał się w trzewiki teatralne, zamiast grubych butów juchtowych, w których zwykle chodził. Fal żadną miarą zgodzić się na to nie chciał, wolał odbyć próbę siły boso, a z tego powodu niepewnie trzymając się na nogach, obalony został podstępem, chociaż sam Dupuis przyznał się potem poufnie, że Fal silniejszy od niego.

Ubrania tych ludzi opisać trudno, bo malowniczy w niem panuje nieład. Najczęściej czy zimą czy latem niema odmiany w ich stroju, bo na kozuch barani ową ochronę od mrozów klass niższych rzadko którego stać, a choćby i zarobił tyle, to woli przepić, bo gorzałka lepiej grzeje od kozucha.

Sąto po największej części szcztaki wszelkiego rodzaju ubiorów, z ostatniej już ręki, w których trudno kształt pierwotny rozpoznać. Podziurawione sukmany, stare płaszcze żołnierskie, czapki z naderwanym daszkiem, buty pozatykane słomą żeby woda do nich nie dochodziła, koszule obrukane tak, że dawniejsi Zaporozce z zawiesiaby na nie spoglądali, stanowią tam tło główne, na którym mnóstwo ubocznych rozwija się epizodów. Niektórzy z nich, i ci stanowią pomiędzy nimi klasę najbardziej demokratyczną, ubrani są w stare worki od zboża i chmielu, sporządzone z rodzaju bardzo grubego płótna zwanego pospolicie *weretą*, i dlatego towarzysze ich nadają im pogardliwe miano *wereciarzy*. A krawiec do tych ubrań niewiele kosztuje. Pospolicie za pomocą kozika dziurawi się spód, po bokach wycinają się dwa otwory na ręce, a sznurek związany koło szyi i w pasie, dopełnia symetrycznie ubrania. Taki worek służy zarazem za koszulę, surdut i płaszcz, nieraz nawet za spodnie i za buty, ku czemu wielkie przysługi oddaje szpagat, obwiązujący go naokoło ciała. Zbytncy na zimę przywdziewają dwa worki, zamiast jednego, a wykwintnisie doszywają sobie rękawy z tegoż samego materiału, zwykle bowiem rękawy odłączane bywają od całości, gdyż jest to daleko wygodniej i prościej.

Sposób pożywienia najemnika nadwiślańskiego jest bardzo uproszczonym, byleby było kilka groszy na wódkę, o jedzenie nie dba, wszystko mu jedno co pod ząb weźmie. Błogą dla niego epoką jest panowanie cholery, bo wtenczas nawpół darmo można dostać ogórków kwaszonych, które stanowią bardzo delikatny dlań przysmak, a i gruszek także się coś ochapi; ciepłe mięso jest dlań bajecznym przysmakiem, obywa się bowiem zwykle pewnym rodzajem bardzo tanich kiełbasek, sporządzonych ze krwi i tłustości, a ser i kawałek śledzia służą mu za deser. Niektórzy z nich mają żony i dzieci, chociaż o małżeńskich i rodzicielskich stosunkach bardzo słabe mają wyobrażenie. W takich stadłach każde ze swojej strony musi zarobić, a żywi się jak Bóg da, najczęściej schodzą się tylko na nocleg, do ciasnej izdebki jakiego dworka, gdzie dwie lub trzy rodziny leżą pokotem. Kobiety zajmują się do różnych robót, dzieci najczęściej chodzą na żebraninę, albo

żywią się opatrnością Boską. To też wiele z nich wymiera, a wiele na wierutnych wychodzi łotrów. Największa jednak część czeladzi nadwiślańskiej żyje w stanie kawalerskim, bo w takim razie nie potrzebują się troszczyć o mieszkanie, wszędzie im dobrze.

Będzie temu ze dwa dziesiątki lat, sływał tam pomiędzy innymi *Józiek Kołtun*, tak nazwany z powodu dziwnie postrzępionej i skudłowanej czupryny, której się nigdy nożyczki, tem bardziej grzebień ani szczotka nie dotknęły. Ta czupryna najwygodniejszem była dlań nakryciem głowy w lecie, bo go ochraniała od słońca, w zimie zaś, bo deszcz i śnieg spływały po niej, nie mogąc przemoczyć gęsto pokręconych i zbitych włosów. Nigdy też prawie nie używał czapki, chyba na bardzo wielkie mrozy, a wówczas ta czapka którą sam zwykł był sobie sporządzać, składała się z kawała starego kozucha baraniego, skórą do środka a wełną do wierzchu odwróconego, tak że podwójnie usprawiedliwiając jego przydomek, wydawała się ona jakby kołtun na kołtunie obsadzony. Jego wyznanie wiary tak było znane pod tym względem, że czapka Józka stanowiła jakby rodzaj termometru dla nadwiślańskich okolic, i widząc go z daleka, mieszkańcy tameczni prawili:

— Oj źle, zima będzie ostra, bo Józiek w futro się ubrał.

Był on wzrostu niewielkiego, ale zsiadły i barczysty, co usprawiedliwiało siłę jego olbrzymią; ręce miał niezwykle długie a dłonie i palce ogromne, jakby usposobione do dzwigania ciężarów.

Twarcz jego była summum brzydoty, całkiem zarosnięta, chociaż się goilił dwa razy na miesiąc, ogorzała od słońca i wiatru, czyniła go podobnym raczej do jakiego mulata, niżli do mieszkańca naszej strefy; oczy miał małe i czerwone, skutkiem przesiadywania zimą w miejscach zadymionych, a usta dziwnie wykrzywione, co się najbardziej kiedy mówił uczuć dawało. Więć też kiedy przechodził, mali wisusi uliczni których jak powiedziałem mnóstwo się tam uwija, śpiewali mu zwykle:

Józiek Kołtun z krzywą gębą

Jego dzieci takie będą.

Ale Józiek stoicznie znosił przymówki, naprzód dlatego że ktoby się mścił nad takim tam robactwem, powtóre że o dzieci swoje najzupełniej był bezpiecznym, jak mawiał, wolno tylko się żenić przewoźnikom i żydom, bo ci starczą na utrzymanie żony i dzieci: przewoźnik zarobi a żyd wyszachuje, ale człowiek ubogi co mu tam potem, i tak ciężko wlec na świecie własną biedę, jeszcze żeby się żona i dzieci miały przyplatać.

A jednak Józiek jako przemytnik todresu, dopóki nowe urządzenia gorzelane nie wyszły, miał swoje świetne czasy, a nawet był raz bogatym, a stało się to w następujący sposób:

Pewnego dnia a było to w lutym, wybrali się obaj z Jankiem Nochalą po todres dla Jankla, co go to miał im dostarczyć karczmarz z drugiej strony Wisły. A byli ubrani obaj w dostatnie stare szyniele żołnierskie z wyprutym kołnierzem, co im je Jankiel na podróż dostarczał, a potem sam zdejmował z nich i chował do skrzynki, aż się druga podróż nadarzyła. Pod płaszczami temi można kilka pęcherzy pochować, i niewiele ich nawet znać było.

A istniała wówczas na Saskiej Kępie karczma, tak zwana karczmą todreśników, bo tam była ich główna schadzka, i ztamtąd to najwięcej wódki defraudowanym sposobem przeprawiało się do Warszawy. Todreśnicy chodzili zwykle bandami w kilku lub kilkunastu dla dania oporu strażakom, ale Kołtun i Nochal obaj tęgie chłopcy, a tacy zuchwali, żeby się samego djabła nie ulękli, puszczała się we dwóch albo w pojedynkę, i zawsze jakoś dawali sobie rady.

Obaj todreśnicy przebawili cały dzień w karczmie, gdzie im darmo jeść i pić dawano. Kiedy noc już zapadła na dobre, a było ciemno że choć oko wykół, Mosiek Rudy właściciel owej karczmy w której bawili, wyniósł z piwnicy dwadzieścia pęcherzów przysposobionych do drogi, to jest napełnionych wódką i obwiązanych krzepko szpagatem. Każdy z todreśników obwiązał sobie cztery takie pęcherze około pasa pod płaszczem, po sześć zaś związanych razem przewiesili sobie przez plecy na mocnych rzeźmiach. W ręku trzymali grube laski okute w żelazo dla podpory i obrony, a nawet natarcia w razie potrzeby.

Rudy Mosiek przeprowadziwszy ich za karczmę, polecił im ostatecznie pośpiech i ostrożność.

— A pewny tam dziś lód?—zapytał—bo to od kilku dni odwilż, a już wczoraj nie pozwalano przejeżdżać furom.

— Lichać tam pewny—odpowiedział Nochal—jakeśmy szli dziś z rana, to czyste góry powznosiło u spodu, i takie szpary że nie przymierzając cały tuzin waszych bachorów zatopićby można, trzeba było przeskakiwać.

— A od brzegu—dodał Kołtun,—to czysta woda nad lodem, i nawet zdaje mi się, że trochę kry już oderwało od ładu.

— No to idźta ostrożnie—dodał Mosiek—żebyśta się nie zatopili z towarem, bo jest go sporo, a wódka teraz droga.

— E!—przerwał Kołtun,—mybyśwa i was panie Mosiek przenieśli jeszcze bez ryzyka, choć to żydostwo tańsze teraz, bo coraz go przybywa, a tak się namnożyło, że już zabroniono tego towaru przewozić do Warszawy, gorzej od wódki.

Rudy Mosiek pomruczał coś pod nosem, i wrócił do karczmy starannie drzwi za sobą zamykając, a todreśnik zadowolony ze swojego konceptu, ruszył w podróż z towarzyszem.

A czas był naprawdę szkaradny, wiatr dał przeraźliwie, wałąc w oczy gęstym a drobnym deszczem, który kłół nieznośnie po twarzy i po rękach, a na dworze tak ściemniało, że drogi trzeba było chyba szukać instynktem.

Jednak todreśnicy szli prosto przed siebie pewnym krokiem, bo obaj tyle już razy odbyli tę podróż, że trafiliby z zawiązanymi oczami.

Gdy wysunęli się z za drzew, które im dotąd rzekę zakrywały, zawidniało trochę i rozsunał się przed nimi cały obszar Wisły, poza którym na przeciwnym brzegu migały rzadko rozsiane światelka Solca i Tamki. Ale nie pocieszający to był widok. Śnieg który z rana jeszcze miejscami lód na środku rzeki pokrywał, znikł już zupełnie, nierówna płaszczyna czerniała przed nimi, miejscami tylko odbłyskując małemi jeziorkami wody tu i owdzie, a plusk deszczu i świst wichru, przerywał od chwili do chwili głuchy łoskot podziemny, jakby grzmot odzywający się gdzieś o sto sążni w głębi. Wprawne ucho todreśników poznało odrazu że to lód tak

pęka, i że lada chwila Wisła puści. Ale co gorsza od brzegów falowała woda, kłębiła się, bałwaniła i odbijając ciągle od powierzchni lodu, oddalonego o jakie parę sążni, odrywała z niego za każdym razem kawały, zabierając je z sobą, i zdawało się że chyba wpływ trzeba będzie tę przestrzeń przebywać.

— Wiecie co Józku—rzekł Nochal cofając się wtył—psia wiara żyd miał rację, może lepiej nie puszczać się nam na Wisłę, bo nie wiada co będzie.

— Ej głupis Janku—odpowiedział Kołtun—albo to pierwszyna nam chodzić po lodzie pękającym, czyś ty nie ochrzczony Nochalu żebyś się bał wody? A tu przejdziem w bród, i do pasa się nie zamoczym nawet, ot patrzaj:

I to mówiąc podgiął płaszcz śmiało, stąpił w wodę i po chwili stanął na lodzie zdrów i cały.

Nochal acz niebardzo chętnie, ruszył za nim.

Szli zwolna macając przed sobą kijami, skręcając tu i owdzie, gdzie lód im się zdawał mocniejszym, i omijając niebezpieczne miejsca jakby instynktem wiedzeni. Często wodę mieli powyżej łydek, ale zbyt dobrze znali Wisłę, żeby się mieli obawiać téj wody co jest na lodzie—nie ztąd bowiem im groziło niebezpieczeństwo.

Tak postępując zwolna a ostrożnie, doszli już blisko brzegu, gdzie się właśnie zaczyna bulwark kamienny, wprost kamienicy Janasza.

— Józku—szepnął pocichu Nochal, zatrzymując się nagle i opierając na kiju—a spojrzyno tam przed siebie, widzisz ot tam na brzegu?

Kołtun przystanąwszy także wlepił oczy w punkt, na który mu Janek wskazywał.

Na brzegu po pod murem kamienicy, migały się jakieś cienie, i widniało światełko jakby od latarni, ale trzeba było bardzo wprawnego oka, żeby rozpoznać w takiej ciemności.

— Strażaki—mruknął Kołtun—bodaj im wątrobą kołem stanęła, jest ich trzech, a widzita i czterech kozaków z nimi. A psie bestje zważali nas, patrzaj ruszają się naprzód, siedmiu na dwóch, zjedz że lichy, kiepska sprawa.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

„Zatruwała mu te uciechy myśl o biednym Nochalu”



BIBLIOTECA



PUBBLICA

ANGONANO

10952

— W nogi!—zawołał Nochal i sunął się lodem wzdłuż brzegu w kierunku dolnej drogi Jerozolimskiej.

Kołtun podążył za nim.

Ale strażnicy i kozaki, jak dobrze powiedział Kołtun, spostrzegli już ich, trzech więc puściło się lodem wprost za uciekającymi, żeby im przeciąć odwrót środkiem Wisły, czterej zaś pozostali, biegli równolegle z todreśnikami wzdłuż brzegu, nie pozwalając im z tej strony szukać ratunku.

Rozpoczęła się tedy zajadła gonitwa. Jedni i drudzy wiedzieli dobrze o niebezpieczeństwie na jakie się narażali, ale Nochala i Kołtuna gnała bojaźń kary, i większa jeszcze obawa dostania się w ręce strażników, których tak znacznie przewyższająca liczba czyniła obronę prawie niepodobną, a którzy zwykli byli przed oddaniem defraudantów w ręce sprawiedliwości, mścić się srogo za utrapienie jakiego ciągle od nich doznawali; strażników zaś i kozaków podżegała i dodawała im odwagi nienawiść, jaką czuli ku todreśnikom, nieopłacającym się im nigdy, a staczającym nieraz z nimi srogie bójki, które się dla niejednego strażnika kończyły na zranieniu, a czasem nawet i kalectwie.

Więc już nie skręcali ani wybierali miejsc bezpiecznych, tylko biegli wprost przed siebie ile im sił starczyło.

Wtém nagle dał się słyszyć silny huk, Nochal biegnący przodem krzyknął, zachwiał się, w jednej chwili lód się pod nim rozstał, a on zsunął się w przepaść.

Kołtun który dążył tuż za nim, miał tyle siły że zatrzymał się jeszcze przed otwartą otchłanią, chciał ruszyć w prawo, ale lód trząskając wokoło, skręcił więc w lewo, tam pozostali czterej strażnicy zastępowali od brzegu, niewiele więc myśląc odwrócił się i z podniesioną pałką rzucił się na tych trzech, którzy biegnąc za nim przystanęli chwilę słysząc lód załamujący się, sądził bowiem że z mniejszą liczbą wrogów łatwiej da sobie rady, i utoruje drogę na przebój.

Zanim się strażnicy opatrzyli, pierwszy z nich uderzony silnie pałką w głowę, upadł jak długi na lód, drugi kozak z dobytym pałaszem chciał mu zabiedz drogę, ale dzielne uderzenie pałki na odlew wytrąciło mu broń



z ręki, w tej samej chwili drugim końcem kija Kołtun huknął go mocno w piersi, kozak padł, a todreśnik przeskoczył przez niego, ale noga mu się pośliznęła, bo lód pokryty wodą bardziej był ślizgim niż zwykle; w tej chwili przypadł pozostały strażnik i pochwycawszy Józka z tyłu za płaszcz, powalił się z nim razem na ziemię. Podczas kiedy się szamotali z sobą, kozak chociaż skaleczony, podniósł się z ziemi i pospieszył na pomoc strażnikowi, zaraz też nadbiegli i tamci z brzoza, nie było już co robić, i Kołtun musiał się poddać w niewolę.

Nie obeszło się tam bez dotkliwych nauk, i wymiaru doraźnej sprawiedliwości, bo strażnicy rozwścieczeni byli tak długą gonitwą i srogim oporem jaki im Kołtun sprawił, zwłaszcza że dwóch z nich było zranionych, kozak bowiem miał piersi zdarte do żywego, a strażnik na którego pierwszego Józiek natarł, pomimo grubo watowanej czapki i skórzanego daszka, otrzymał w głowę głęboką szramę, która go nawet na kilka miesięcy przytomności pozbawiła. Jak było tak było, dość że Kołtun nigdy się nie chwalił jak tam się z nim obeszl, a tym którzy po wysiedzeniu aresztu pytali się go o to, odpowiadał tylko że mogą się sami przekonać, jak się takie sprawy odbywają, jeżeli im do tego przyjdzie ochota. O Nochału zaś nikt już więcej nie zasłyszał, i pewno jego ciało powędrowało gdzieś sobie do Gdańska, wraz z tą wódką której tak Mosiek Rudy żałował że drogo kosztuje.

Kołtun odsiedział w areszcie kawał czasu, ale pomimo usilnych badań, podczas których często przypominały mu się bolesne chwile w których zostawał w ręku strażników, nie chciał żadnym sposobem wyjawić, dla kogo był przeznaczony todres, który prznosił z narażeniem własnego życia. Wszystko na świecie ma swój koniec, a więc i namowy bolesne ustały, i badanie się skończyło, i Kołtun odsiedział cały czas kary, aż nareszcie powrócił w rodzinne strony, zbladły, wychudły, wynędzniały, ale z mocnem postanowieniem jęcia się dalej dawnego rzemiosła, bo wszakżeć nie zawsze odwilż tak gwałtowna, noce tak ciemne i noga się poślizga na Wiśle.



Wdzięczność ludzka nie jest czczym wymysłem moralistów, zwłaszcza jeżeli własny interes i mądre wyrachowanie na przyszłość powoduje tém szlachetnem uczuciem. Więc Jankiel szynkarz chociaż to żyd, a może właśnie dlatego ze żyd, umiał się poczuć do dobrze zrozumianej wdzięczności, bo chociaż Kołtun przerosł todres na jego rachunek, nie wydał go jednak w urządzie, co mogło być Jankla o djabelny skweres przyprawić. Więc ani w czasie badań ani nawet podczas odsiadywania kary, nie odwiedził on wcale Kołtuna, wiedział bowiem dobrze iż to może ściągnąć na niego podejrzenie, ale za to po wypuszczeniu todreśnika z aresztu, ugościł go u siebie, darował mu prawie nowy kozuch, który potem przed nadejściem jeszcze zimy Kołtun jemu samemu odprzedał, i trzydzieści nowych rubelków wyliczył na stole. I niewielka to była ofiara, a Jankiel wiedział dobrze, że te pieniądze nie wyjdą od niego, dopóki bowiem ich starczyło, Kołtun niczem się nie zajmując, pił ciągle i hulał i bonował całemi dniami, a spraszał i traktował wszystkich kto mu się tylko nadarzył, a jeno zatruwała mu całe te uciechy myśl o biednym Nochalu, co tak marnie przepadł ze świata, chociaż także żałował trochę i téj dobrej wódki, która razem z Nochalem zatoneła w Wiśle. I tak się doskonale odpał na tym dobrym bycie, że po dwóch albo trzech tygodniach nie pozostało na nim ani śladu odcierpianej kary; owszem wyglądał jak basałyk, i każdy się dziwował ino jak to Kołtunowi areszt posłużył, że aż innym todreśnikom ślinka szła do gęby, żeby się do kozy dostać.

Ale niedługo trwało to bogactwo Kołtuna, i straciwszy ostatniego rubla, musiał znowu powrócić do dawnego rzemiosła. Wkrótce téż wyszły nowe przepisy gorzelane i todreśnicy nie mając co do roboty, zmuszeni zostali jąc się innego zarobku.

Kołtun straciwszy tak zyskowny sposób do życia, tułał się potem od kąta do kąta, zarabiając po kilka groszy to tu to owdzie środkami jakie powyżej wskazałem, najwięcej jednak słał się po browarach, bo cieńkusz stał się dla niego ulubionym napojem, a że zawsze lubił zalewać gardło, teraz przy ciągle nastęrczającej sposobności rozpił się na dobre, i to go nawet o śmierć przyprawiło, co pokrótce opowiem.

Było to w zimie.

Kołtun opiwszy się cieńkuszowi jak bąk, leżał pod lasami, i w ygrzewając się w tej gęstej a dymnej atmosferze, rozповідаł towarzyszom o dawnych swoich wyprawach, wielkiej sile a odwadze, i czego to on nie dokazywał.

— Tylko nie mań — rzekł do niego Juras jeden z fajeryków (*) — bo w gębie toś chwata.

— A jakby przyszło co do czego, tobyś nawet *katnara* (**) za jeden koniec nie podniósł.

— Co? ja manię! — zawołał rozsierdzony Kołtun — jabym miał *katnara* nie podnieść, a ja wam pokażę że ja cały deptak (***) zatrzymam w biegu.

— Et dziwaczysz — zawołał Juras, — cichobyś lepiej siedział, kto tam zatrzyma deptak co go cztery konie obracają.

— No kiedy tak — rzekł powstając Kołtun — to kto chce się przekonać niech idzie za mną, właśnie deptak wypuszczono w sam czas.

I wyszedł chwiejąc się, bo mu w głowie dobrze czmerało, a kilku fajeryków poszło za nim potrząsając głową i uśmiechając się z niedowierzaniem.

Weszli razem drzwiami od dworu którędy wpuszczano konie; tam przy kole deptakowem było miejsce na kilkunastu ludzi, ale dalej zwiężało się coraz, a o kilkanaście kroków koło obracało się przy samej ścianie.

— Kto chce widzieć niech patrzy — zawołał Kołtun i ujął krzepko za koło deptakowe w pełnym ruchu będące, opierając się silnie nogami w zamiarze utrzymania go na miejscu.

Ale wysilenia jego były daremne, bo nie w mocy choćby najkrzepszego chłopca przeważyć siłę czterech koni. Koło nie zachwiawszy się ani chwilę, porwało z sobą Józka i poszło w dalszy obrot, chwila jeszcze, a jęk głuchy dał się słyszeć, i martwe ciało Kołtuna spadło pod deptak.

(*) Najemnicy browarni zwą się fajerykami.

(**) *Katnar*, duże drewniane koryto do ściekania drożdży, na którym po kilka dużych beczek się układa.

(***) Wielkie koło młyńskie, obracane siłą koni, które przywiązane do belki w mur wpuszczonej i poganiane, depcą ciągle po niem, i tym sposobem ruch mu nadają.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482.

„Szli zwolna po lodzie macając przed sobą
kijami.”

BIBLIOTEKA



POBRODCZY

ANULOWANO

Instytut

10952

Kiedym już wspomniał o żydach, dodać muszę, że stanowią oni znaczną część ludności soleckiej. Najbiedniejsi najmują się do roboty dzienniej, ale dla innych przemyślniejszych i szczęśliwszych, otwierają się tam bardzo korzystne spekulacje. Nie jeden zacząwszy z niczego, zrobił miljony na handlu drzewa, i jest sobie panem całą gębą. Ten bowiem handel po większej części w ich się znajduje rękach. Zakupują oni albo najmują wielkie place nad brzegiem Wisły, gdzie urządzają swoje składy. Znaczniejsi handlarze kontraktują wielkie partje drzewa ze szlachtą oddalonych nawet okolic Nadwiślańskich, które im dostawiane bywają Wisłą. Kolej żelazna bardzo niebezpieczne utworzyła dla nich współzawodnictwo, i z tego powodu trudniej im teraz o towar, a przynajmniej drożej go muszą płacić. Toż samo się dzieje z dostawą w ostatnich latach, o trzykroć wzrosła ona w cenie, i nie tak łatwo jak dawniej handlarzowi zrobić majątek.

Posiadają oni swoich własnych furmanów i najemników. Skoro tratwy przyjdą, wyciągają kloce na ląd za pomocą karów i zwożą powoli na place, gdzie je gatunkują, rachują i układają w szychty. Wylewy Wisły przynoszą im często stratę, ale nieraz i korzyść. Niema siły któraby zdolną była utrzymać tratwę przy lądzie, kiedy Wisła jest w największym rozpedzie swoim. Najgrubsze liny, najcięższe łańcuchy, pękają jak słabe nitki, a ogromne pale do których są przymocowane u brzegu, wyrwane bywają ze straszliwym łoskotem, podobnym do strzału armatniego. Ale co woda z jednej strony odejmie, to nieraz i doda z drugiej. Zdarza się że się złapie cudze drzewo, które z kąci daleka płynie porwane pędem rzeki, a i woda to i owo na ląd wyrzuci. To wszystko ci panowie uważają za prawą zdobycz, a pierwiastkowy właściciel pewno nie przyjdzie upominać się o swoją krzywdę, bo w tych rzeczach trudna kontrola, prawie niepodobna. Pomimo tego jednak procesa wydarzały się niejednokrotnie. Ciekawa jest historia tych handlarzy drzewa, i przetwarzania ich się wraz ze wszystkim co ich otacza, w miarę wzrostu fortuny. Z początku posiadają oni tylko parę furmanek, które najmują do zwózki, chodzą w obszarpanych łapserdakach, żywią się łoszyną i cebulą, i sami pracują z drągiem przy układaniu kłoców. Po dwóch albo trzech latach, najmują już sobie małe podwórka,

gdzie posiadają własną szychtę i budę przy niej, w tej budzie mieszkają i pilnują sami swojego dobytku, wypełniając razem obowiązki handlarza, furmana i stróża. W miarę postępu lat i podwórko rośnie, i sychty się rozradzają, i budka przemienia się w niski dworek i sam handlarz występuje w dzień szabasowy w nowym szlafroku merynosowym, a żona jego w sukni jedwabnej i czepku z kokardami. Kilka lat znowu, a podwórko podrosło w plac wielki i porządnie ogrodzony, dworek zyskał kilka przybudowań i wygląda jak kamieniczka, handlarz przyjmuje stróżów a nawet pisarza, ma coś nakształt kantoru, na głowie jego miejsce po pejsach wyrównane jak najstaranniej, ubiera się z niemiecka, nosi łańcuszek złoty i szpilkę brylantową, a żona posiada kapelusz, salopę atłasową z futrem, zamiast materji morderowej co pod czepkiem naśladować miała włosy, wytargowała sobie peruczkę od fryzjera, ma pierścionki złote i czasem występuje w perłach; synowie chodzą do szkoły, a córki uczą się grać na fortepianie kupionym trafunkiem gdzieś na licytacji. Niech kilka lat jeszcze minie, a zamiast kamieniczki stoi dom piętrowy, w którym sam pan kupiec najpokaźniejsze zajmuje mieszkanie, pani kupcowa jeździ sobie powozem, i bywa po teatrach, koncertach i innych resursach, panny mają dwie guwernantki, mówią po francuzku i angielsku, śpiewają po włosku i tańczą podług najnowszej metody, synowie edukują się po zagranicznych uniwersytetach, a na to wszystko starczy z górą, bo pan kupiec posiada kilka wielkich placów nad Wisłą, napełnionych wszelkiego rodzaju drzewem opałowym, oprócz tego kapitały, nieruchomości w Warszawie, a czasem i dobra, i żyje jak pan, bo co ma sobie żałować.

Nie ganimy tego wcale, chroń nas Boże żebyśmy powstawali przeciw ludziom, którzy własną pracą i przemysłem przychodzą do majątku, lepsze to stokroć niżli wzbogacać się jak to inni czynią za pomocą lichwy na krzywdzie i łzach ludzkich. Dlatego tylko wspominamy o tém, że głównym początkiem i podporą tych wszystkich bogactw, jest uczciwa *czeladź nadwiślańska*, która na własnych barkach pokrytych weretą, wyniosła kupca na ten szczyt wielkości, a teraz zdaleka czapkuje przed tym, z którym niegdys kolegowała i bratała się.

CZERWIEC W WARSZAWIE.

Istnieje w Warszawie plac zwany Krasieńskich.

Plac ten przez cały prawie rok odznacza się pewną powagą, sztywnością nawet. Otoczony dokoła samemi prawie gmachami sądowniczemi, frontem przypadł do senatu, trybunał bokiem mu wychodzi, trybunał handlowy wraz zkontrollą skarbową wzięły go z ukosa, a zawraca się ku apelacji, która z Miodowej ulicy z poza katedry prawosławnej spogląda nań ciekawie. A dobrze mu i użytecznie, że tak zabezpieczył się przodem i oparł się o sprawiedliwość, bo tyły zajęło mu plemię izraelskie, wyprawiając na szczątkach dawnego teatru nowoczesne swoje sceny. I w tych uliczkach co się tam dalej w głąb ku Franciszkańskiej brunatnym rozciągają sznurem, szumi ono i wre i kipi ciągle, obracając cały świat interesów, pochłaniając pół handlu miasta, i czasem tylko w soboty i święta wychylając się obszyte, wyświeżone, przybrane *à la mode*, i zadowolone z cało-tygodniowych zysków, do ogrodu Krasieńskich, gdzie sobie pozwala i herbaty i lodów i cygar i palestyńskich przepychów, i niemieckiej konwersacji, i francuzkiej galanterji, i nawet czasem, bo i czegoż ono nie potrafi, polskiej fantazji.

Takie to są sąsiedztwa placu Krasieńskich, zobaczymy teraz czem on jest sam w sobie.

Przedewszystkiem jest on brukowany jak każdy porządny i szanujący się plac w wielkiem mieście, a nawet co rzadsza dobrze brukowany, bo raz na rok ten bruk odnawiany bywa w wielu miejscach. Odbierając w piękną porę od ogrodu Krasieńskich chłód i świeżość, obdarza go w zamian skwarem i kurzem, na czém jak łatwo pojąć, cały zysk jest z jego strony. Takżé w letnią porę z rana przygrywa mu muzyka wód mineralnych, a przez cały rok dzwonią dzwony, więc na harmonijnych przyjemnościach nie zbywa mu.

Oprócz sklepów sąsiadów nowowiniarskich, gdzie się zaopatrzyć może we wszelkie wygody życia, nie brak mu na możności zaspokojenia innych potrzeb, bo może zjeść śniadanko dobrze oblane u Brylińskiego, popić sobie tradycyjnie dobrą kawą z kilku kawiarni otaczających go, i pojechać na spacer dorożkami, których tam stacja przy odwachu.

A zresztą jest to sobie plac spokojny, porządny i symetryczny w swoich zwyczajach. Zrana chłopki zajeżdżający z drzewem nadają mu trochę handlowej fizjonomji; później nieco poważne postacie sądowe i zakłopotane twarze interesantów, snują się tam codziennie wiecznie jednakim trybem; po południu Warszawa ciągnie w inną stronę, a plac Krasieńskich zostaje się już prawie opustoszałym.

I któżby powiedział że zawsze raz do roku nadchodzi chwila, w której z tego tak małoważnego w hierarchii warszawskiej placu, rozchodzi się na miasto nasze nowy ruch i życie. Tą chwilą jest jarmark wełniany, który tam znajduje swój zborny punkt.

*

*

*

Miesiąc Czerwiec jest tem dla Warszawy, czém wylew Nilu dla Egiptu, użyznia ją, odświeża, bogaci. Oczekiwany on jest z utęsknieniem przez wszystkich, począwszy od panny na wydaniu i kawalera szukającego bogatej partji, którzy nie mogą zostać prorokami w miejskiej swojej ojczyźnie, aż do handlarzy i przemysłowców różnych, przez tych co handlują sercem, przez tych co handlują rozumem, przez tych co handlują sumieniem nawet,



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

**Handlarz drzewa na dorobku
ze swoim pisarzem.**



10952

bo w mieście wszystko na handel idzie. Więc też goście nasi z prowincji znajdują tu na sprzedaż wszystko co chcą, byleby mieli za co kupić. Żaden miesiąc nie liczy tyle uroczystości, tyle zabaw, co Czerwiec, hotele, sklepy, domy, ogródki, widowiska, szczerzej niż zwykle otwierają swoje podwoje, nawet w bieżącym roku kometa na Czerwiec zapowiedziała swoją wizytę, chociaż się nie stawiła na słowie.

Nie przeto chcę tu twierdzić, żeby przez cały rok Warszawa obchodziła się bez odwiedzin naszych braci z prowincji, owszem przybywają oni tu często, przemieszkują nawet stale zwłaszcza przez karnawał, i wcielają się w życie warszawskie. Ale ci wszyscy z małemi wyjątkami, różnią się od gości czerwcowych pod wszelkimi względami.

Obywatele wiejscy zamieszkujący stale to jest przez pewną porę roku Warszawę, należą że użyję tego wyrażenia, do klasy pałacowej. Są to nie mówię potomkowie (bo tych potomków bardzo mało), ale następcy dawniej magnaterji naszej, a przynajmniej pragnący się takimi wydawać. Ponieważ dawniej to co otaczało króla mieszkało w stolicy, oni przeciągają dla siebie tradycję tego stołecznego kółka. Więc na wsi u nich dworek chociażby drewniany, albo jednopiętrowa kamieniczka z muru pruskiego, nazywa się pałacem, lokaj, kuchcik i furman dworem, panna służąca i dwie pomywaczki fraucymerem, słowem wszystko na podobną stopę. A nie bierzcie to za przesadę, bo są jeszcze wprawdzie u nas niektóre rodziny za możne, które mogą i powinny utrzymać dom swój na stopę odpowiednią swojemu rodowi i powodzeniu w świecie, ależ za to ileż to nędzy błyszczącej, ileż to sukien wytartych świecących ostatkami szychowego haftu!

Ta tedy *arystokracja* (jak dziwnie brzmi ten wyraz u nas) zamieszkuje zimą w Warszawie, a w lecie albo na wieś albo za granicę wyjeżdża. Nie wiele z niej przybędzie miastu, bo jako o żyjących nad stan wydatki przenoszą dochody, nie mogą więc dać z siebie ciągnąć zysków owszem samiby urwali, gdyby im się co udało. A trzymają się wyłącznie jednych tylko kółek, nie zlewając się z właściwem życiem miejskiem, bo toby ubliżało ich godności. Więc czy oni są czy ich niema, wszystko jedno dla nas urzędników, bo jesteśmy wykluczeni z ich towarzystwa i tylko potrzebując nas, ra-

czą się z nami zadawać, wszystko jedno dla nas kupców i przemysłowców, bo towary sprowadzają sobie z zagranicy, jako niby to tańsze i gustowniejsze, a w rzeczy dla naśladowania tych którzy im za pierwowzory służą, wszystko jedno dla nas rzemieślników, bo nie wiele robią u nas obstalunków, targują się zajadle i nieraz bardzo długo każą czekać na wypłatę, wszystko jedno dla nas literatów i artystów, bo ani książki ani obrazka od nas nie zakupią, a prenumerowanie dwóch na raz pism perjodycznych, wydaje się im straszliwym zbytkiem, wszystko jedno dla nas wszystkich stałych tutejszych mieszkańców, bo cała korzyść z ich pobytu u nas, że ich powozy brzęczą nam po bruku i że komorne drożeje.

Zresztą są to ludzie którzy po większej części utracili czerstwy pierwotny typ swój szlachecki, a przybrali natomiast bladą i wymokłą miejską powierzchowność. Nie odróżnisz ich od innych mieszkańców miasta, tak jak nieodróżnisz ich od francuza, niemca albo anglika, chociażby tego guwenera, co uczy ich dzieci zamorskich języków.

Inaczej, całkiem inaczej wydają nam się chwilowi goście, którzy w Czerweu nawidzają Warszawę. U nich miasto nie weszło jeszcze w życie, droga do Warszawy jest zawsze podróżą, a Warszawa sama trochę Rzymem, trochę Paryżem, trochę Sodomą, jak kto sobie wyobraża, bo i oni podzielili się już na pokolenia, z których jedne odskakują od drugich w sposobie życia i wyobrażeniach.

Więc przedewszystkiem uderza w oczy stary typ wiejskiego obywatela, który zachował jeszcze nieco z dawnych tradycji. Przyjeżdża on najczęściej w towarzystwie jójmości i córek, które korzystają z tej sposobnej chwili, żeby załatwić mnóstwo sprawunków i potrzeb nie mogących być zaspokojonemi w skromnych powiatowych miasteczkach. A jegomość niema nic przeciwko temu, bo dla niego pobyt w Warszawie nie nastęrczy żadnych zakazanych uciech, któreby starał się ukryć przed żoną, że tam się puknie raz albo dwa w kieliszki, to jeszcze w tém niema nic tak bardzo złego, bo to i na wsi się zdarzy, a jakże tu nie ufetować się, kiedy się zbierze kochane i dobrane towarzystwo.

A rodzina wiezie z sobą po staremu i liczną służbę i potrzeby domowe,

a w jednym i drugim tłumoczku cały przybór łózkowy, poduszki, kołdry i t. d., bo to trudno liczyć na usługę i pościel w hotelach, gdzie to jakoś po zagranicznemu z niemiecka wszystko. Więc jeżeli zajadą to do starych znajomych sobie hotelów, gdzie wszystko po dawnemu, gdzie niema marmurowych ani wywoskowanych wshedów, wygalowanej służby i francuzkich restauracji, bo to wszystko tylko blichtr do oczów, a wygody żadnej.

Już teraz rozpowszechnienie kolei żelaznej pozbawiło nas trochę tych typów, które tak dobrze opisywał Wilkoński. Rzadko nawet w Czerweowej epoce ujrzysz na ulicach Warszawy ową tradycyjną czterokonną landarę na stojących resorach, w której siedm do ośmiu osób wygodne znajdzie pomieszczenie. Teraz ponieważ większa część obywatelstwa przybywa koleją żelazną, muszą się żywić najętymi powozami i karetami, co im ujęło trochę téj oryginalnej barwy, którą tak radzi w nich widzieliśmy.

Zawsze jednak rozpoznać ich łatwo po ulicach miasta, bo odbiegają od ogólnego miejskiego pozorów tak ubraniem jak i fizjonomją.

Jegomość mało dba o elegancję, dlatego téż pokazuje się po ulicach miasta z rana w letnim kitlu, po południu w czamarze lub dostatnim surducie, które się odznaczają oryginalnym krojem. Trudno mu się nazwyczaić do naszych miejskich wysokich kapeluszy, więc jeżeli nie w czapce, widzimy go najczęściej w niskim miękkim kapeluszu o szerokich brzegach koloru dzikiego. Dla siebie niewiele robi sprawunków, bo co mu za niewola dawać się manić mądralom warszawskim, kiedy mu to wszystko u niego na wsi Jankiel pachciarz dostarczy lepiej i za tańsze pieniądze. Ale ponieważ lubi dobrze zjeść i wypić, a w Warszawie i kuchni i piwnice nie zgorse, to pociągnie sobie tu i owdzie rankiem albo wieczorkiem żeby się zabawić ze znajomymi. Pani z córkami, bo synowie jeżeli są, należą zwykle do innej kategorii, chodzi po mieście z lokajem w liberji, który jest jakby szyldem żyjącym na którego widok wyraz *welna* wymówiony pocichu przez przechodniów z ust do ust się rozchodzi. Te damy suto zwykle przystrojone, lubują się w jaskrawych barwach, mama w piórach, córki w kwiatach, z wierzchu sukni jakieś mantylki lub chustki oryginalnego kroju, twarze poważne i wysznurowane, usta rzadko naginają się do uśmiechu, bo to rzecz nieprzyzwoita.

Przypatrują się ciekawie wystawom sklepowym, rade wszystko zakupić, a chociaż świadome zwyczajów kupców warszawskich, sumiennie się targują, to jednak zwykle się tak zdarza, że po przybiciu targu, kupiły przestarały towar za cenę znacznie przynoszącą rzeczywistość jego wartość.

Na wszystkie nabożeństwa cała rodzina uczęszcza sumiennie i gorliwie, bo po starzej szlachej naszej nie przechodził duch czasu, który się jawił w różnych formach w miastach i tak zwanych wyższych klasach. Z rana jegomość wychodzi na targ, gdzie zobaczy się z tym lub owym znajomym, pogawędzi, często zakropi sprawę, jejmość zaś z pannami obchodzą miasto za sprawunkami. Po południu zajmują czas przechadzki, widowiska i wszelkie uroczystości, które jak wiadomo podczas jarmarku na wełnę, każdy prawie dzień zapełniają.

Już to z pobytu ich w Warszawie literatura i sztuka niewielką mają pociechę, bo chyba panny rozłakomione feljtonem jakiego pisma perjodycznego, które ojciec prenumeruje na wsi, żeby baby miały czem się zająć, naprą się jakiej nowej powieści albo poemaciku. Ale jejmość o kupnie książek nie pomyśli, a sam jegomość nie zajrzy nawet do księgarni, wychowany w świętej bojaźni druku, który mu zawsze przypomina Boćkowskiego, jakim za młodu pan dyrektor karciał opieszałość jego w *Tirocinium* i *Selectach*.

Ale za to kupcy i rzemieślnicy utargują niemało, bo chociażby panie same nie przyjechały, to jegomość ma sobie naznaczoną listę sprawunków, której wara mu zaniedbać, bo miałby piekło w domu. Więc wszystko co tylko przez cały rok nie znajdzie kupca, wszelkie trudne do sprzedania i przestarzałe przedmioty, znajdują swój odbył w Czerwcu i zawsze po tym ruchu jarmarcznym pozostaje w Warszawie spora ilość pieniędzy, jako szlak promienisty przebiegu tych wszystkich planet prowincjonalnych.

Rodziny starszszlacheckie nie lubią warszawskiej młodzieży, bo to prawią zbankrutowane i zepsute plemię, chociaż mama i ojciec twierdzą to jedynie, a panny chętnie może zgodziłyby się na przeciwne zdanie. Więc też rzadko kiedy zawiązują stosunki z mieszkańcami tutejszymi, i to chyba tylko w bieżących interesach. Kobiety blaskiem i bogactwem strojów, starają



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

**Handlarz drzewa
u szczytu swego zawodu.**

БИБЛИОТЕКА



ՀԱՅԿ

Հանրապետության Գրադարան

10952

się na zebraniach publicznych zaćmieć nasze warszawianki, i zład najczęściej pochodzi ta oryginalność ubiorów, po której łatwo je poznać. W teatrze podczas baletu panny na rozkaz mamy odwracają się, żeby nie widzieć skoków nieprzyzwoitych, chociaż jegomość śmieje się na całe gardło twierdząc że to przesady. W rozmowie z niemi trzeba się mieć na największej baczności, bo najniewinniejszy żart biorą za przedrzeźnianie albo ironję. Zawsze wówczas wyjeżdżają na harc ze swoją *parafianšczyzną*, z niezajomością obyczajów wielkiego świata i t. d., ale tonem mowy zaraz dają poznać, że ten wielki świat uważają za zbiór kompletnego zepsucia. Jednakże bogdajby nam przyjąć nawet wszystkie ich śmieszności, a zachować natomiast czystość obyczajów i domowe cnoty jakimi się zdołają.

Młodsze pokolenie obywateli wiejskich innym zupełnie odznacza się pozorem. Dla nich przyjazd do Warszawy jest dobrą sposobnością do zabawy, pohulanki i puszczenia pieniędzy. Więc też obywatel nowego poluru rzadko kiedy zabiera z sobą żonę, chyba by pani swoim dworem przyjechała, a i wówczas mąż który ma zawsze na głowie mnóstwo interesów, pozostawia jej wszelką wolność, dając ile zechce pieniędzy byleby tylko nie przeszkadzała mu. Najwięcej tam jednak młodych ludzi, tak zwanych *synów obywatelskich*, którzy pragną przez te parę tygodni swojego tu pobytu zaimponować mieszczuchom i dać o sobie słyszyć. Więc też dają tu słyszyć o sobie i to gromko.

Wpadł mi właśnie pod rękę ciekawy dokument, który uważam za stosowne zakomunikować tutaj czytelnikom. A historia tego dokumentu jest taka:

Podczas tegorocznych wyścigów konnych, a było to jeżeli się nie mylę drugiego dnia, zmęczony siedzeniem pod wystawą, postanowiłem udać się do szranek. A była to wyprawa nie lada, bo zimno było przejmujące, rzęsiły deszcz ani na chwilę nie ustawał, i tylko prawdziwi lubownicy kręcili się tu i owdzie koło trybuny, opatrując konie mające biegać, wydając stanowcze zdania i proponując zakłady, które rzadko kiedy do skutku przychodziły.

Popatrzywszy się tu i owdzie i wysłuchawszy dłuższej rozprawy czy
Zeszyt III.

Flatterer pobił *Uncle Tom'a* przypadkiem, czy też prawdziwą zasługą, zaśłyszawszy dyspozycję jakiegoś *gentlemana*, który stajennemu odprowadzającemu konia do stajni po gonitwie, rozkazał temuż koniowi dać ciepłą kąpiel na nogi, potem wysmarować je pachniaącym spirytusem, i owinąć dobrze flanela, wysłuchawszy wyrzutów jakie drugi *gentleman* czynił żokejowi, że chociaż on jest żokejem pół krwi to jest z matki angielfki a ojca niemca, to jednak pozwolił sobie wziąć bandę prostemu chłopu stajennemu tutaj na gruncie urodzonemu, postanowiłem zajrzeć do namiotu, który opodal za trybuną sędziów rozstaczał szaropłócienne skrzydła swoje.

Był to prosty bufet dla wygody panów szrankowych, tam na miejscu urządzony. Zastałem tam przy dwóch czy trzech stolikach siedzących kilku panów i kilku żokejów. Rozmowa szła gwarno i wrzaskliwie, trochę po angielsku, trochę po francuzku, trochę po niemiecku, a kilka wypróżnionych butelek szampana, zaczerwienione nosy żokejów i żywe giesta *gentlemanów*, dowodziły, że oblewano wygranę czy też pocieszano się po porażce, bo to w szrankach wyścigowych z rozmaitych powodów zawsze tenże sam wypływa skutek, a różne drogi prowadzą do jednego celu. Druga też nastroczyła mi się przytém uwaga, że spirytus jest ciałem nieważkiem bo jeżeli żokejom bardzo mało tylko jeść wolno, to piją za to ile im się podobą, i owszem dodaje im to fantazyi. Iluż to dobrych żokejów musiało być u nas za Sasów!

Kiedym tak filozofował, dało się nagle słyszyć dzwonicie. Był to znak że następująca z porządku gonitwa ma się wkrótce rozpocząć, i że żokeje wraz z końmi stawić się powinni do wagi. Wszyscy więc wstali szybko od stolików i w jednej chwili namiot się wypróżnił.

I ja też zapłaciwszy w bufecie drobny mój haracz, który gospodarz przywykły do liczenia samemi dukatami przyjął z należytą pogardą, poznawszy odrazu żem profan, postanowiłem udać się napowrót pod wystawę, bo człowiek pospolity jak ja, a niemający zaszczytu być w bliskiej koligacji z klubem żokejskim, czuje się zawsze jakoś obcym w szrankach. Tymczasem przy wyjściu z namiotu zwrócił moję uwagę jakiś gęsto zapisany papier leżący na progu.

— Manuskrypt jakiś, to moja rzecz,—rzekłem,—może to coś ciekawego, w każdym razie warto obejrzyć. Schyliłem się więc i podniosłem papier z ziemi.

Był to list złożony z dwóch arkuszków i gestem zapisany pismem, na nieszczęście był on bez podpisu i огоłocony z koperty, a nawet na pierwszej stronicy u góry gdzie kładzie się zwykle imie tego do kogo list adresowany bywa, wypisano tam tylko „Kochany Siostrzeńcze!“ Tak więc ani podobieństwo było domyślić się kto mógł ten list uronić, a jak wiadomo na wyścigach zbyt wiele znajduje się osób, i zbyt wiele gości wchodziło do namiotu, żeby jakie poszukiwania skutecznie czynić się dały. A mówię to tylko dla usprawiedliwienia mojej ciekawości, bom zrobił z tym listem jak niektórzy ze znalezionemi pieniędzmi, wziąłem go z sobą do domu, zadowolniając się wspomnionemi wyżej wywodami i nie chcąc sobie łamać głowy nad wyszukaniem właściciela. I to drobne nadużycie (nie śmiem używać silniejszego wyrazu) na dobre mi wyszło. Pierwsze bowiem kilka wierszy którem przebiegł naprędce, zaciekały mnie mocno; odczytałem więc list cały od początku do końca, i znalazłszy go dość zajmującym z powodu niektórych bieżących kwestji, jakie w nim są dotknięte, postanowiłem go tu przedrukować w całości. Czynię więc to, wątpiąc żeby autor listu albowież ten do którego był pisany, zechcieli się upomnieć u mnie o ten nieprawy może postępek, zwłaszcza że nazwiska ich (których jak wspomniałem nie było tam) pozostały dla mnie w najgłębszej tajemnicy. List brzmiał jak następuje:

Kochany Siostrzeńcze:

Więc tedy zdecydowało się już, że matka twoja korzystając ze zjazdu czerwcowego w Warszawie, chce ciebie tam posłać na parę tygodni dla niania ci poloru i znajomości wielkiego świata. Piszesz do mnie żebym ci towarzyszył; pomimo najlepszej chęci nie mogę tego uczynić, gwałtowne bowiem potrzeby w postaci Szlamy Zettelbauma i Ieka Goldfarba, z którymi muszę załatwić terminowe sprawy, zatrzymują mnie przez czas obecny w domu, a wierzaj mi przykro to bardzo dla *starego birbanta*, jak mnie tu wszy-

scy nazywają, że nie może na polu warszawskiem osobiście kierować krokami młodego bohatera pragnącego się zapisać pod naszą chorągiew. Jeżeli jednak nie czynem to słowem, nie przykładem to radami, pragnąłbym ci dopomóc, a czynię to tém chętniej, że widzę w tobie bardzo piękne *dyspozycje*, które tylko oczekują sposobnego pola do rozwinięcia się, i kiedyś mogą cię na jednego z koryfeuszów naszych towarzystw pokierować.

Zanim jednak przystąpię do objaśnień i wskazań mających ci ułatwić tę ponętną podróż w którą się wybierasz, chciałbym kilkoma słowami oznaczyć terażniejsze twoje położenie, będzie to ułatwieniem dla mnie do wejścia w tok rzeczy, a i dla ciebie może przynieść korzyść, jeżeliś nie potrafił jeszcze dość jasno się rozejrzeć w tém co cię dotyczy.

Z powodu przedwczesnej śmierci ojca stałeś się właścicielem kapitału 180,000 złp., zahypotekowanego wraz z podobną summą posagową należną siostrze twojej Ewie, na dobrach twojej matki a mojej siostry, a zostającą dotychczas pod jej zarządzeniem z powodu twojej małoletności. Lat masz ośmnaście, jesteś jak na twój wiek dzielnie rozwiniętym, pierś masz szeroką, ramiona krzepkie, twarz wcale przystojną, chociaż trochę przyrumianą, a nadewszystko spory już zarost, ów tak pożądanym w twoim wieku przymiot, na który twoi rówieśnicy z takim upragnieniem napróżno nieraz oczekują. Co do moralnych przymiotów skończyłeś pięć klas w Piotrkowie, i wraz z matką osądziliście że to już jest dostatecznym co do twojego naukowego wykształcenia, czemu ja się wcale nie przeciwie, bo wszakże na dziedzica dóbr, a nie na belfera chcesz się kierować. Po francuzku podczyłaś się trochę od panny *Fanchon*, która przy siostrze twojej Ewie pełniła przez dwa lata obowiązki guwernantki, i jak mnie twoje zwierzenia się przekonały, panna *Fanchon* gorliwie się zajęła twojem wykształceniem, i wieleś bardzo jej winien. Zresztą przy waszym komisarzu Pilskim nauczyłeś się cokolwiek gospodarstwa, reszta przyjdzie jak dobra sam na siebie obejmiesz; strzelasz w lot ptastwo z fuzji, coś mnie winien, jeździsz konno wybornie z czego także mnie się należy wdzięczność, potrafisz dzielnie poprowadzić mazura, grasz expedite w preferansa, i nie ustraszysz się kilku butelek szampana, a nawet starego węgryna, w czém jako również mój



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

— Jegomość — Jejmość — Jejmościanka — i Grześ —



uczeń, wcale mi wstydu nie przynosisz. A dlatego dbałem tak o tę mianowicie stronę twojej edukacji, iż lękałem się wpływu spódniczego, któremu już powoli i nie wiedząc o tém, zacząłeś być trochę ulegać.

Obecnie tych wszystkich przymiotów tak naturalnych jak i nabytych pragnąłbyś użyć przez czas niejaki w Warszawie; ma to być niejako przygotowaniem do podróży za granicę, w którą się na rok przyszedł udać zamierzasz.

Jak mi piszesz otrzymałeś już od matki pozwolenie wyjazdu i tysiąc rubli na drogę; co powinno być wystarczającym na dwa tygodnie, zwłaszcza jeżeli tych pieniędzy umiejętnie i stosownie użyć potrafisz, a ku temu ja właśnie ci podam środki. W pożyczki zaś się nie wdawaj, raz że nie będziesz tego potrzebował, powtóre że jako niedoświadczony, dałbyś się haniebnie orznać, a to już nie jest wcale w modzie od czasu jak najgłówniejszych lichwiarzy warszawskich pobrano do aresztu.

Trzeba ci więc przedewszystkiem wiedzieć że tak zwany modny ton obywatelski, od kilku lat bardzo ważnym zmianom uległ. Dawniej bardzo łatwo było zrobić sobie pomiędzy swoimi, a nawet i w Warszawie *renomę*, byleby kto umiał porządnie pić, jako tako grać w karty, paplać trochę po francuzku, zrobić w przypadku burdę, poczynić sobie znajomości w balecie, zajeżdżać konie dorożkarskie, i zadysponować podług reguł smaczny obiad u restauratora francuzkiego. Jak widzisz były to rzeczy bardzo łatwe, i lada kto byleby miał pieniądze w kieszeni albo kredyt u żydów, dobrą głowę i trochę znajomości, potrafiłby tego wszystkiego dokonać. Ale teraz rzeczy się mają całkiem inaczej i aspiranci do prawdziwego *kawalerskiego* życia muszą niejedną ciężką próbę odbyć.

Od kilku lat tedy niektórzy z najmodniejszej młodzieży naszej wzięli sobie za wzór Anglików i coraz bardziej na angielską stopę urządzają życie, bo francuzka już się przestarzała i zużyła. Idzie więc o to, aby nie pozostać za nimi wtyle, i potrafić obudzić w sobie przymioty *gentlemańskie*, jak oni to ogólnie nazywają.

Przedewszystkiem te przymioty niekoniecznie zależą na znajomości języka angielskiego, o cobym ci się kusić nie radził, bo to straszliwie trzeba

wylaamywać język do tój piekielnój mowy, która jakoś nigdy przejść nie może z łatwością przez nasze polskie gardło, a powtóre znany mi dobrze z tradycji twój wstręt do nauki, bo przecie po dwa razy uciekałeś ze szkół z Piotrkowa, aż wreszcie za trzecim razem trzeba cię było na dobre odebrać. Tutaj idzie tylko o nauczenie się kilku technicznych wyrażeń, mianowicie tyczących się jazdy konnej i wyścigów, jako to *Steeple chase*, *hurdle race*, *handicap*, i t. d., czego się bardzo łatwo nauczysz z pilnego wczytania się w programmaty wyścigowe.

Drugim przymiotem angielskim o który wielce chodzić ci powinno, jest fizjonomia trochę sztywna, i wyraz twarzy zinnny a jednostajny o ile możliwości, tak żeby wzruszenia o ile najmniej malowały się na niej. Masz już jak wspomniałem niezły zarost, i korzystając z tego sówicie jak rozrzutnik który się po pierwszy raz do skarbu dorwał, nosisz brodę, wąsy i faworyty. Ale dla lepszego wystąpienia w modnym świecie, musisz zrobić wielkie poświęcenie; ogól brodę we środku, a faworyty nastrzęp i wyciągnij tak, żeby z dwóch stron twarzy formowały jakby dwie miotły, oddalające się od policzków, i biegnące daleko poza brodę ku dołowi, wąsy zaś możesz zostawić, bo to nasza cecha szlachecka, która nas oddawna odznacza pewną powagą. W ten sposób fizjonomia twoja nabierze prawdziwie *gentleman'skiego* i *dystygowanego* pozoru, i będziesz się mógł bez wstydu pokazywać na wielkich zebraniach.

Suknie każ sobie robić długie, obcisłe, bez wcięcia, watowych przydatków i fałdów, które już teraz nie przystoją w przyzwoitem ubraniu, materiał prawdziwie angielski możesz zakupić u Starkmana na Krakowskiem-Przedmieściu w pałacu hrabiów Potockich, i tamże kazać robić przez zagranicznych krawców, a z pewnością nie doznasz zawodu.

Koniecznien i bezwarunkowo powinieneś sobie kupić makintosz, to jest zwierzchni worek gumelastyczny chroniący od deszczu, a im więcej będzie nieforemny tem lepiej; wyglądać jak kłoda bez żadnych widocznych kształtów, a dojdiesz najwyższego szczebla doskonałości.

Hotelu do którego masz zajechać, nie naznaczam ci, w każdym razie jednak staraj się stanąć w Europejskim, Angielskim lub Rzymskim, bo tam się dobry ton zgromadza.

Chcąc mieć wzięcie w Warszawie, powinienes porobić znajomości:

1) Z wagnerówkami i dorożkarzami warszawskimi. Najlepiej jest jeździć samemu albo we dwóch, we trzech to już zły rodzaj. Na wyścigi jeżeli się waspartja nie zbierze do omnibusu, weź cztery konie pocztowe, każ trąbić a klaskać z bicia należycie. Chociażby deszcz padał nawalny, jedź odkrytym powozem albo kabrioletem, od czegoś makintosze i gentlemanja.

2) Ze wszystkimi garsonami u Chevrieux'go, Heurteux'go, Michaux, i Franciszka, co za pomocą hojnych datków na piwo łatwo się wykona.

3) Ze wszystkimi co zarządzają w sklepie Loursa, tak na dole jak i na górze. Bądź dla nich bardzo grzecznym, mów zawsze po francuzku, podczas teatru możesz tam zostawiać co ci zawadza; dobra taka znajomość.

4) Z właścicielami znaczniejszych ogródków a naturalnie i dyrektorami orkiestr, bo to dodaje *szyku*. Już to z Bilsem powinienes się znać koniecznie.

5) Ze służbą teatralną.

6) Z kupcowemi sprzedającemi cygara, bo możesz mieć z tego podwójną korzyść, raz fizyczną z dobrych cygar o które w Warszawie trudno, powtóre moralną z towarzystwa samych kupcowych.

Teraz wyliczę ci pokrótce osoby, którym się każesz przedstawić:

1) Kassjerom obu teatrów. Zabierz z nimi ścisłą znajomość, bo to arcy potrzebne dla ciebie figury. Staraj się mieć wejście do kassy, zamiast rozmawiać przez okienko.

2) Niektórym osobom wyżej położonym w towarzystwie warszawskiem. Możesz przez to uzyskać wejście do kilku salonów. Dla młodzieży wydaj parę śniadań i obiadów, a nie żałuj grosza, to cię w świat popchnie. Za drugim lub trzecim razem możesz być już na stopie poufałej, zwłaszcza jeżeli dobre dałeś śniadania. A noś zawsze przy sobie prawdziwe hawańskie cygara, bo traktując hojnie niemi, niejednego sobie zjednasz. Małe datki w porę użyte bardzo wiele znaczą.

3) Artystkom należącym do składu baletu warszawskiego. Bardzo to przyjemne osoby i nie jedną miłą chwilę można u nich spędzić. Tu jednak trzeba ostrożnie postępować, bo te tysiąc rubli nie na długoby ci wystarczyły.

4) Możesz także jeżeli znajdziesz czas na to, zaznajomić się z niektórymi najbardziej wziętymi literatami i artystami, ale to niekoniecznie potrzebne, bo ci z nich nie przyjdzie, chyba gdybyś chciał wyjść na protektora sztuki i literatury, co już jest osobną zupełnie pozycją. Ale w każdym razie nie radzę ci tego, bo to wiele zachodu a zaszczytu mało.

Każde wielkie miasto posiada miejsca godne widzenia, których nie wypada ominąć. I Warszawa nie jest upośledzona pod tym względem. Radzę ci więc żebyś był w teatrach, w wielkim na balecie, i w małym, gdzie można nieraz boki zerwać, takie tam się grywają farsy. (Samo z siebie się rozumie, że nie zapomnisz o górcie Lursowskiej, która jest zaraz przy teatrze. Każesz się przedstawić do resursy wielkiej, tam nieźle grywają w preferansa, i można sobie zebrać partję. O Dolinie Szwajcarskiej wiesz już z tradycji, toż samo o Nowej Arkadji, w Saskim ogrodzie nietyle ci się podoba, bo tam trochę za sztywno. Zamiejskie przejażdżki mają także swoje przyjemności, ale tylko w dobrem towarzystwie. Obiady najlepsze w hotelu Angielskim, podwieczorki u Dominika, kollacje gdzie się zdarzy, bo tu już nie o smak potraw ale o towarzystwo idzie.

Pamiętaj jednak żebyś zawsze i wszędzie i w każdym razie, nie objawiał zbytniej wesołości, udawał znudzonego, poziewanie miał na ustach, a przedewszystkiem niczemu się nie dziwił i nie chwalił zbyt. Ale... dobrzeby było jeszcze, żebyś raz albo dwa przeszedł się po trotoarze Krakowskiego-Przedmieścia z jakim wielkim panem pod rękę.

Teraz przystępuję do najważniejszej rzeczy, bo do stosunków jakie z płcią piękną uda ci tam zawiązać. W Warszawie są dwa rodzaje płci pięknej

(Reszta listu tak była przemoczona i powalana błotem, że nie mogłem już ani słowa dalej wyczytać).



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482.

9.5 cm

Hulaj dusza bez kontusza!.....

REDAKCYJA
KRAJOWY ZEBRANIE
PUBLISZCZYSTWA
ANULOWANO
KRAJOWY ZEBRANIE

z drogi, a skończywszy na własnym miejscu, który naucezony doświadczaniem
 dąży przed nią jak hiena. Ona jak starożytni Galowie obawiała się się chy-
 ba, żeby jej niebo nie spadło na głowę, i dlatego na wieść o komisie pier-
 wazy raz przekupki warszawskie okazały trochę wstrząsania.

Co do exystencji sumienia i w tej także przekupki nasze celują. Już
 wielki Rynaldini powiedział, że sen spokojny jest dowodem czystego su-
 mienia człowieka, a prozę podobną do obliwa i kłótnie naszych przeku-
 pek, czyli kwintę ich rozminięcia nie słowami, ale przez innych, którzy nie
 muszą spać. Owzem ta czystość sumienia, ta spokojna pewność siebie
 są wybitnymi ich cechami. Oni w tej rzeczy są jak
 one apogadają na wasz kraj, co je dają.

JAKIM SPOSOBEM

PANI MACIEJOWA NAUCZYŁA SIĘ MILCZEĆ, A PANNA KONSTANCYA DEKLAMOWAĆ.

Znany jest w historii francuzkiej rycerz Bayard, zwany *sans peur et sans reproche* (bez trwogi i bez wyrzutu sumienia). Te dwa przymioty sta-
 nowiły doskonałość rycerską, i dlatego właśnie Bayard był dawany za
 przykład wszystkim, ale mało który z późniejszych rycerzy mógł się z nim
 porównać.

Owóż jeżeli połączenie tych dwóch przymiotów ma stanowić doskona-
 łość, to wszystkie przekupki warszawskie śmiało mogłyby się Bayardami
 nazwać. Że są bez trwogi, o tem zdaje się nikt nie wątpi, bo niejednokro-
 tnie dawały i dają tego dowody. Przekupka warszawska znaną jest z od-
 wagi, i pod tym względem starożytni Rzymianie nie dorównaliby jej. Ni-
 czego i nikogo się nie lęka, począwszy od policjanta który jej ustępuje

z drogi, a skończywszy na własnym mężu, który nauczony doświadczeniem drży przed nią jak listek. Ona jak starożytni Gallowie obawiała się chyba, żeby jej niebo nie spadło na głowę, i dlatego na wieść o komecie pierwszy raz przekupki warszawskie okazały trochę wzruszenia.

Co do czystości sumienia i w tój także przekupki nasze celują. Już wielki Rynaldini powiedział, że sen spokojny jest dowodem czystego sumienia człowieka, a proszę popatrzeć na oblicza i kibicie naszych przekupek, czyliż kwitnące ich rozwinięcie nie dowodzi, że bezsennych nocy nie muszą spędzać? Owszem ta czystość sumienia, ta spokojna pewność siebie są wybitnymi ich cechami, są niejako wytłumaczeniem tój wyższości, z jaką one spoglądają na wszystko co je otacza.

Przekupki warszawskie odznaczają się jeszcze jednym wysoko rozwiniętym przymiotem, a będąc nim hojnie uposażone od natury, dodają mu jeszcze siły i energii ciągłą wprawą i ćwiczeniem się codziennie powtarzaniem. Tym przymiotem jest wymowa. Pod tym jednak względem łacniej je z Demostenesem niżli z Cycleronem porównać. Więcej w nich ścisłości w rozumowaniu niżli ozdób krasomówskich, w tём jednak wyższe od Demostenesa i Cyclerona razem, że gotowe zawsze czynem słusność słów swoich poprzeć, tój zaś odwagi czynu wspomnionym dwom wielkim mężom brakowało.

Są one z gruntu poczciwe, rzadko kiedy oszukaństwo na nich się okaże, a nawet takie wyjątki należą pogardą okryte są przez ogół. Nie odbiegają od zysków, ale pragną zyski te osiągać za pomocą wymowy i zręczności w wychwalaniu towaru, i znęceniu kupującego, nigdy zaś nieprawym sposobem. Warstwy towarzyskie nie istnieją dla nich, przekupka jest prawem, w obliczu jej każdy kupujący jest sobie równym, byleby miał pieniądze do zapłacenia za towar. Same dość skore do zaczepki, ubliżyć sobie w żaden sposób nie dadzą, i surowo karzą pokuszenia tego rodzaju. A ubliżenie to liczy się nietylko co do ich osoby, ale co do towaru: wolno nie kupić, ale wara powiedzieć że przekupka lichy towar sprzedaje.

Niema pomiędzy niemi młodych, a raczej wszystkie odrazu poważniają, bo to najpoważniejszy ze wszystkich stanów. Przekupka jest sobie panią kupcową, a trudnoż znowu żeby pani kupcowa mizdrzyła się jak jaka tam pierwsza lepsza.

Chociaż stragany rozsiane bywają tu i owdzie po Warszawie, głównemi jednak miejscami zebrań przekupek warszawskich są targi za Żelazną Bramą, na Ordynackiem, na Starem i Nowem mieście. A do dawnych miejsc posiedzeń tak dalece są one przywiązane, że chociaż po wybudowaniu Sewerynowa daleko wygodniejsze ofiarowano im pomieszczenie, niżeli to które na podwórku dawnego gmachu Sułkowskich zajmowały, nie chciały jednak odmienić zwykłej swojej siedziby i wolały zostać na miejscu, chociaż tam ciasno, brudno i niewygodnie.

Bo to rzecz dobrze wiadoma, że przekupki warszawskie są konserwatystkami, wszelka zmiana jest im wstrętną.

Znałem jednę z nich, która mogłaby za typ wszystkich innych służyć. Pani Maciejowa posiadała za Żelazną Bramą porządny stragan. W lecie trudniła się ona sprzedażą wszelkiego rodzaju owoców, jarzyn, selerów, porów i t. d. Wtedy to u niej rozłożone były w cudnym doborze i porządku najświeższe nowalje, szparagi ogromnej wielkości, marchwie i kalarepy, z których każda mogłaby w doniesieniach dziennikarskich jako dziwne zjawisko figurować. A już to śliwek i gruszek to tak piękny tam był asortyment, że jak sama pani Maciejowa utrzymywała, każda gruszka wyglądała niby prosto z Paryża przywieziona. Więc też nazywała ona czasy cholery prawdziwą klęską ludzkości, nie dlatego że ludzie wówczas wymierali, ale dlatego że owoców mało kupowano. A chociaż często klęła cholera, nie lękała się jęj, bo jako porządna i sumienna kobieta, owoce które nie udało jęj się wypchnąć dojadła sama, i jakoś służyło jęj to na zdrowie, na przekór kumom, z których się wyśmiewała że doktorom wierzą, kaszkę jedzą, i chudną a żółkna, że to aż brzuch boli na sam ich widok.

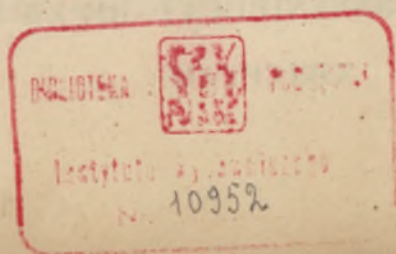
W zimie oprócz jabłek które pani Maciejowa aż do wiosny umiała dochowować, miejsce innych owoców zastępowały pierniki, różne ciastka, cukierki tak jaskrawo pożółcone i poczerwienione, że aż chętka brała nie jeść ich, barszcz i ogórki kwaśne, orzechy i figi na sznurku, zresztą śledzie i rybki smażone w oleju, ulubiony przysmak naszych uliczników. Tak każda pora roku przynosiła straganiarce swoje plony, a handel nigdy nie próżnował.

Pani Maciejowa była to jak powiadają heród baba, przystojnego wzrostu i tuszy należytéj. Mogła mieć od 30 do 60 lat, bo wiek jéj trudno było rozpoznać; kto ją przez kilka lat znał ten ją zawsze taką samą pamiętał, a szereg lat przybywających chyba tylko po ciągłym wzroście tuszy można było zmiarkować, bo tusza ta wzrastała za każdym rokiem, jak drzewo któremu ciągle nowy słój przybywa, skutkiem czego stołek na którym pani Maciejowa zwykła była siadywać, co rok się odmieniał, a każdego roku cięższy i fundamentalniejszy zastępował dawny, który groził rozwaleniem się. Pani Maciejowa nie była piękną, i mało téż dbała o wdzięki. Krwisty jéj temperament podsycany częstem użyciem *wody życia*, za każdym głębszem wzruszeniem czerwonymi plamami występował jéj na twarz, a pięść miała tak silną i na urząd zbudowaną, że kiedy w złości uderzyła nią czasem o stół straganowy, to drzewo trzeszczało a ogromne melony i arbuzy podskakiwały do góry, jak wszystkie domostwa w Lizbonie, podczas owego wielkiego trzęsienia ziemi, co to o niem piszą w sławnej powieści o czarnym rycerzu ze złotym kogutem na kaszkiecie. I ubiór pani Maciejowéj nie był bardzo paradny. Składał się on w dzień powszedni z ordynarnego muślinowego czepka, ozdobionego pobrukanemi wstążkami, zpoza którego wychodziły niedoczesane kosmyki włosów, których barwy prawdziwéj najbiegłęjszy fryzjer nie mógłby się dopatrzeć, z dostatniej sukni perkalowéj o ciemnych kolorach, której przód ozdabiał fartuch w czerwone prążki z ogromnemi kieszeniami, i chustki naśladowującej prawdziwy płócienny fular, nie dbale ale z właściwym gustowi pani Maciejowéj wdziękiem, w krzyż przewiązanéj na piersiach. A o krynoliny i mnogie spódnice nie dbała ona



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482.

Pani Maciejowa w assystencyi męża i synka na spacerze.



INSTITUTION



FUNDATION

Institute of the

No. 10952

wcale, bo dobrotliwa natura tak już ją hojnie uposażyła pod tym względem, iż mogłaby zawstydić niejednę z pań wykwintuego świata, co to napróżno siłą się przydać sobie wdzięków.

Ale za to kiedy pani Maciejowa wyszła sobie na przechadzkę w niedzielę po południu, prowadząc pod pachę nikłego i wychudłego męża, to ludzie aż oglądali się za piękną suknią w czerwone bukiety, chustką *muslindelen* w prawdziwe tureckie desenie, i nowym czepcem, na którym taki się zasób różnorodnych wstążeczek rozgaszczał, że to się wydawało jakby istna tęczą złożoną w pół i ubrana na głowę.

Ponieważ wspomnieliśmy o mężu pani Maciejowej, wartoby dodać parę słów o tej typowej postaci. Tak jak wszyscy mężowie przekupek warszawskich, występował on zawsze w roli drugorzędnej, i znając dobrze swoje położenie, znosił z cierpliwością nałożone na siebie jarzmo, nigdy nawet pochopu do buntu nie okazując. Ich stanowisko zobopólne zasadzało się na tem, że pani Maciejowa była majstrem a on czeladnikiem, ona wydawała rozkazy, on je wykonywał, ona rozporządzała wszystkim, a on wysługiwał się jak mógł, ona miała głos stanowczy, a on do doradczego nawet nie śmiał rościć prawa. Był to człeczyna niski, chuderlawy, żółty na cerze, z wydatnym nosem który odbijał na sobie wszelkie wrażenia, i tak jak u innych oczy były jedynym wyrazem jego duszy. A sądząc z wyrazu, dusza musiała niezmiernie mocne trunki lubić. Na imię musiał mieć zapewnie Maciej, sądząc po nazwaniu żony, nazwisko zaś jego niknie w mgle niepamięci, bo on był znany jako mąż pani Maciejowej, i nic więcej. Takie to zawsze nieszczęśliwe stanowisko dostaje się w udziale mężom kobiet znakomitych.

Pan Maciej był podobno kiedyś wykwalifikowanym czeladnikiem szewckim, ale ponieważ żona jego osądziła że w warsztacie widuje złe towarzystwo i może się zepsuć, rozkazała mu opuścić rzemiosło, i obróciła go na posyłki i wszelkiego rodzaju usługę domową. Tym sposobem Maciej dostawszy się już bezpośrednio pod rozkazy i dozór swojej majstrowej, musiał

ją we wszystkim wyręczać, pomagać w sprawunkach, zastępować czasami przy straganie a przedewszystkiem służyć za cierpliwe narzędzie, na którem odbijały się wszelkie straty i zawody przez nią doznawane. Jeżeli targ źle poszedł, jeżeli pani Maciejowa pokłóciła się z jaką współzawodniczką, jeżeli pokazała się jaka strata w abszlusie kassy, jeżeli wreszcie władza policyjna, bo i to się zdarzało, skazała na sztrof za sprzedaż niedojrzałych owoców albo uchybienie przepisom, to każdy zawód takiego rodzaju, krupił się na Macieju, a i to w nader dotkliwy sposób, bo pani Maciejowa była kobietą więcej jeszcze czynu niż słowa. Ale za to w rzadkich chwilach pogody, Maciej otrzymywał gratyfikację, będąc przypuszczony do współki kieliszkowej, która to nagroda jak każde rzadko doznawane szczęście, tém mu się przyjemniejszą i pożądańszą wydawała.

Więc téż ten stosunek zobopólny żony i męża malował się w ich postaciach. Jak i we wszystkim w świecie, tak i w tém stadle zachodziła równowaga, do której wszystkie rzeczy na tym padole płaczu dążyć muszą. Im więcej pani Maciejowa tyła i prosperowała, tém bardziej Maciej chudł i mizerniał, bo zdawało się że w téj społeczności którą tworzyli we dwoje, strona silniejsza dla zupełnego tryumfu nad słabszą, do całkowitej ją kiedyś nicości przywiedzie.

A jednak i pani Maciejowej zdarzały się czasem chwile upokorzenia, i nawet pamiętamy że raz dotkniętą została w najdrażliwszej stronie swojej miłości własnej, a stało się to mniej więcej w ten sposób.

Onego czasu kiedy pani Maciejowa była w najświetniejszym perjodzie chwały swojej, istniało w Warszawie dwóch ludzi, o którychby się zdawało że ze swojego powołania żadnej styczności z panią Maciejową miećby nie powinni, a tém bardziej w drogę jój wejść. Jeden z tych ludzi był malarzem drugi literatem.

Malarz robił wiele projektów do obrazów, mało jednak wykonywał, skarżąc się i słusznie po części, że tutaj nie pojmują i nie oceniają sztuki; literat tworzył ciągle plany do dzieł różnych, miał w głowie kilka powieści

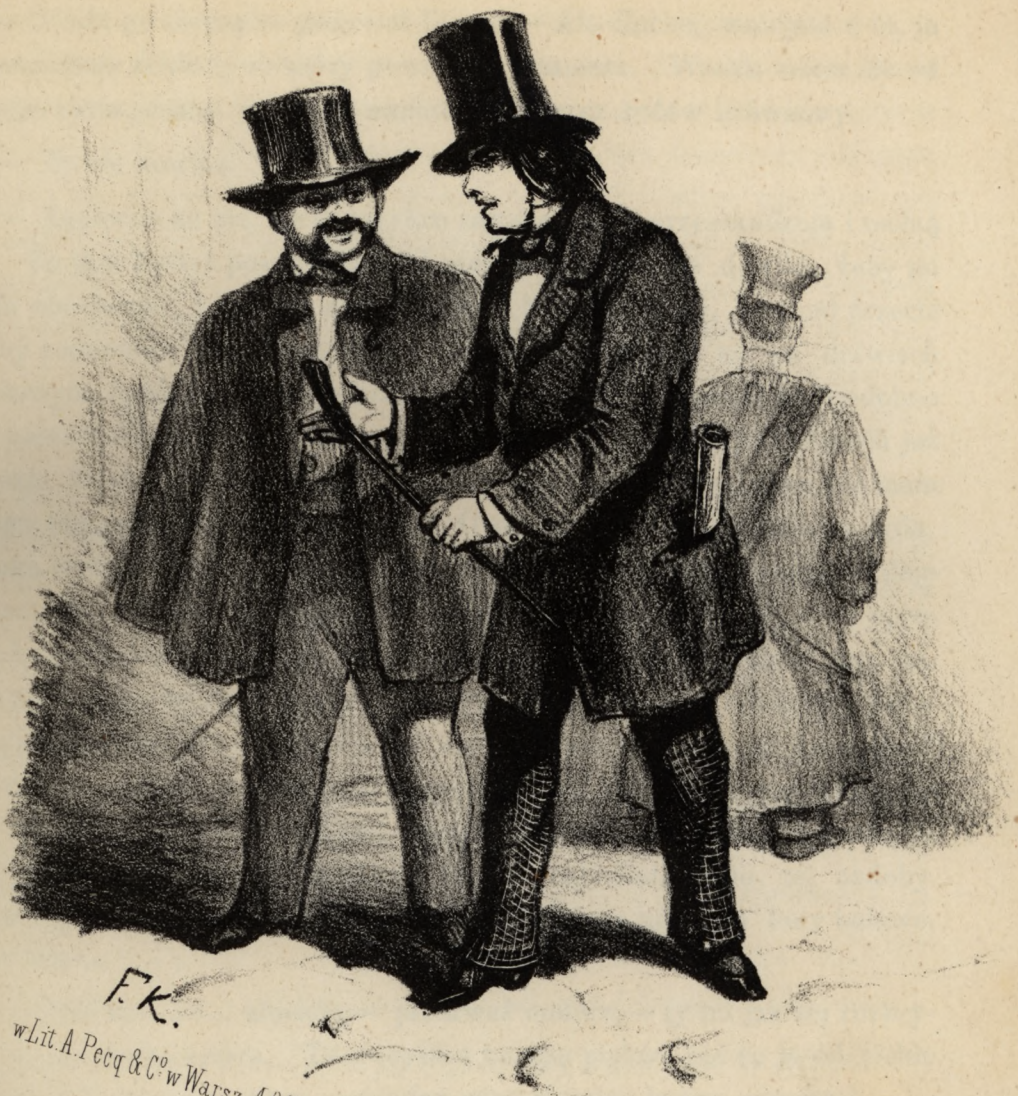
i poematów, nic z tego jednak nie rzucał na papier, mawiając że tutaj niema dla kogo pisać. Tymczasem pocieszali się jak mogli, prowadząc życie jakie nazywano wówczas artystycznym, a w którym jeden dzień gonił drugi, i jeden niepodobnym był do drugiego, raz hulając jak Sardanapale, drugi raz susząc jak Syxtus V, kiedy był jeszcze gubernierem nierogacizny, nie dojadłszy, nie dospawszy, ale dopiwszy zawsze. O obydwóch przyjaciele mówili że mają wielkie talenta, że gdyby malarz chciał malować a literat pisać, to stałby się mogli ozdobą i chlubą społeczeństwa, tymczasem jednak społeczeństwo obywatelskie było bez téj chluby i ozdoby, i dobrze mu jakoś z tém było.

Owóż pewnego razu po nocy bezsennéj, przepędzonéj nie na pisaniu, ani malowaniu, obaj przyjaciele, bo zapomniałem powiedzieć że malarz z literatem byli przyjaciółmi, a to dlatego w szczególności, że z powodu różności powołań, jeden drugiemu nie mógł włożyć w drogę, obaj mówię przyjaciele wracali pod rękę do domu. A słońce już wyszło było z wiślanéj kąpieli, i obydwaj zachwycali się tą przyjemnością letniego ranku, którą malarze i literaci śpiący w domu, nigdy prawdziwie rozkoszować się nie mogą, bo któż kiedy słyszał o tém żeby artysta razem ze świtem wstawał z łóżka. Na to jedynym jest sposobem wcale się nie kłaść.

Szli tedy pod rękę chroniąc się jak któren mógł od muru i rynsztoka, bo jak na nieszczęście ciągle im to mur to rynsztok zachodził z boku, i trudno im było środek trotuaru utrafić, a gdyby nie owe szumiące jeszcze w głowie libacje nocne, które im dodawały siły i rozjaśniały wzrok, byłiby może utknęli tu i owdzie, nie stało się jednak tak, dzięki ponczowi i piwu bawarskiemu; wiadomo bowiem że poncz i piwo bawarskie prostują drogi ludzkości.

I tak idąc prowadzili pomiędzy sobą bardzo żywą rozmowę, a było nawet o czém, bo przedmiot rozmowy stanowiła wyższość, jaką literatura winna mieć nad malarstwem, albo malarstwo nad literaturą, a skutkiem czego przychodziło do wniosku, czem był wart być Napoleon, jako najpierwszy człowiek swojego wieku, czy malarzem czy literatem.

- Napoleona plany kampanji to malarska rzecz—mówił malarz.
- A rozkazy dzienne to czysto literackie dzieło—odpowiedział literat.
- On pisał jak kura a rysował dobrze, dowód że więcej szanował nasze niż wasze powołanie.
- Ale najważniejsza rzecz co on robił to traktaty, a pewno je nie rysował tylko pisać musiał.
- Pokaż mi Rafaela pomiędzy literatami.
- Pokaż mi Homera pomiędzy malarzami.
- Wszakże etykiety do karmelków to także wasza robota.
- Tak jak wasze szyldy dla perukarzy i rzeźników.
- Malarz sam przez się coś znaczy, bo i na murze węglem może zrobić arcydzieło jak Zurbaran albo Vinci, a literat co kiedy zrobił na murze? a z tych frazesów co tam węglem napisane, nie macie się co szczycić.
- I szkło fotograficzne jest malarzem, bo lepiej robi portrety niżli wy.
- I noga stołowa jest literatem, bo lepiej niż wy wiersze pisze.
- A zresztą o co tu się sprzeczać—rzekł literat—jużcić my więcej znamy od was, bo mamy i pióro i język, a wy pędzel tylko, i niema z wami co dysputować, bo żaden z was nawet gadać porządnie nie umie.
- Jakto? ja nie umiem gadać? ja?
- Naturalnie że ty.
- Słuchajno—rzekł malarz zatrzymując się i porywając za guzik interlokutora—ja ci oświadczam że znam dobrze pod tym względem mój talent, i nietylko stu takich literatów jak ty, ale nawet przekupkę warszawską przegadać potrafię.
- E! niech ci się nie śni.
- Śni albo nie śni, a ja z tobą się zakładam, że przegadam przekupkę i nawet ty to przyznasz. No, czy stoi zakład?
- A o co się założysz, kiedyś ostatniego rubla przepił dziś w nocy.
- Ot to znowu trudność... niby ja nie mam kapitału w talencie moim, wymaluję obrazek....



F.K.
w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

— **Wszakże etykiety do karmelków to także wasza robota?**
— **Tak jak wasza, szyldy dla perukarzy i rzeźników.**

ENGLIOTERA



1952

Institute of Medicine

10952

— I nikt go niekupi—przerwał literat. — Ale słuchaj, mniejsza o to, ja ci proponuję zakład, na który pewno przystaniesz. Wszak wiesz że od pewnego czasu jestem ogromnie nachodzony przez żydów lichwiarzy.

— To nie nowina.

— Zapewne że nie, ale to przykro zawsze, bo mi przeszkadzają i nudzą mnie. Że tam kiedyś pożyczyłem od nich, to jeszcze nie dowód, żeby mi pokoju nie dawali, kiedy ja zapomniałem że im winien, to i oni przecie mogliby zapomnieć że mi pożyczyli. Owóż wymalujesz mi na drzwiach wchodowych żyda, któremu król Herod ścina głowę. I chociaż on podobno tylko pastwił się nad niewiniątkami, to ja znajduję że starsi jako dorośli już szachraje, daleko więcej zasługiwali na śmierć i pod tym względem nie mam żadnego skrupułu poprawiać historję. Owóż wymalujesz mi takiego żyda, a z boku zrobisz kamerdynera Heroda w najparadniejszym ubraniu, a daję ci tu wszelką wolność do fantazyi, bo starożytni nie przekazali nam opisu liberji króla Heroda, więc możesz go malować jak chcesz. Owóż ten kamerdyner, w ręku będzie trzymał chorągiew, a na chorągwi wielkimi literami wypisanem będzie: „Żydom pod karą śmierci wchodzić tu niewolno.“ A co, rozumiesz jaki paradny sposób pozbycia się ich? Już chyba żaden nie zajrzy do mnie. Oprócz tego nad mojem łóżkiem na ścianie wymalujesz trofea myśliwskie, bo od dawnego czasu wzdychałem do tój ozdoby. Oprócz tego odnowisz mi spluwaczkę i polakierujesz na nowo buty balowe. Oprócz tego...

— Oho! ho... ho... zawiele,— przerwał malarz,— ty bo jak się rozbrykasz, to już niema końca. To wszystko bardzo piękne, ale co ja od ciebie dostanę jeżeli wygram, czego pomiędzy nami mówiąc jestem pewnym?

— Ty odemnie?... zrobię na twoję pochwałę odę miarowym wierszem.

— E... co mi tam po twojój odzie, dość mnie i tak nanudzisz darmo twojemi wierszami, żebym je miał jeszcze brać w zapłacie.

— Ale słuchajże, oda, poezja liryczna, klassyczna rzecz. Pindar i Horacjusz wślawili się przez ody.

— Taka też to była i sława; że tam kilku dziennikarzy rozkrzyczało o nich, to nie dowód, bo i teraz mamy takich sławnych, którzy tem tylko wygrywają że żyją z redaktorami. A ty twoję odę każ lepiej wypisać na nagrobku dla twoich dzieł, co to się jeszcze nie urodziły. Dla mnie zaś musisz co innego zrobić. I widzisz jaka to ta wasza literatura, jak wy się nikomu na nic nie zdacie, kiedy ja nawet nie wiem co wziąć od ciebie. Ale czekajno wpadłem już na pomysł. Ot tak dobrze. Czy znasz tego ramiarza co to mieszka o trzy domy odemnie na rogu ulicy? Wszak wiesz przecie, tam jest szyld ze złotemi literami i girlandą złoconą.

— Znam, albo co?

— Otóż trzeba ci wiedzieć, że ja mu winienem trochę pieniędzy za ramy do obrazków, a nie mam z czego oddać. Więc mi ten szanowny alchemik (bo to prawdziwy jest alchemik, drewno w złoto przemienia) zaproponował, żebym godnej jego córeczce Kostusi która już jest na dorastaniu, dawał lekcje rysunków, a tym sposobem moglibyśmy się skwitować. Ale ja do lekcji niebardzo skory, nudzą mię, i jeszcze żeby też komu, ale ta Kostusia ruda i zézowata. Owóż kiedy ona koniecznie chce być utalentowaną, to ja zaproponuję jój godnemu tacie żeby brała lepiej lekcje deklamacji, bo nawet w całej familji jest jakoś powołanie do tego talentu, a lekcje deklamacji ty jój będziesz dawał, ma się rozumieć jeżeli przegrasz zakład.

— Ale zmiłuj się lekcje deklamacji zkądże ja...

— Jak to zkądże ty? a od czegóż jesteś literatem? Tyś powinien wszystko umieć i wszystkiego nauczyć bo to twoje powołanie. Żeby ci kazano dawać lekcje kichania, to powinienes dawać, bo to wstyd dla literata, nie umieć czego. I nawet niema o czém mówić, będziesz dawał lekcje Kostusi, bo oto jesteśmy już za Żelazną Bramą, a ot i stragan z przekupką; zaczynam więc, a ty stań na boku, słuchaj i gotuj się do twoich lekcji, bo ręczę ci że dzisiaj jeszcze je rozpoczniesz.

I rzeczywiście kiedy potomek Rafaela domawiał tych słów, stanęli właśnie przed kramem, przed którym krzątała się pilnie pani Maciejowa, porządkując i gatunkując do targu owoce, które w koszach nakrytych liśćmi ustawione były pomiędzy dwiema dranicami na długim wozie, zaprzężonym jednym koniem. Owoce te świeżo były przywiezione od ogrodnika zpod rogatek. Bo pani Maciejowa skoro świt zwykła była w asystencji męża udawać się za kupnem, żeby być jedną z pierwszych przy rozpoczęciu targu, i kiedy jechali do ogrodu, ona siedziała na wozie trzymając lejce, a mąż z batem w ręku podążał piechotą, ale z powrotem pani Maciejowa odstępowała miejsca owocom, jarzynom i innój ogrodowiznie której zwykle brała tyle, ile się na wóz mogło zmieścić.

Zdziwiła trochę panią Maciejową ta ranna wizyta dwóch kawalerów, bo o tej porze tego rodzaju gości za Żelazną Bramą trudno się było dopatrzeć; nie przestając więc ustawiania i porządkowania, spojrzała na nich z ukosa, kiedy tymczasem Maciej który właśnie kosz pełen jabłek z wozu zdejmował, żeby go postawić na ziemię pod ręką swojej połowicy, tak się zagapił widząc tych dwóch młodych panów co stanęli przed kramem jakby naradzając się i wskazując na nich palcem, że mu się kosz przechylił w ręku i kilka najpiękniejszych jabłek potoczyło się na ziemię, walając się w kurzu ulicznym.

— A przekłety gapiu!—zawołała pani Maciejowa, schylając się żeby podnieść jabłko i obcierając je troskliwie fartuchem, — że też ten niedojda zawsze do niczego; nie możesz patrzeć przed siebie, co ci tam do tego czy kto idzie ulicą czy nie?

— Ale proszę jejności...

— A będziesz ty trzymał język za zębami kiedy ja mówię,— zawołała rozjudzona już jejność, podjątrzało bowiem jej gniew że owi dwaj panowie zbliżali się do kramu z uśmiechem na ustach, jak gdyby się chcieli bliżej tej kłótni małżeńskiej przypatrzeć, i dodając fakt do argumentu palnęła

go w bok kułakiem, aż się Maciej potoczył i uderzył o wóz, chwytając ręką porażone miejsce.

I byłaby może jeszcze raz powtórzyła to napomnienie, bo pani Maciejowa była jak Henryk IV, dosyć spokojnych sentymentów przed bitwą, ale skoro raz powąchała prochu, to rosła w niej fantazja i ognistość, a wtedy nie wchodził jej w drogę, bo był to lew nie kobieta do walki; ale w téjże samej chwili jeden z tych dwóch panów (a był to malarz) zbliżył się do straganu i oparłszy się oń rękoma, zawołał donośnym głosem:

— Babo! daj bułki za grosz.

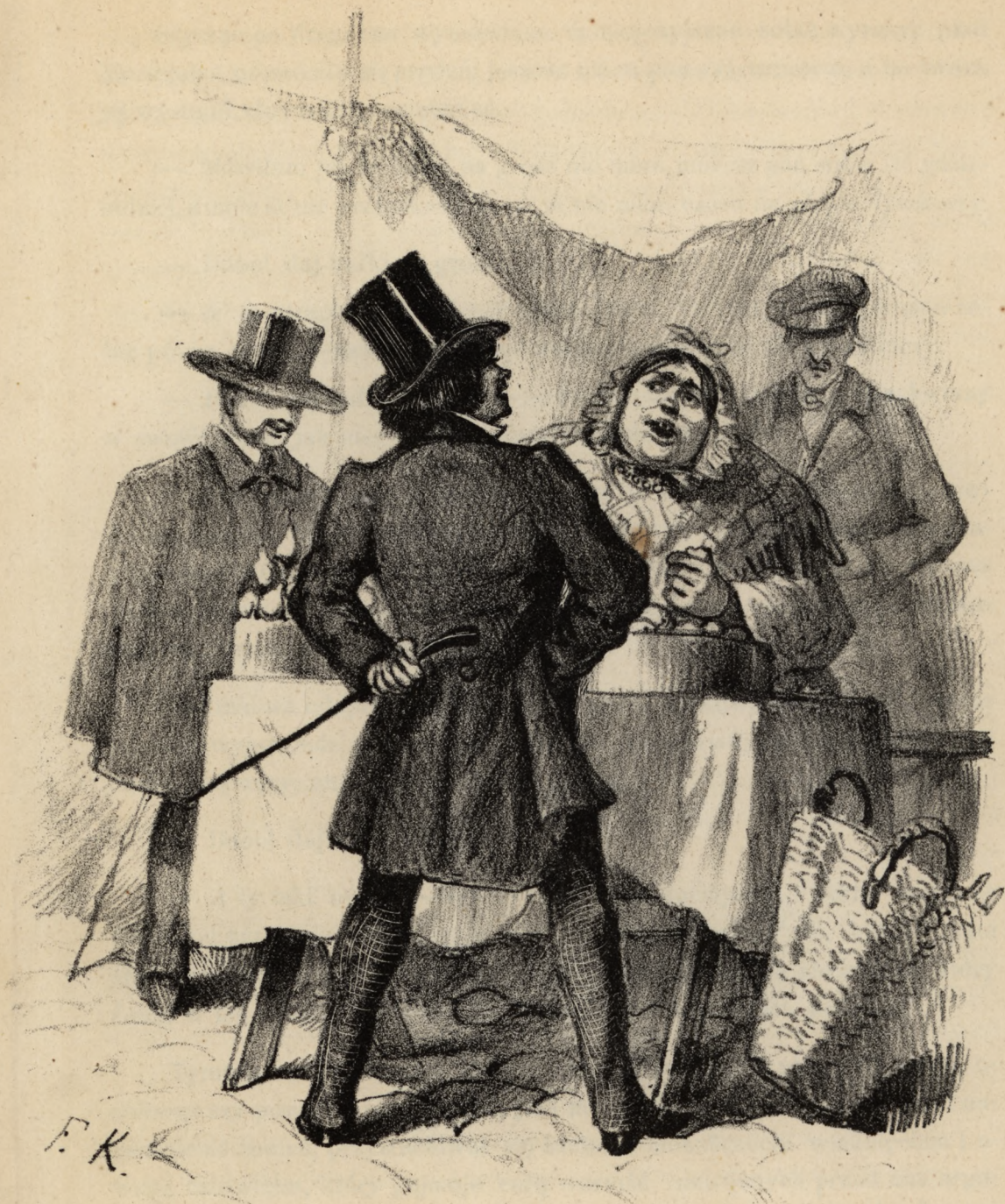
Słyszając to pani Maciejowa, zrobiła szybki odwrót, i stanąwszy frontem do tego zaczepnego korpusu, który tak w porę przybył w sukurs nawpół już pobitej mężowskiéj armji, odpowiedziała tonem pełnym poważnej godności, starając się o ile możności głos mitygować, żeby dać poczuć nieczesnemu żartownisiowi niedorzeczność zapytania.

— Naprzód, pan widzisz że to nie jest stragan z bułkami, tylko z owocami, kwiatami i ogrodowiznami, bułki sprzedają się na drugiej stronie gościnnego dworu, a i tam za grosz pan nie dostaniesz, bo najtańsza kosztuje dwa grosze, a tylko żydzi groszówki sprzedają. Powtóre trzeba panu wiedzieć że ja nie jestem babą, tylko kupcową, właścicielką kramu, rozumie pan, więc pan bardzo niepolitycznie gada i kwita.

I wraz z temi słowami rozgniółszy na miazgę przeciwnika pogardliwym spojrzeniem, sądząc że już skończyła dyskusję, odwróciła się napowrót do koszów z owocami.

Ale waleczny malarz nie dał się ustraszyć, ani tonem mowy, ani wyrazem oczów, chociaż i jeden i drugi niedobrze o rozpoczętej imprezie zwiastowały, i nie zmieniawszy pozycyi odezwał się znowu w ten sam sens, który raz już był na pani Maciejowej tak niefortunne uczynił wrażenie.

— Babo! daj bułki za grosz.



F.K.

w lit. A. Pecq & C^o w Warsz 4 82.

„Babo daj bułki za grosz”

BIBLIOTEKA



ČESKOSLOVENSKO

Institut výzkumu

10952

Słyszając po drugi raz wymówione te nieprzyjemne sobie wyrazy, pani Maciejowa odwróciła się prędzej jeszcze niż za pierwszymrazem, a na twarz jej wystąpił złowróźbny rumieniec.

— Mówiłam już że bułki za grosz nie mam, możesz pan sobie iść gdzieindziej, a mnie tu nie przeszkadzać, bo ja nie mam czasu na głupie dyskursy.

— Babo! daj bułki za grosz.

— A to utrapienie Boże, czy bziką dostał, czy co? Ruszaj wasan sobie pókim dobra,—zawołała grożąc mu pięścią,—bo to źle się skończy.

— Babo! daj bułki za grosz,—odrzekł znowu malarz niezachwiany w swojej mocy, jak niegdyś Pitt w parlamencie angielskim.

— Do kroćset tysięcy powiadam won! to mój kram i proszę się o niego nie opierać, bo ja waspanu inaczéj odpowiem,— i łącząc giest do wyrazów odepchnęła pięścią obie ręce malarza, który pozostał był dotychczas w dawnéj swojej pozycji, opierając się o kram, i wpatrując się w panią Maciejową z miną zimno ironiczną.

Ale malarz odepchnięty odstąpił o parę kroków, i nie tracąc wcale fantazji, wypowiedział tym samym tonem co pierwéj, nie niżywszy, ani podwyższywszy, ani na jedno źdźbło głosu:

— Babo! daj bułki za grosz.

— A ty taki! owaki!—wykrzyknęła pani Maciejowa, i jakby woda ze stawu po zerwaniu szluzu, cały dobór wyrazów obelżywych, których pani Maciejowa wcale piękny posiadała zasób, wysypał się na zuchwalca, który śmiał w ten sposób uwłaczać jéj uznanéj przez wszystkich godności.

Tymczasem pan Maciej dotąd widz nieruchomy i niemy téj sceny, ochłonawszy powoli z przestachu, jaki mu przed chwilą sprawiło ostre napomnienie żonine, przysłuchiwał się kłótni z filozoficznym wniknięciem i uwagą człowieka, który pojmuje całą wartość rozwijanych przed nim argumentów. Ale kiedy przyszło już do tego ostatniego perjodu, kiedy pani

Maciejowa rozwinęła w całej pełni znany mu dobrze zapal mówniczy, poczciwy Maciej snadź ucieszony wielce że wymysły te i pogróżki sypiące się jak grad z ust żoninych, nie na niego spadają, czy też przejęty zapalem podziwu, dla zimnej krwi z jaką ów jegomość słuchał bez mrużnięcia okiem całego tego potoku obelżywych wyrazów, poczciwy tedy Maciej przypomniawszy widać sobie dawne czasy wesołego warsztatowego życia, postawił na ziemię kosz który dotąd trzymał w ręku, nie wiedząc co z nim zrobić, poprawił czapkę na bok i płasnąwszy parę razy palcami wskazującemi o wielkie, zamucił nosowym głosem znaną dobrze warsztatową piosnkę:

Oj hojna, hojna, hojna,

Pod Krakowem wojna,

Stara krowa tego ryczy,

Ale młoda dojna.

Ale nie miał biedaczysko czasu zacząć drugiej strofki, bo w chwili tryumfalnego wyciągnięcia w falsettową nosową nutę ostatniej sylaby, przerwał mu śpiew, potężny policzek, wymierzony przez znajomą mu dobrze dłoń małżonki, że aż czapka zleciała mu na ziemię, i w oczach kilka tysięcy świec zaiskrzyło.

— A ty niedołego! hultaju!—zawołała pani Maciejowa,—on śpiewa błazen, zamiast ująć się za poczciwą żonę, którą sobie lada chłystek gębe wyciera.

A gdy domówiwszy tych ostatnich słów umilkła na chwilę zasapana, odpoczywając po tylu silnych wrażeniach, i obcierając czoło fartuchem, dał się znowu słyszyć jednobrzmiący głos malarza, który z regularnością wahadła zegarowego nie zmieniawszy ani na chwilę intonacji, powtórzył:

— Babo! daj bułki za grosz.

Na te słowa pani Maciejowa zatrzęsała się cała, chciała mówić, ale głos jej zachrypl w piersiach od zbytniego ferworu, porwała się jakby chcąc biedza ukarać zuchwalca, ale w tej samej chwili gruntowniejszy jej widać przyszedł

namysł, bo machnęła ręką, i mruknąwszy pod nosem jakieś wyrażenie bardzo podobne do tego, którego w bitwie pod Waterloo użył *Cambronne* w odpowiedzi Prusakom ofiarującym mu pardon, a które potem poetyzujący wszystko historycy przemienili w owe sławne „Gwardja ginie, ale nie podaje się,“ odwróciła się tyłem do napastnika i zamilkła.

Co zobaczywszy malarz, postać jeszcze na miejscu ze dwie minuty, a widząc że baba ani słowa się już nie odzywa, a mąż jej zestraszony schował się za wóz i nakrył koszykiem jak gdyby się chciał niewidzialnym uczynić, rzucił jej jeszcze dla dokonania ostatniego tryumfu owe zakłete słowa:

— Babo! daj bułki za grosz.

I wzięwszy pod rękę towarzysza, który spoglądał na niego z niemem uwielbieniem, na jakie każdy genialny czyn zasługuje, udał się wraz z nim ku domowi.

*

*

*

W kilka dni po owym wypadku, w mieszkaniu majstra ramiarskiego kunsztu, a rodziciela panny Konstancji, miała miejsce scena którą w wierzytelnym rysunku na miejscu zdjętym, mamy zaszczyt przedstawić przed oczy czytelników.

W pokoju którego ściany zawieszono są ramami bez obrazów i obrazami bez ram, przed stołem pokrytym zielonem sukniem na którym leży kilka porozrzucanych książek, karafka wody ze szklanką i kałamarz z piórem, siedzi na krzeselku znajomy nam literat, trzymając w rękę książkę rozwartą. A smutna musi być jego zaduma, bo drugą rękę machinalnie wznosił do góry, wzrok opuścił ku ziemi, a posępna chmura trosk osiadła na jego czole.

Przed nim stoi panna Konstancja w całym blasku wdzięków i stroju niedzielnego.

Z ust wzruszonej córki ramiarza dobywają się namiętne słowa Marji. Lewą rękę wzniosła do góry, jakby rzucała przekleństwo na niecnym zabójców ukraińskiej dziewicy, prawą przycisnęła do boku, jak gdyby po tej niewłaściwej stronie chciała szukać wydzierającego się z piersi serca.

A we drzwiach wpółotwartych widać uśmiechniętą głowę malarza, który przygląda się temu obrazowi, ucieszony z dokonanego dzieła.

Takim to dziwnem zrządzeniem losu, pani Maciejowa nauczyła się milczyć, a panna Konstancja deklamować.

W kilka dni po owym wypadku, w mieszkaniu majstra ramiarskiego kusztu, a rodziciela panny Konstancji, miała miejsce scena której w wie-

W pokoju którego ściany zawieszono są ramiarni bez obrazów i obrami bez ram, przed stołem pokrytym zielonym sukniem, na którym leży kilka poronizianych kociętek, karafka woły ze szklaną i kalamarz x podobnie na krzeselku stojącej, nam literat, trzymając w ręku książkę, roz-
warta. A smutna musi być jego twarz, bo drugą rękę machinalnie wznosi do góry, wrok opadł ku ziemi, a pospona chmura trosk osiadła na jego czoło.

Przed nim stoi panna Konstancja, w całym blasku włosów i stroju niedzielnego.



w lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 468

„..... mój drogi, mój miły
Więcej niż kochać wolno niżli starczą siły.”

OMAWOLUTURA



BALIK

ANULOWANO

10952

FIZYOLOGIA SASKIEGO OGRODU.

OGRÓD SASKI W LECIE

od godziny 5ej do 7ej z rana.

Godzina 5ta z rana.

Ulice Warszawy są prawie puste jeszcze.

Krakowskiem-Przedmieściem od Nowego Zjazdu zdąża jakiś jegomość kierując się ku Saskiemu placowi. A idzie szybko, bo wraca z kąpieli wiślaniej, woda zaś w Wiśle niezbyt ciepła o téj porze. I chociaż słońce dopiero co zaczęło przyświecać, a noc była wcale zimna, jegomość ów przybrał się w lekki paltocik, krawatkę zdjął z szyi, żeby mu nie zaciężyła, a kapelusz na czubku głowy zasadził, żeby tę szlachetną część ciała mógł dostatecznie przewietrzyć, wedle zasady hydropatów.

Patrząc jednak na niego nie bardzoobyś ufał w tę hydropatyczną kurację, której on wydaje się tak zapamiętale oddany. Wychudły to bowiem i wymokły człecznina, zdaje się zaledwie utrzymać się może na trzcinkowatych nóżkach, co podrygują w kolanach za każdym krokiem, jak gdyby o-

słabłe w nich zawiasy niezdolne były dźwigać ciężar mizernego korpusu, który do nich przyczepiony. Ręce takż odbywając w powietrzu zwykły ruch wahadłowy, wydają się jak gdyby przywiązane na sznurkach do ramion. Cała świeżość cery skoncentrowała się w nosie, który od połączenia z twarzą przechodząc od bladoróżowych tonów do coraz czerwieńszych, w ciągłym crescendo, kończy się jakimś zaognieniem koloru burakowego, co nadaje twarzy jego podobieństwo, jak gdyby kto gorejący węgiel w pokładzie żółtej kredy nasadził. I widać ów nos chociaż dość sporych rozmiarów, niedostateczny jeszcze do wciągania powietrza, bo człek ów otworzył usta, jak gdyby chciał którą z kamienie połknąć po drodze, i czasem tylko szczęknie resztką niezepsutych zębów, niby wół co przetrawia paszę. Nasz hydropata jednak niema nic jeszcze do przetrawienia, a tylko próbuje siły szczęk czy woda dostatecznie na wzmocnienie ich działa.

Skrećwszy na plac Saski, skierował się on prosto ku wejściu do Saskiego ogrodu, kiwnął głową stojącemu u drzwi weteranowi jako dawniej znajomości, i skrećwszy na lewo zdążał co sił stało do pompy, przy której jeszcze nie było alumnów Dobroczyńności, bo ich nadzór o tak ranniej porze nie wypuszcza z domu.

Ale na stanowisku przed pompą uprzedził go inny przysznicysta, choć zdawałoby się że ten ostatni nie powinienby poczuwać pochopu do tak rannego wstawania. Jest to bowiem opasła i sapiąca figura *bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha*, jak powiada poeta. Temu chociaż to i ranek chłodny i z Wisły dopiero co wrócił i szóstą już szklenicę wody z rzędu popija, djabie musi być gorąco, bo szary dymkowy kitel opada mu z ramion, całym ciężarem ciała oparł się o pompę, na twarz świecąca się jakby politurowaną, czerwonymi plamami wystąpiły rumieńce, a ogromne krople potu spływają mu z czoła, pomimo częstego użycia czerwono kraciestej chustki, która nie próżnuje w jego ręku. Na twarzy jego nie znać ani śladu zarostu, widocznie ręka golarza nigdy jęj nie dotknęła, i tylko z jednej strony policzka rozkwitła mała zarośnięta brodawka, którą jegomość ów pompatycznie nazywa faworytem i starannie zaczesuje.

— Witam, witam panie Ignacy, — zawołał pierwszy jegomość zbliży-

wszy się do pompy i wyjmując z kieszeni małą płaską szklaneczkę,—jakże dzisiaj zdróweczko.

— Połatawszy panie Justynie, połatawszy,—odpowiedział pan Ignacy, dopijając swojego kufła i pompując nowy transport wody, — paradna dziś była kąpiel, już oddawna takiej nie pamiętam.

I to powiedziawszy splunął, sapnął silnie i wziął się do wypróżniania siódmej z rzędu porcji, podczas kiedy pan Justyn swoje szklaneczkę napełniał.

— Wiele dziś kufelków pijesz,—zapytał się pan Justyn w chwili nowego przestanku.

— Zwykłą moją porcję. dwanaście tutaj, dwanaście na ulicy Widok, dwanaście przy rogatkach Jerozolimskich.

— A ja dziś szesnaście szklaneczek panie dobrodzieju, trzy razy po szesnaście, razem 48, he! dobra rzecz.

— No, jako tako, — odrzekł tamten z uśmiechem,—nie wiem jednak dlaczego tak ciągle dodajesz, bo dawniej pijałeś po czternaście, to nie dobrze tryb zmieniać.

— A ja wiem dlaczego zmieniam, o już ja wiem dlaczego,—i to mówiąc otarł szklanekę, z której wychylił już był ostatnią porcję, i wytarłszy starannie serwetką o czerwonych brzeżkach, włożył napowrót do kieszeni. — Wielka rzecz się zrobiła panie Ignacy, wielka rzecz, ogromny historyczny monument, oniemiejesz jak zobaczysz, powiadam ci ta woda cudów dokazuje.

— No i cóż takiego,—zapytał pan Ignacy chowając kufelek pod pachę i udając się z towarzyszem w dalszą podróż aleją okrążającą Saski ogród, a znaną dobrze hydropatom, bo tam zwykle swoje kursa odprawują.

— Powiadam ci że nie będziesz wierzył własnym oczom, już jest.

— Co jest?

— Jest powiadam ci, i to według wszelkich zasad... Co to za lekarstwo ta woda!

— Ale cóż, powiedzże nareszcie?

— Patrz!

I to rzekłszy pan Justyn stanął na chwilę, odchylił tryumfalnie na pierśsiach koszulę i pokazał mały pryszczyk wielkości łebka od szpilki, który się tam był uformował.

Pan Ignacy stanął także i patrzył się przez chwilę, nie wiedząc co to ma znaczyć.

— A co? widzisz?—zapytał pan Justyn,—kryzys, słowo honoru kryzys.

— Jakto? ta krostka?...

— A tak, krostka, jak Boga kocham kryzys, będę miał wyrzuty, będę obsypany wyrzutami,—wołał pan Justyn odchodząc od siebie z radości, i byłby do góry podskoczył, żeby mu chwiejące się nogi na to pozwoliły.— Teraz podwajam porcję wody, a wkrótce będę zdrów jak ryba, utyję jak beczka, jak ty panie Ignacy ożenię się z radości i co większa będę miał dzieci.

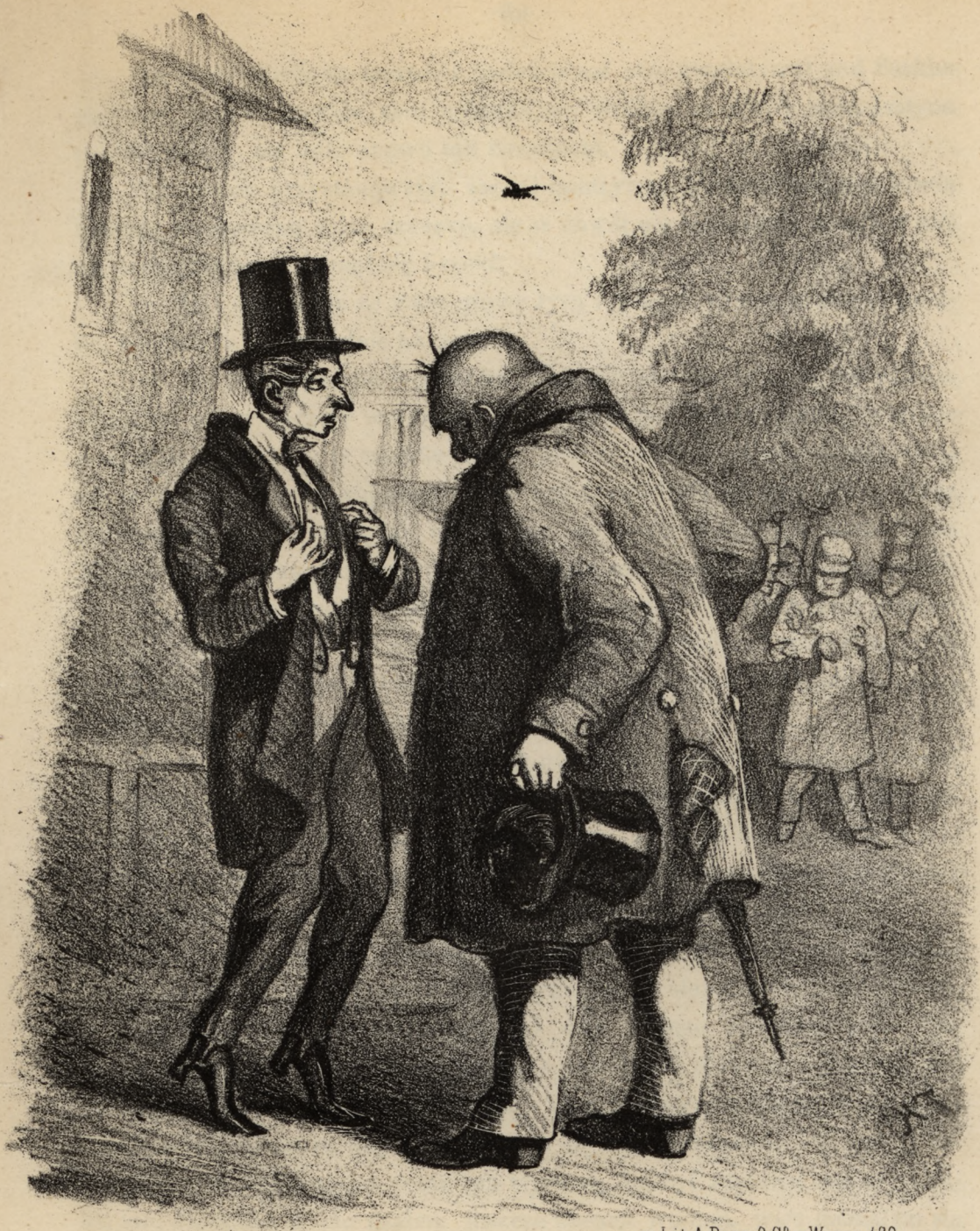
Pan Ignacy patrzył na niego z zawiścią, w której się nawet trochę gniewu malowało.

•Po chwili westchnął.

— Nie każdy taki szczęśliwy,—rzekł nareszcie,—ja już od pięciu lat piję wodę, a jeszcze nie mogłem się doczekać żadnej rany. Ale i ja pomimo tego czuję już zbawienne skutki kuracji. Młodziej wyraźniej, ot patrz!

To mówiąc pan Ignacy zdjął perukę, bo zapomnieliśmy powiedzieć że szanowny hydropata korzystał z tego wynalazku Meda Astyagesa i odkrył głowę tak doskonale łąsą, że gdyby Saski ogród był letniem mieszkaniem syrakusańskiego Hierona, i gdyby się to działo na 456 lat przed narodzeniem Chrystusa, a nie w roku pańskim 1857, byłby niezawodnie pana Justyna tragiczny koniec greka Eschylesa spotkał.

(Eschyles sławny tragedjopisarz grecki, przy końcu swojego życia trapiiony powodzeniem Sofoklesa, któremu grecy oddawali pierwszeństwo, schronił się był na dwór Hierona króla Syrakuzy. Tam gdy się raz przechadzał w okolicach miasta, orzeł unoszący nad nim żółwia w powietrzu, wzięwszy łąsą jego głowę za sterczący wierzchołek skały, spuścił nań żółwia, którego skorupę chciał rozbić, i tym sposobem stał się przyczyną jego śmierci).



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

Od 5^{ej} do 7^{ej} z rana.

OKAWOLUPA



Ale w tej chwili na szczęście żaden orzeł nie przelatywał nad Saskim ogrodem, a to co zwykle tam mieszkający wróble na głowę pana Justyna spuścić mogły, nie było znowu tak straszmem.

Pan Justyn przystanąwszy, zaczął opatrywać z należytą zimną krwią i uwagą okazywaną sobie czaszkę, ale w chwili nie znalazłszy snadź w niej nic szczególnego, odsunął się i rzekł:

— No i cóż, wiem że masz głowę łąsą i dobrze robisz że nosisz perukę, chociaż to niewygodnie na gorąco.

— Ale ty nie widzisz— zawołał w zapale pan Ignacy — ty nie widzisz że już mi włosy zaczęły wyrastać, o... patrzaj już jest ich kilka, wkrótce wszystkie odrosną, a to wodzie tylko jestem winien. Codzień wypatruję ich w lusterku powiększającym, przed tygodniem było ich trzy tylko, teraz już czwarty mały wyrosł, ale nie bój się, dorośnie on wkrótce tamtych, bo dziwna siła wegetacyjna rozwija się we mnie, sam to czuję... po wszystkim.

— Niema jak woda,—wykrzyknął pan Justyn, — to lekarstwo uniwersalne, i proszę patrzeć, ci głupi uczeni w średnich wiekach szukali jakiegoś kamienia filozoficznego, jakiegoś elixyru życia, a elixyr życia mieli pod ręką w pierwszej lepszej sadzawce albo studni.

— O ja mam moje uwagi spisane pod tym względem,—odpowiedział pan Ignacy, wkładając napowrót perukę,—wydam je kiedyś i zobaczysz jak to przewrót zrobi we wszystkich naukach. Tylko czekam jeszcze z wydaniem, bo ciągle zachodzą nowe zmiany, co chwila ukazuje się jakiś nowy symptomat, który mię na nieznaną jeszcze naprowadza drogę.

— To nie ulega wątpliwości,—odrzekł pan Justyn,—ale i za to można śmiało zaręczyć, że dwadzieścia do trzydziestu lat starannój kuracji wodnej, z warunkiem nieopuszczania żadnego dnia pilnego zachowywania diety, i stosownego sposobu życia, mogą z najcięższój słabości wyleczyć, ba! nawet odmłodzić zupełnie człowieka. Ty nie uwierzysz jak ja ciągle młodszej, zdaje mi się że napowrót zbliżam się do dzieciństwa. Ot patrz, temu piętnaście lat kazałem sobie ząb wyrwać, bo był zupełnie zepsuty i bolał mię okropnie, a nie znałem jeszcze kuracji wodnej, więc musiałem się udać do dawnych zastarzałych przesądów. I wyrwano mi ten ząb. Wy-

stawże sobie obecnie działło na tém samym miejscu gdzie on rośl dawniej, stwardniało jak kamień i bardzo jest podobnem do prawdy, że mi wkrótce nowy ząb wyrośnie. Ale cóż to ja widzę?.. patrzajno!...

Przedmiot który zwrócił uwagę pana Justyna, była to grupa składająca się z czterech osób. Główną postacią w tej grupie był jakiś jegomość wysoki, chudy, o cerze żółtej i chorowitej, nad podziw wynędzniały: oczy jego były szklanne, zagasłe, na twarzy napróżnobyś szukał wyrazu życia, zresztą całe ciało zdawało się ulegać najzupełniejszej bezwładności, bo chociaż go dwóch ludzi prowadziło pod boki, a trzeci idący z tyłu z dwiema kulami pomagał mu jeszcze, to jednak jegomość ów z trudnością powłaczał nogi, stawiając wolniutko krok za krokiem, i jeszcze za każdym razem trzeba go było podnosić, żeby mu ułatwić to tak małoznaczne poruszenie.

— To pan Erazm,—zawołał pan Ignacy,— ot widzisz przed sobą najdzielniejsze skutki wody. Już temu to spodziewam się nikt nie zaprzeczy. Pan Erazm dopiero od dwóch miesięcy bierze kurację wodną, był sparaliżowany na lewą część ciała, i zaledwie o kulach chodzić mógł. Więc jak go zobaczyłem tak słabym, poradziłem mu zimną wodę i powinienby mi do zgonną wdzięczność za to zachować. Bo wystaw sobie on co bez kuli ruszyć się nie mógł, teraz patrz jak sobie żwawo spaceruje przy pomocy tych dwóch lokajów, a trzeci niesie kule za nim, bo już widać wcale mu niepotrzebne.

W tej chwili właśnie zbliżył się do nich pan Erazm i mieli się mijać.

— A co, jakże idzie, tego, nieprawdaż,— zawołał pan Ignacy jak człowiek pewny swego, który wie już z góry, że twierdzącą odpowiedź otrzyma.

— To jest nie wiem jeszcze,— odpowiedział skrzywiony pan Erazm, zatrzymując się i opierając na swoich trzech służących.— Dotąd jakoś nie szczególnie, bo dotychczas mię tylko lewa noga bolała, a teraz obiedwie nie domagają i czuję jakieś łamanie w rękach i krzyżu.

— To bardzo dobrze,—zawołał pan Ignacy zacierając ręce,—powinieneś się pan z tego cieszyć, widać że woda skutkuje. Bo trzeba panu znać zasadę wodnej kuracji: w tej kuracji im gorzej tém jest lepiej, im pan słabszy tém prędzej powinieneś się spodziewać przesilenia. Ja myślałem z po-

czątku że panu woda przywróciła władzę w nogach, ale kiedy nie, to tém lepiej, bo skutkuje gruntowniej. Jak pan zupełnie utracisz władzę i czucie w członkach, to wtenczas mogę ci zaręczyć że będziesz o dwa palce od kompletnego zdrowia.

Erazm nic nie odpowiedział, ale wsparłszy się na służących, uczynił z wysileniem krok naprzód i westchnął, jak gdyby nie dowierzał twierdzeniu pana Ignacego, lub téż znajdował kurację gorszą jeszcze od słabości. Pan Ignacy zaś z panem Justynem podążyli w stronę ulicy Marszałkowskiej, bo tam niedaleko kolei żelaznej jest druga wodna stacja.

Od godziny 7ej do 9ej.

Około siódmej z rana zmienia się fizyonomia spacerujących: miejsce wody naturalnej zastępują mineralne, a zwolennicy tych ostatnich rozpoczynają kurację, kiedy tamci po większej części pokończyli swoje kursa. A łatwo rozpoznać jednych od drugich.

Hydropaci jako bardzo ranni goście, nie wielce są staranni w ubiorze, bo zmuszeni zaraz po wstaniu z łóżka biegnąć czempredzej do kąpieli zimnej, a potem wracać dla wypicia porcji wody, przechodzącej niejednokrotnie miarę średniowiecznych tortur, które przez przymusowe wlanie wielkiej ilości wody w gardło zadawano; hydropaci mówią, byle co zarzucą na siebie, mniej dbając o powierzchowność, u nich bowiem głównym przedmiotem jest kuracja, o niej tylko myślą, o niej mówią i do niej wszystkie swoje działania zwracają. Rzadko kiedy pokazują się oni w głównych alejach, ale obchodzą zwykle na około pewną ilość razy Saski ogród, i to bardzo szybkim krokiem, najczęściej sami, czasem we dwóch lub trzech, ci jednak którzy szukają towarzystwa, nie są prawdziwymi zwolennikami kuracji zimnowodnej, bo dobremu skutkowi téj kuracji wszystko przeszkadza, nawet rozmowa. I dlatego niektórzy z nich zakrawają nawet na monomaniów, tak im ta myśl utkwiała w głowie i wszelkie inne wykluczyła. A nie są to wcale zwolennicy kuracji greffenbergskiej, warszawscy bowiem hydropaci utworzyli sobie osobne zupełnie reguły, odbiegające od zasad przez

Prysznica przekazanych. Rzadko pomiędzy nimi napotyka się kobiety, a i te ulegając ogólnie przyjetemu systematowi, chodzą najczęściej same i niewielką staranność w toalecie okazują. Więc hydropatę poznasz odrazu po szybkim chodzie, zaczerwienionym nosie, minie zafrasowanej, a jednak zadowolonej z siebie i monologach jakie wielu z nich odprawują idąc. A że nie lubią gości udających się na wody mineralne, i mają nawet dla nich pewien rodzaj pogardliwej litości, jako dla zabijających się dobrowolnie, starają się ułatwić prędko, zanim się tamci schodzić zaczną.

Goście wód mineralnych zupełnie inny przedstawiają pozór. A najprzód dzieli się oni na dwie kategorie, to jest na chorych i zdrowych, chociaż trzeba przyznać że pomiędzy tymi nibyto chorymi, także na zdrowych nie braknie. Wody mineralne jest to kuracja modna, kuracja połączona z przyjemnością, więc ci którym brak środków, czasu lub sposobności udania się za granicę, pocieszają się korzystając z wód mineralnych tutejszych, a Instytut Saskiego ogrodu od kilku lat wszedł w modę.

Bardzo naturalnie, uczęszczających na wody mineralne damy stanowią znaczną część, można nawet powiedzieć większość. A nie idą one wcale wzorem hydropatek, bo toaleta u nich jest jednym z gruntowniejszych zajęć. Tutaj bowiem jest pora popisania się ze wszelkiego rodzaju strojami rannemi, letniemi szlafroczkami, zarzutkami, a w szczególności owemi ogromnych rozmiarów pasterskimi kapeluszami, których na wodach mineralnych więcej niż o każdej innej porze się ukazuje. Z mamami choremi przychodzą zdrowe córeczki; dla potrzebujących kuracji mężów poświęcają się czułe żony, a bardzo naturalnie tak liczne i świetne często zebranie płci żeńskiej pociąga za sobą cały świat młodych ludzi warszawskich, którzy przychodzą zabawić rozmową piękne pacjentki, i dotrzymywać im towarzystwa w przechadzce.

Szczególniej w święta wody mineralne bywają bardzo świetnemi. W czerwcowe i w lipcowe zwłaszcza, modny ton warszawski, zanim się jeszcze wybierze za granicę, uczęszcza tam w pełnym zebraniu, i na tej rannej przechadzce każdego napotkać można.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz, 482.

Od 7^{ej} do 9^{ej} z rana

WILKOWSKI



Tam to debiutują zwykle niektóre piękności, tak warszawskie świeżo wychodzące w świat, jak i przybywające z prowincji, i należyty odrazu znajdują rozgłos. A ponieważ z konieczności towarzystwo jest tam zmieszane, więc wszyscy o wszystkich wiedzą. Tam się powtarzają nowinki wczorajsze, kursują plotki, wyrabiają opinie. A nawet można powiedzieć że wody mineralne oprócz innych leczących własności, kurują także i z samotnego stanu, bo znam wiele pacjentek, które skutkiem tych wód wyleczyły się z tej słabości... małżeństwem.

Wody mineralne tak jak zgoła każde inne przedsiębiorstwo, posiadają w gościach na nie uczęszczających swój stały fundusz i kapitał obrotowy. Stałym funduszem można mienić pewne indywidua, które corocznie ukazują się tam, i przez cały czas trwania pory kuracji, ani jednego prawie dnia nie opuszczają. W tej części gości pacjenci nieskończoną mniejszość stanowią; sąto amatorowie i amatorki, dla których ranna przechadzka po Saskim ogrodzie stała się konieczną potrzebą, żyćby nie mogli bez niej. A zna ich cała Warszawa i noszą nazwę filarów Saskiego ogrodu. Różny ich wiek i położenie socjalne, znamy pomiędzy innemi jeden taki filar *zgarbiony zwycięstwami, poszczerbiony wiekiem*, a jednak dzielnie dotrzymujący towarzystwa najładniejszym damom, i sypiący im jak z worka galanterje tracące trochę czasami Księstwa Warszawskiego. Przetrwał on wszelkiego rodzaju mody damskie, wielkie i małe kapelusze, rękawy bufiaste i obcisłe, stany krótkie i długie, pamięta nawet puder i muszki, uwielbiając pod każdym z tych kształtów piękne twarzyczki następujących po sobie generacji dam naszych; obecnie jednak przyznał nam się konfidencjonalnie, że modne teraz krynoliny i spódnice stalowe na sprężynach, dały mu się porządnie we znaki, „niepodobieństwo bowiem, — mówi, — iść przy damie, ja niebardzo pewny już jestem w nogach, a tu jak na umysł co chwila to ogromna spódnica mi się płacze i zaczepia po drodze, tak że zamiast rozmawiać z damą, muszę się pilnować żeby nie upaść i jej za sobą nie pociągnąć. To chyba mężowie wymyślili te spódnice, żeby ich żonom nic do ucha powiedzieć nie można, bo chcąc nie chcąc trzeba się od nich trzymać przynajmniej na dwa łokcie odległości.“

Kapitał obrotowy wód mineralnych składa się z gości przypadkowych, meteorów ukazujących się tam przez pewien czas na horyzoncie i znikających wprędce. O tych jako używających wód z prawdziwej potrzeby, albo też przebywających czasowo w Warszawie i pragnących poznać wszelkie jej przyjemności, niewiele jest co pisać. To tylko pewna że każda nowa postać ukazująca się na wodach mineralnych, jeżeli w czemkolwiek potrafi sobie zjednać uwagę, poznana zostaje wkrótce przez wszystkich i choćby to był mieszkaniec albo mieszkanka najoddalonych okolic kraju, to każdy ze zwykłych tamecznych gości mógłby napisać jego albo jej życiorys z najdrobniejszymi szczegółami. Mianowicie posażne panny, ulegają przed innymi badaniami tego rodzaju, i stan majątkowy, stosunki domowe, kolligacje familijne każdej z nich, kursują z ust do ust pomiędzy młodzieżą, żądną tego rodzaju towaru. Jest on jednak coraz rzadszy, i jak słusznie jeden z pretendentów do stanu małżeńskiego zauważył, zbliża się czas, w którym panny z prawdziwym a nie urojonym posagiem, będą pokazywane jako osobliwość, w umyślnie urządzonych do tego muzeach. Nawet zabużańskie dobra wzbudzają już nieufność, jakkolwiek przed niedawnym jeszcze czasem były one prawdziwą ziemią obiecaną łaknących wielkich posagów.

Od godziny 9ej z rana do 1ej z południa.

Saski ogród staje się pastwą wszelkiego rodzaju dzieci, guwernantek, bon i nianiek. Rzadcy przechodnie muszą co chwila ustępować z drogi kółkom, balonom i piłkom wirującym we wszystkich kierunkach. W alejach głównych oprócz wrzeszczących dzieci, i nieodłącznego od nich dozoru który przy tym wrzasku oddaje się błogim snu marzeniom, niczego nie dostrzeżesz. Za to w alejach pobocznych pod cieniem drzew rozłożystych, nieradko można napotkać czułe pary, oddające się bardzo zajmującej rozmowie. Są to po większej części guwernantki, które korzystając z chwil rekreacyjnych swoich pupilów i pupilek, obracają czas tym sposobem zyskany na robienie charakterystycznych studjów nad płcią męzką w Polsce,

żeby potem świadome niebezpieczeństwa tem łatwiej od niego ustrzedz mogły powierzone sobie niewinne istoty. Te różnego rodzaju gry niewinne, mają to do siebie, że zadawalniają obie strony: dzieci, które zostawione samopas łatwiej mogą krzyczyć i dokazywać, i nadzorcynie ich, które tym sposobem wolne od wszelkich przeszkód, ukwiecają sobie życie, mozolnym trudom edukacyjnym poświęcone.

Od godziny 1ej do 3ej.

Modny świat znowu wraca do Saskiego ogrodu, zgromadzając się mniej licznie w dni powszednie, liczniej w święta, w bocznej alei po lewej stronie od Skwarcowa pałacu, która następcza pożądaną cień przed skwarem słonecznym. Jest to można powiedzieć pewien rodzaj wystawy toaletowej: wszystkie ławki są zapełnione, a tam i napowrót krążą ciągle liczne tłumy dam i mężczyzn do wszelkich koterji warszawskich należących. Tu już nie dojrzyś owych toalet negliżowych używanych na wodach, tam dozwoloną jest oryginalność ubiorów, a nawet popłaca często, tutaj przeszłaby przez podwójny alembik złośliwych języków, bo od 1ej do 3ej wspomniona aleja Saskiego ogrodu staje się wielkim salonem, gdzie się zbiera najmłodniejszy świat warszawski, albo raczej staje się ona salą teatralną, w której ławki są lożami, a przechodzący się po alei aktorami, dającymi z siebie widowisko. Mało tam oklasków, ale za to krytyka nie folguje. Szczególniej damy biorą na siebie obowiązek recenzentów, i wywiązują się z niego sumiennie. Nic tam nie ujdzie baczności ławkowego areopagu, każdy stosunek, stosuneczek, każdy odcień i usposobienie, każda zmiana w powierzchowności lub sposobie bycia, bywają należycie roztrząsane. Kronika Warszawy rozwija tam najciekawszy swój wątek, i kółka towarzyskie w zwykłych okolicznościach obce sobie zupełnie, odsłaniają jedne przed drugimi swoje tajemnice. I tym razem filary ogrodu Saskiego, o których zapomnieliśmy, nie zaniedbują stawić się do apelu, i są one można powiedzieć osiami około których cały ten ruch krąży, spójnią, bez której może

nie byłoby tego zebrania. Zresztą trudno określić charakterystycznymi rysami owe zbierające się tam towarzystwo, jest to w ogóle cała Warszawa we wszystkich swoich odcieniach, z całą swoją różnobarwną ludnością noszącą rękawiczki i kapelusze, (bo indywiduom czapkowym i czepkowym, a zwłaszcza niosącym pakietą, wejście do Saskiego ogrodu bywa utrudnione), jest to owo kosmopolityzujące się miasto, które powierzchowność francuzką a teraz po części i angielską, na grunt swój polski wszczepiło. Bo głowa a serce Warszawy to nie jedno. A że wielu po głowie sądzi, bo w serce trudno wglądać, dlatego tak różnorodne zdania o naszym mieście słyszymy.

Od godziny 3éj do 4éj.

Saski ogród wyludnia się znowu i staje się już tylko punktem przechodnim, ulicą a nie przechadzką. Urzędnicy wracający z biur i spieszący na obiad nadkładają często drogi, żeby przechodząc przez Saski ogród widokiem zieloności nabrać apetytu, i odświeżyć się trochę ogrodowem powietrzem po biurowym pyle. Weterani zasypiają w budkach, z czego korzysta gawieź uliczna i starozakonni, wierni swojemu tradycyjnemu strojowi, wślizgując się w obwód który w innym czasie jest im zabroniony. Ławki puste, nawet guwernantek i nianieek napróżnobyś o tym czasie szukał. Napotkasz tylko tu i ówdzie przechadzających się emerytów, którzy jako wolni od zatrudnień, po skończonym obiedzie dla konkokcji żołądka, używają sobie spaceru, i popijają zimną wodę, w wielkim u nich mirze będącą.

Od godziny 4éj do 6éj.

Znowuż dzieci, niańki i guwernantki, tylko tym razem dzieci najedzone więcej hałasują, a guwernantki stają się czulszemi, bo wiadomo że dobre trawienie i zbliżająca się wieczorna pora, miękczy serca i usposabia do tkliwości.

Od godziny 6ej do 9ej.

Następuje trzeci i ostatni perjod zebrania towarzystwa warszawskiego. Tym jednak razem za główny punkt tego zebrania służy wielka aleja, która zapełnia się zupełnie, z krzywdą wszystkich bocznych traktów. Ale towarzystwo już jest wyłączeniejsze, są to można powiedzieć stali kuntmani Saskiego ogrodu, którzy pozostali mu wiernymi, pomimo tysiąca przechadzek, rozrywek i zajęć wabiących gdzieś indziej, a mianowicie Arkadyi, Szwajcarskiej Doliny, i Ogrodu botanicznego, które są o tę porę dla Saskiego ogrodu niebezpiecznymi współzawodnikami. Nawet można powiedzieć że Saski ogród wieczorem, z wyjątkiem niektórych szczególnych okoliczności, nie jest już taką modną jak dawniej przechadzką. Najzapaleńsi jego zwolennicy zaczynają go powoli opuszczać, żaląc się na ciągle spotykane tam jednostajne widoki. Za to od pewnego czasu kardynalna zmiana widziéć się tam daje. Modny świat izraelski od roku czy dwóch obrał sobie Saski ogród za punkt schadzki, bo ogród Krasińskich spowszedniał mu już. I to do tego stopnia, że zwłaszcza w soboty zwykłym tamtejszym gościom trudno się *in gurgite vasto* rozpoznać, chodzą ze zwieszonemi głowami, szukając dawnych swoich znajomych, a napotykJają nowe tużurki, nowsze jeszcze suknie i najnowsze fizjognomje. Sic transit gloria Saskiego ogrodu. Jak w nowem Jerycho padły jego kraty o drażkach złożonych przed głośnemi trąbami armji z nowiniarskiej ulicy i z Muranowa, która to armja trzymana dotychczas odpor- nie, zaczyna już swoje podboje w całym mieście szerzyć. Nie ganimy weale tego zrównania się, byleby wszelkie wymagalne warunki dopełnione były, byleby nasi warszawscy Tassowie nie zmuszani zostali na wzór poznańskich, rzucać kłatwę na tę Jerozolimę wyzwoloną.

Od godziny 9ej do 10ej.

Saski ogród pokrywa nocy pomrok szary,
Na ławkach zasiadają rozmarzone pary:

Rozpoczyna się pora miłosna i słodka,
Którą kończy zawistna strażników grzechotka.

Od godziny 10ej wieczorem do 5ej z rana.

Saski ogród zamknięty.

Ogród Saski w zimie.

Oddany zostaje na pastwę śniegowi, wronom i hydropatom, którzy
w całym komplecie wiernymi mu pozostają.

WŁAŚCICIELE DOMÓW I LOKATORZY

W WARSZAWIE.

Kiedy praojcowie nasi idąc w ślady swoich ojców i dziadów, większą część życia przepędzali pod dachem namiotów, na siodle lub na gołej ziemi, pod burką lub wilczurą, wtedy mało kto starał się o wygody w domach przeznaczonych tylko na chwilowy odpoczynek po trudach i niewygodach, na usługach publicznych spędzanego żywota. Przejdźmy się po Starem-Mieście naszej Warszawy, po ulicach Sto-Jańskiej, Piwniej, Dunaju i t. p., przypatrzmy się budowie kamienic, które z owej epoki pozostały, a odwrócimy się prawie ze wstrętem od tych wejść wązkiech, od schodów ciasnych i ciemnych, od izb sklepionych i podrobionych na małe klitki, od korytarzy którymi ledwie jeden człowiek przecisnąć się może, i żałować będziemy ludzi którzy się w nich duszą i wędzą. Gotowibyśmy rzucić klątwę na całą architekturę ówczesną, gdybyśmy nie patrzyli jednocześnie na kościół Sgo Jana, na kościół Sgo Krzyża, na kościół OO. Karmelitów, i tyle innych świątyń pańskich, przy których wszystkie pomysły dzisiejszego budownictwa wyglądają jak arlekiny przy towarzyszach pancernej chorągwi, jak dzieci w loczkach i kółkach, obok wyniosłych postaci poważnych mężów. Nie działało się to więc z winy budowniczych, ale z nawyknienia ludzi do trudów i niewygód, po których lada cichy kącik, lada dach przez który nie wiało i nie ciekło, wydawał się im rajem rozkoszy i zbytku.

W owe czasy serdeczny był stosunek właścicieli domów i lokatorów, bo kto budował kamienicę, myślał tylko o własnem dla siebie schronieniu, nie obliczając zupełnie czy ona przyniesie mu i jaki procent od wyłożonego kapitału. Pomieścił się sam gospodarz, a gdy zbywało mu jeszcze mie-

szkania, to oddawał go dobremu przyjacielowi, krewniakowi, znajomemu, którzy że się tak wyrazimy, przyrastali do murów kamienicy, i często dzieciom i wnukom swoim mieszkania w spadku przekazywali.

Kiedy Stanisław August i wszyscy jego czciciele tysiącami rąk zaczęli wprowadzać dworskość i miękkość w życie społeczne, chcąc na ich łonie ukołysać twardy charakter narodu, ufrizonanym i upudrowanym paniczom nie podobały się siedziby ich ojców, i Warszawa na gwałt zaczęła się rozrastać i przystrajać okazalszej budowy domami o wygodnych zajazdach, szerokich schodach i wspaniałych apartamentach. Ale że takie domy budował po większej części panowie (dla siebie i swoich dworzan), więc ci którzy w najmowanych lokalach musieli się mieścić, przyglądali się tylko tym pańskim zbytkom, nie myśląc nawet o tém, aby one kiedyś upowszechnić się mogły. Kupiec, rzemieślnik, urzędnik, już liczną musiiał mieć rodzinę, jeżeli najmował trzy lub cztery pokoje, a młode będące jak to mówią na dorobku małżeństwa, uścielały sobie gniazdeczka najbliżej nieba, na najwyższych piętrach kamienic, schodząc coraz niżej, w miarę tego jak ciężar kieszeni do tego ich znagłał. Mamy przed sobą dowody że w kamienicach w których mieściło się wówczas po 250 osób, dziś zaledwie mieści się 135, chociaż ani jednego łokcia kwadratowego kamienicy nie ubyło, a kiedy dziwililiśmy się temu, to gospodarz pokazał nam plany dawne i terażniejsze, z których przekonałiśmy się że począwszy od r. 1800 ośmnaście razy dom przerabiano, wyłamując ściany poprzeczne i rozszerzając lokale. Powiedzieliśmy już że pańskie domy jakie wówczas na gwałt budowano, nie stały jeszcze otworem dla téj ludności miejskiej, która poczytałaby sobie za grzech śmiertelny pomyśleć o takich apartamentach, jakie tam już wówczas zachodnia moda na planie nakreślała; stosunek więc między właścicielami kamienic a lokatorami, serdeczny, prawie rodzinny, przechował się daleko w początek dziewiętnastego wieku; a nawet kiedy za rządów pruskich Warszawa podupadła i wyludniła się, atlas kłaniał się kitajowi, i wielu właścicieli domów poglądało smutnie na puste okna lokalów, wyglądając napróżno choć człowieczka z duszą, aby za cokolwiekbądź, a choćby i za Bóg zapłać, pustkę zamieszkał.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warszawie 482.

Od 6^{ej} do 9^{ej} wieczorem.

ANONIMOWA



Po roku 1815 duch ożywecy znowu rozciągnął skrzydła nad osierociałem miastem, rozpierchła ludność zaczęła się gromadzić, przybyło wiele gmachów rządowych i prywatnych, ale ludność żyjąca z koszyka i z groszka, ta właśnie która we wszystkich miastach przeważną gra rolę, nie ośmiała się jeszcze wychylić za obręb swoich dwu lub trzy izbowych mieszkań, ciesząc się skromnym przytułkiem, za skromną opłatą nabytym. Panowie i ich dwory zajmowali całe pałace, mając sobie za ujmę wynajmować lokale w swoich siedzibach, a ci którzy własnych pałaców nie posiadali, zjeżdżając do stolicy, najmowali całe nowo wybudowane domy, i takowe na rezydencje swoje zamieniali.

Chleb daje rogi, powiada nasze przysłowie, kilkanaście lat dobrego bytu zrzuciły znaczną zmianę w obyczajach. W wykwintnych pańskich salonach znaleźli miejsce wyżsi urzędnicy, i ciężko jakoś robiło się im na sercu, ile razy z wspaniałych apartamentów wracali do swoich drugo i trzecio-piętrowych mieszkań. Bywając u panów, zachciało się im przyjmować panów u siebie, a jakże prowadzić ich po stromych i ciemnych schodach, do pokoiów gdzie razem był i stół do jadania i fortepian do bawienia gości. Markocąc się na swoje ciche siedziby, zniechęcali się ku nim coraz bardziej, i nareszcie po długich naradach i obrachunkach z kieszenią, przenieśli się do nowo wystawionych lub wyrestaurowanych domów, kładąc za warunek aby w mieszkaniu był osobny salon do bawienia gości.

Wyżsi urzędnicy przyjmowali u siebie niższych, więc i tym jakoś ciasno i duszno wydawało się u siebie, ilekroć wrócili z Nowego-Swiata lub Senatorskiej ulicy, na Dunaj lub Podwale; więc i im póty uwijały się po głowach salony, póki nie wynaleźli sposobów porzucenia dawnych mieszkań, a przeniesienia się w inne obszerniejsze.

Kupcy widząc że lada żaby nadstawiają nogi do kucia, a czując grosz w trzosach, powiedzieli sobie: za cóż my mamy być gorsi od drugich, i w ślad za ich słowami, młoty mularskie spotkały się z cichemi ścianami sklepów i mieszkań. Właścicielom kamienic rozradowały się lica na ten ruch pomiędzy lokatorami, bo pomyśleli sobie: trzeba drzeć łyka kiedy się dają. Lokator zażądał dodania jednego albo dwóch pokoiów, właściciel kłaniał

mu się nisko, przedstawiał wielkie trudności, jakie uskutecznienie tego żądania pociągało za sobą, nareszcie godził się, ale za cenę przynajmniej taką, jaką inny lokator z całego lokalu opłacał. Kandydat do obszerniejszego mieszkania, uradowany że w miejscu pozostanie, przyjmował propozycję, a właściciel dołączał dwa drugie pokoiki do innego lokalu, i brał z nich również tyle ile poprzedni lokator z całego mieszkania płacił. Powoli zaczęły się wyludniać kamienice, bo przerabianie lokali na większe i ozdobniejsze okazało się nadzwyczaj korzystne dla właścicieli. Dodał jeden pokoiik a miał pozór podwyższyć lokal o kilkaset złotych, postawił nowe piece, odmalował ściany, już śmiało mógł na ten rachunek o dziesięć razy tyle podnieść komorne. Lokatorowie płacili, bo jak żyć to żyć, aby mieszkać porządnie, mówił niejeden, i zdanie to coraz szersze obiegało kółko, a nareszcie stało się ogólną zasadą. Małe o dwóch, o trzech pokojkach mieszkania, prawie znikły z horyzontu porządniejszych kamienic, a jeżeli gdzie zostały, to pewnie w takim miejscu, w którym dawniej stróże mieswali swoje rezydencje.

— Na co mi małych mieszkań,—mówił do nas właściciel nowo budującego się domu,—kiedy teraz o małe mieszkania nikt porządny się nie zapyta. Podupadły szewc albo krawiec, szwaczka, dymisjonowany urzędnik, to kandydaci do małych mieszkań, płacący komorne łzami i skargami na losy. Z małym lokatorem taka bieda jak i z większym, daj mu skład na drzewo, piwnicę, melduj, wydawaj świadectwa ubóstwa, a czasem jeszcze pogrzeb własnym kosztem, gdy tymczasem kto się sprowadzi do obszerniejszego mieszkania, to musi mieć i mebelki i sprzęciki, jednym słowem w razie jakiego wypadku jest go na czém patrzeć.

Nie mieliśmy nic do powiedzenia przeciwko tej logice, bo widzieliśmy nieraz na własne oczy, jak małe mieszkania omijano, znajdując zawsze jakiś wykręcik upoważniający niby do najęcia obszerniejszego lokalu.

Zamienione w ogólną chorobę upodobanie w apartamentach, dało bodźca duchowi spekulacyjnemu, wiejącemu na nas z zachodu. Właściciele kamienic rozpatrzyli się w swoim wygodnym stanowisku i już nie ukradkiem, nie pod tym albo owym pozorem, ale jawnie i otwarcie wzięli się do pod-

wyższania komornego, nie o dwieście lub trzysta złotych, ale odrazu o drugie tyle, a nawet w danych okolicznościach i o więcej. Kapitaliści, lichwiarze, rzucili się na gwałt do budowania i kupowania domów, dobra ich cena zachęciła do sprzedaży tych, którzy bojąc się Boga i miłując ludzi, nie podwyższali co kwartał komornego i tak powoli, nieznacznie, większa połowa posesji naszego miasta przeszła w ręce ludzi upędzających się za dobremi interesami, w ręce żydów nietylko z pochodzenia lub stroju, ale i z postępowania. I wraz z tą gwałtowną zmianą stosunków, podniosły się skargi płacących na biorących, dzienniki wystąpiły w sprawie pierwszych, ostatni znaleźli sobie jakiegoś Yxa, który skruszył kopje w ich obronie. W końcu powiemy słów kilka i o oskarżonych i o skarżących, podamy receptę na tę zaraźliwą chorobę, której skutki wpływają niezmiernie na moralne usposobienie mieszkańców naszego miasta, a teraz pokażemy wam czytelnicy parę obrazków, wyjętych z historii właścicieli kamienie i lokatorów w Warszawie.

*

*

*

Pan Prot Styczniewski miał obszerną kamienicę (którą nawet niegdyś tytułowano pałacem) na jednej z pryncypalnych ulic Warszawy. Był on dawniej człowieczkiem ubożuchnym, ale zawsze przemyślnym i skrzętnym; pierwszy tysiąc złotych który zarobił na dzierżawie drożdży, był podstawą przyszłej jego fortuny, która rzeczywiście rosła jak na drożdżach. Przez lat kilka handlował wszystkim co mu w ręce wlaźło, liwerował dla wojsk, dzierżawił propinacje, browary, sprzedawał łój, drzewo, węgle, smołę, trzymał kantor loterii, sklepik z tytuniem i tabaką, jednym słowem na dwadzieścia rąk prowadził proceder handlarski, pilnując niezmiernie aby grosz grosz urodził. Rozumie się że po pewnym przeciągu czasu, pan Prot odetchnął całemi pierściami, spojrzawszy na cyfrę swego majątku, na dwójkę, za którą, jak ogon za suknią pani Pompadur, ciągnęło się sześć okazałych zer, z przecinkiem w środku.

Jednak pan Prot byłby nie poprzestał jeszcze na tej cyfrze, gdyby nie to, że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, zatonął mu na Wiśle galar z dębowymi klepkami, a jako człowiek przykładający głęboką wiarę do tego, że są w życiu ludzkim epoki w których się *wiedzie* i *nie wiedzie*, stratę klepek uważał za rzecz tak ważną, za taką przestrożę na przyszłość, że zamknął na raz swoje księgi handlowe, i powiedział sobie dość już tych niepewnych spekulacji, trzeba wziąć się do pewnych. Na pierwszym planie tych pewnych spekulacji było kupno kamienic lub dóbr, ważąc w rękę obadwa te przedsięwzięcia przekonał się, że kapitał umieszczony w dobrach, mniejszy przynosi procent, bo walczą z nim ciągle powodzie, upały, grady, pioruny, księżosusze i inne tym podobne rzeczy, kiedy tymczasem największa powódź nie zabierze kamienicy, a jeżeli grad wytłucze okna, to prawa tak są jeszcze niejasne, że obowiązek wprawienia szyb będzie można na lokatorów włożyć. Jak tylko szalki przeważyły się na stronę kamienic, usłudźni faktorzy wynaleźli jakąś kamienicę, mającą iść na subhastację. Pan Prot stanął na licytacji, porozumiał się z pretendentami do kupna, i postąpiwszy półtora złotego nad szacunek, stał się właścicielem kamienicy, zrobiwszy interes *co się nazywa doskonały*. Potem nabył jakieś stare gmaszysko, postarał się o dobrych taxatorów i puścił go na loteryję. Ten co wygrał, prosił się potem o kupca przez gazety, odstępował $\frac{3}{4}$ szacunku, a pan Prot cieszył się, bo mu kilkakroć sto tysięcy złotych do kieszeni przybyło. W ostatku, gdy już i takie hazardy uważał za śmiałe, nabył gmach o którym na wstępie powiedzieliśmy, i rozpostarłszy przed sobą plany, począł rozważać co mu dalej robić wypadnie. Działo się to jeszcze wówczas, kiedy szukać było potrzeba różnych pozorów do podwyższania komornego. Pan Prot obszedł więc wszystkie lokale, i wszędzie znalazł coś do poprawienia: tu pokoje były za brudne, owdzie posadzka nierówna, gdzieindziej piece porujnowane, lokatorowie nie posiadali się z radości, że znaleźli takiego troskliwego właściciela, lecz wkrótce ta radość zamieniła się w płacz i zgrzytanie zębów, gdy na kwartał przed terminem każdy otrzymał piśmienne zapowiedzenie, że z powodu dopełnionych reperacji, cena lokalu podnosi się na przyszłość o tyle i o tyle. Jaki taki porzuczał się, pogniewał, nawymyślał i przystał, a pan



w Lit A. Pecq & C^o w Warsz, 482.

„A czy Pan masz dzieci, Panie?”

MAWOJ



10952

Prot siedząc z ołówkiem w ręku taki sobie kreślił rachunek: Reperacje kosztowały wogóle złp. 2,210, komorne podwyższyłem o złp. 4,150, zyskałem, zero od zera zero, jeden od pięciu cztery, dwa od jednego, nie można, *pożyczam*, a pfe, to brzydki wyraz, ja nigdy *nie pożyczam!* dwa od jedenastu dziewięć, dwa od trzech jeden, zyskałem złp. 1,940, niezła sumka zważając, że wartość kamienicy podniosła się o złp. 83,000.

Postawiwszy tę ostatnią cyfrę, pan Prot zatarł ręce, wyciągnął palce aż mu w stawach kilka razy puknęły, i rozłożył znów plany swojego domu aby tworzyć nowe projekta.

Pan Prot miał liczną rodzinę, kilku zięciów, kilku szwagrów, kilku dalszych krewnych, a powinowatych różnych stopni co niemiara, wszystkich jak chce mieć prawo heraldyczne *dobrze osiadłych*, tydzień więc cały obchodził wszystkie domy chwając się z obrotu swojej spekulacji, i składając sesje z mniej obrotnymi kuzynkami, aby ich nauczyć jak się to podobne operacje uskuteczniają. Choć pan Prot nie odznaczał się bynajmniej bystrym rozumem lub biegłością w naukach, ale miał nadzwyczajne w swojej koterji poważanie, bo wszyscy mówiąc o nim dodawali:

— Musi mieć rozum, kiedy zrobił taki majątek.

Nadzwyczajnie przytem był niechlujny i prawie odrażający. Głowę raz na tydzień czesał, a paznogie obcinał tylko na nowiu księżyca, bo mu jakiś Jan Marja powiedział, że kto na nowiu paznogie obcina, to bólu zębów nie doświadcza. Tabaki wyżywał na dzień cały ołówek, broń Boże jednak inną jak tylko petersburskiej, ołówek po złotóweczce, a chustkę kolorową póty zwykle nosił, póki ostatni cal kwadratowy nie spotkał się z jego nosem. Długi oliwkowy surdut czasem po kilka dni nie widział się z miotełką, a buty musiały koniecznie każdy w inną stronę patrzeć. Mimo to jednak kuzynki i kuzyneczki różnego wieku i stopni z serdecznością emoktały go w obie rączki, bo interes nie lada podobać się panu Protowi, a nuż wypadkiem przy testamencie nie zapomni.

W takiej to sferze i w takich okolicznościach, pan Prot dożył szczęśliwie naszych czasów, błogich chwil dla właścicieli domów, chwil, w których mógł rozwinąć w całej pełni swój talent spekulacyjny. Znajdujemy go

więc niezmiernie zajętego, siedzi w swoim pokoju przy stole nakrytym suknem, które niegdyś było zielone, a na którym obok potwornej wielkości kałamarza znajduje się portret kochanej wnuczki panny Nastureji, obok brązowego na czterech łapkach niedźwiedziach zegarka, wybijającego ochryplym od starości głosem godziny, flaszka z lekarstwem od nosacizny końskiej, obok anioła trzymającego w ręku klepsydrę, stary pantofel który tam zpod łóżka zawędrował. Pan Prot siedzi w fotelu, którego poręcz wyrabiana w różne figlaski, o łokieć przynajmniej wystaje mu nad głowę, a która służy mu do wieszania chustki od nosa, gdy takową katar albo tabaka przed zwykłym terminem zajmą w swoje posiadanie, przed nim leży rogowy tabakiera z Napoleonem na wierzchu, a koło niego kwintarjusz i księga wpływów z komornego. Dalej nieco spoczywają w trąbkę zwinięte plany domu, a jakby kulisy do tego obrazu ukazują się w dali: stary niegdyś zielony pawilon osłaniający powaby rzadko kiedy usłanego łóżka, zakopcone firanki, poprzepinane festonami pajęczyny, mappa Europy wisząca na ścianie, zwierciadło owalne w ramach z gotycka rzeźbionych, i portret jakiegoś protoplasty z rysami przypominającymi nieco Franciszkańską ulicę.

Zastukano we drzwi z niemiecka, i wszedł jakiś jegomość, porządnie ale bez wykwintu ubrany z gazetą w ręku. Pan Prot kiwnął mu z lekka głową, pokazał krzesło stojące przy sobie i rzekł:

— A co mi pan Pracuniewicz powie?

— Przyszedłem tu do pana dobr. rozmówić się stanowczo, bo słyszałem że pan dobr. znowu podnosi komorne.

— Tak kochany panie, niewiele, niewiele, o pięćset złotych panie.

— Bój się pan dobr. Boga, przecież ja i tak drogo płacę, i gdyby nie to, że oddawna tu mieszkam, że mam w tych stronach znajomych panów dla których robię, to już od dwóch lat przeniósłbym się gdzieindziej. Trzeba panie dobr. mieć sumienie. Niech pan dobr. przeczyta co tu piszą w gazecie.

Pan Prot zerwał się jakby go kto polał ukropem.

— Co mi tu waćpan panie będziesz wtykał gazety. Gazeciarz da za pióro grosz, za atrament drugi grosz i pisze panie co mu się w nocy przy-

śni, a ja panie wysypałem krocie za dom i muszę mieć dochód, bo to panie nie żarty, podatki hę panie, czy wacpan wiesz, że teraz mamy nowy podatek na wodociągi?

— Ale ten podatek z całej kamienicy wynosi pięćset złotych, za cóż ja mam płacić za wszystkich?

— Jakiś wacpan mądry panie, wacpan wiesz swoje, a ja swoje; dziś panie płacimy podatek od wodociągów, a któż zaręczy panie że ci gazeciarze znowu jakiego licha nie wywołają. Ciemno im było panie przy latarniach, mają gaz. Czy wacpan panie zaręczysz, że nie będziemy za to płacić? Teraz słyszę panie kują tam znowu coś nowego, jakieś koleje po powietrzu, zachce się im jeździć ponad głowami naszymi i dachami kamienic, i znowu panie płacić. Waspan panie myślisz że ja co tydzień mogę podwyższać komorne, ja panie muszę przewidywać.

— Ależ pan dobr. zanadto wiele przewidujesz, ja za trzy izdebki więcej płacić nie mogę.

— Piękne mi panie trzy izdebki, salon o dwóch oknach.

— Z widokiem na śmietnik.

— Ale za to z drugiego pokoju hę panie, widać aż ogród kapucyński.

— Do sufitu głową dostać można.

— Hę, hę, panie wolne żarty. Ja ze stołka ręką dostać nie mogę.

— Bo i pan dobr. i stołek i ręka nie wystarczą za jednego dobrego wzrostu mężczyznę.

— Już tam waspan panie mów co chcesz, a ja nie opuszczę.

— A ja nie postąpię.

— Wolna wola panie.

— Wolna wola, upadam do nóg.

— Do widzenia, bo wiem że waspan panie Pracuniewicz przyjdiesz jeszcze do mnie.

— Nie przyjdę, jak mi Bóg miły.

— Przyjdiesz, przyjdiesz, ja to wiem.

Gdy Pracuniewicz nie zważając na te ostatnie wyrazy wyszedł, pan

Prot rozgarnął włosy na czole i splunął trzy razy, co zwykł czynić gdy był w złym humorze i rzekł do siebie:

— Szkoda, wypłatny człowiek i spokojny lokator, ale on panie tu w tych stronach takiego lokalu nie znajdzie, tylko u jednego pana Marcina. Napiszę panie do pana Marcina żeby trzymał się w téj samej cenie co i ja, to on panie u mnie zostanie, a pan Marcin źle na tém nie wyjdzie, lokator się trafi.

Gdy kończył ten ostatni argument, który mu twarz dobrze rozweselił, we drzwiach ukazał się jakiś jegomość, wysoki, chudy, z długą szyją, z długim nosem, w długim szarym surducie, z wstążeczką krzyża wojskowego w dziurce od guzika, z koszturkiem w rękę i zapytał:

— Czy tu mieszka właściciel tego domu?

— A tak, do usług pana.

— Jest tu u pana dobr. do najęcia lokalik: dwa pokoje i kuchnia.

— Jest panie.

— Chciałbym nająć.

— A kto pan jesteś panie?

— Zdaje mi się że to mniej potrzebne, zapłacę z góry kwartalne.

— Bardzo pana przepraszam panie, ja muszę wiedzieć komu lokal najmuje.

— Mój wiek i ta wstążeczka powinny być dostatecznem świadectwem.

— Wiek wiekiem, wstążeczka wstążeczką panie, a ja potrzebuję wiedzieć proceder.

— Utrzymuję się z własnych funduszów.

— To źle panie, teraz czasy ciężkie, może czasem tych funduszów właśnie na opłatę komornego zabraknąć. A masz pan dzieci panie?

— Czy i ta wiadomość potrzebna?

— Tak panie.

— A więc mam.

— Wiele panie i w jakim wieku?

— Bóg dał aż dziesięcioro, są i wyrostki, ale i dwulatki się znajdują.

— Ho! ho! panie, pan u mnie lokalu nie dostaniesz.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz, 402.

„To moje Panie za komorne „!!



— Dlaczego?

— Dla dzieci, dla dzieci panie, małe dzieci to panie najszkodliwsze owady dla mieszkań, panie.

— A niech pana piorun trzaśnie z pana zasadami.

— Co mi tu pan panie będziesz impertynencje gadał.

— Jaby z panem powinien rozprawić się inaczej, tym oto koszturkiem, ale szanuję pańskie siwe włosy, i tę moję wstążeczkę, która u pana nic nie znaczy. Pan chcesz żebym dzieci pozarzywał dlatego, aby dostać u pana mieszkanie, nie doczekasz pan tego.

Dokończywszy tych słów stary spojrział groźnie na pana Prota, zmieszanego tym niespodziewanym obrotem rzeczy, i trzasnąwszy drzwiami wyszedł.

Jeszcze pan Prot nie ochłonął z pierwszego wrażenia, gdy wpadł zadyuszany Jakób, stróż domowy.

Włosy w nieładzie rozrzucone po całej głowie, twarz z jednej strony czerwona, wskazywały jakiś niezwykły wypadek.

— Co się stało?!—krzyknął pan Prot.

— Co się miało stać, ja już dawno jegomości gadałem, że tych państwa z pierwszego piętra trzeba pilnować: jegomość nie wierzył, a oni het wynieśli się z kretezem. Wpadam dziś, już tylko parę stołków i tłomok na środku, a żydów z pół kopy. Chciałem złapać tłomok, a jeden żyd jak *mię nie zamaluje*, a drugi jak *nie schwyaci* za łeb, o widzi jegomość na gębie jak wypalił, a włosów cała garść leży na izbie.

Pan Prot porwał kapelusz wiszący na ścianie, uzbroił się laską i jednym tchem zbiegł ze schodów.

Ci państwo z pierwszego piętra, było jakiś trzydziestoletni jegomość który tam nie mieszkał, ale po całych dniach przesiadywał, i jakaś dwudziestoletnia jejmość, która tam mieszkała, ale po całych dniach uwijała się po mieście, bądź w powozach, bądź pieszo, a przebierała się na dzień po kilka razy, dla sprezentowania swojej świetnej toalety. Najmując mieszkanie nie targowali się ani chwili, i przystali na to co pan Prot podał, zapłaciwszy z góry za pół roku. Za drugie pół roku opłata nie szła już tak łatwo, rząd-

ca z dóbr nie przysłał panu pieniędzy, potem stodoły spłonęły, potem owce wyzdychały, dość że tak zwlekło się do S. Jana. Pan Prot był spokojny, bo widział jakie paradne meble znoszono do apartamentów i nie chciał wierzyć stróżowi, który mu zdawał raporta że żydzi po nocy coś wynoszą. On znał dziadka tego pana dziedzicem ogromnych dóbr, i był pewny że wnuk choćby dziesiątą część tego posiadał, to jeszcze mu komorne wypłaci.

Pan Prot ręce załamał z rozpacz, gdy wbiegłszy bez tchu do pierwszo-piętrowego lokalu zastał ściany puste, a na środku salonu jeden wielki skórzany tłomok, wypchany porządnie i obstąpiony przez sześciu żydów. Z rezygnacją rozbitka okrętowego chwytającego się ostatniej deski, usiadł na tłomoku i krzyknął:

— To moje panie za komorne!

Żydzi spojrzeli na małą figurkę, przemówili do siebie słów kilka, porwali tłomok za uszy, i dalej taszczyć go wraz z panem Protem na schody.

Co się dalej stało nie wiemy, dość że owocem tego wypadku był wielki guz nad okiem, który potem pan Prot starannie chustką okrywał.

Zostawmy pana Prota wynajmującego lokale, a przypatrzmy się grupie zebraną przed jednym z domów na Sto-Jerskiej ulicy. Grupa ta składa się z kilkunastu małych chłopaków pędzących za wysokim chudym i nędznie odzianym żydziną, i gwiżdżących na różne głosy. Żyd czasem obróci się i najbliższego z chłopaków który nie zdoła uciec, kijem skropi, czasem porwie kamień leżący na ulicy albo garść błota, i rzuci za gwiżdżącymi i mruzczy pod nosem:

— Łapserdaki! szelmy! uliczniki!

— *Abramele Muc*, — krzyczą za nim chłopaki i gwiżdżą.

Ten prześladowany, to Abramek faktor trudniący się wyłącznie stręczeniem lokalów, nieszczęśliwa ofiara ulicznej gawiedzi. O powodach tego prześladowania różne wieści chodzą, ale my nie piszemy biografii Abramka, więc i w jego historję wdawać się nie będziemy.

Gdy Abramek stanął we drzwiach kamienicy, obejrzał się raz jeszcze na chłopaków, rzucił na nich kamieniem, który trzymał w ręku i wszedł do skromnego lokalu w podwórzu.

— Jak się masz Abramku? — rzekła do wchodzącego kobieta około trzydziestoletnia, ubrana wykwintnie ale bez gustu. Na twarzy jój sporo różem obłożonój, tkwiło kilka czarnych muszek zakrywających mniej grzeczne wdzięki.

— Jak ja się mam,—odpowiedział Abramek, — te łajdaki uliczniki to moja śmierć.

— Zawołałam cię Abramku, bo potrzebujemy innego lokalu.

— A jakiego?

— Tak, pięć pokoi z salonem.

— Pięć pokojów z salonem, aj na co to jejmości tego, to teraz trzeba zapłacić z gorem trzy tysięcy, a jegomość podobno tyle ma pensjów.

— Co się pytasz Abramku, tylko poszukaj takiego lokalu.

— Prawde jejmość gada, co Abramek ma się pytać, kiedy to nie jego rzecz, Abramek tylko faktor.

I na drugi dzień podpisany został kontrakt o najem pięciu pokoi z salonem, a Abramek w dowód wdzięczności otrzymał dziesięć rubli.

W półtora roku przechodził Abramek Nowym-Swiatem, i zgraja dążących za nim uliczników wpędziła go w bramę jednéj z kamienic, téj właśnie w której wyszukał pięć pokoi z salonem dla znanych nam już państwa. Wszedłszy w podwórze znalazł wielu żydów znoszących z pierwszego piętra rozmaite rzeczy, i od nich dowiedział się że na pierwszym piętrze licytacja. Ciekawość powiodła Abramka na schody i zawiodła aż do tego samego lokalu, w którym przed półrokiem osadził jójmość pragnącą koniecznie szerzej mieszkać. Ta sama jójmość ale w rannym bezładnym stroju zmieniona i zapłakana, trzymała jakiś obraz prosząc komornika aby nie oddawał go na licytację, bo to obraz jój matki.

Komornik obojętnie słuchoł jój słów, a Abramek stanąwszy przed nią, pokiwał smutnie głową i rzekł:

— Może jójmości teraz się przyda dwa pokoiki na Dunaju. Abramek ino sobie faktor, Abramek ino sobie tak gada.

Jejmość spojrzawszy na Abramka w głos się rozplakała, wszyscy obecni którzy zrozumieli co Abramek chciał wyrazić, spojrzeli na niego z wdzię-

cznością, a woźny wołał dalej *кто да więcej*. Abramek widząc że mu nikt nie odpowiada, zeszedł na dół, rozejrzał się po ulicy, czy już niema chłopców i chyłkiem poszedł dalej.

Takich parę obrazków z historii właścicieli kamienic i lokatorów daliśmy wam kochani czytelnicy. Zrozumieście o co chodzi!

O to, aby lokatorzy żyli jak każe nasze stare poczciwe przysłowie, *podług stawu grobla*, aby nie trzymali mieszkań od parady ale od nżytku, aby nie cieszyli się apartamentami najętymi za pożyczone lub gorzej jeszcze nabyte pieniądze, a wtedy właściciele domów sami spuszczą z tonu i atlas pokłoni się kitajowi.

Grzegorz Kostrzewa.



w Lit. A. Pecz & C^o w Warsz. 482

„Abramele Muc,,!!



DOWCIPNIS SALONOWY.

Zabawmy się trochę w statystykę Warszawy, z tém jednakowoż zapewnieniem, że poniżej podane daty czerpiemy z najwiarogodniejszych źródeł:

W Warszawie na blisko 180,000 ludności, jest:

Genjuszów 1go rzędu	165
Genjuszów 2go rzędu czyli wielkich talentów	523
Ludzi naukowych wykształconych, słowem znakomitych.	3,002
Amatorów nauki i literatury, oraz protektorów sztuki	2,873
Reformatorów społeczeństwa	386
Ludzi postępowych.	połowa ludności warszawskiej
Genjuszów i talentów niepojętych dorosłych.	6,876
— — — — —	dzieci
Osób robiących wrażenie	5,738
Takich którzy mogliby być czemś wielkiem, gdyby nie to i owo	2,642
Dowcipnisiów	4,008
Kobiet cudów piękności	nieokreślona liczba
Kobiet ładnych	wszystkie te które nie są brzydkimi
Kobiet brzydkich	żadna
Głupców uznanych za takich	bardzo znaczna liczba
z wyjątkiem zawsze tego który sąd wydaje	
Głupców którzy się sami do tego przyznają	0,0

Nie dziwcie się że taki spory rachunek wypadł, ale Warszawa to duże miasto, i nie lada kto się w niem mieści.

Wszystkie powyżej wymienione pozycje zasługują na szczegółowe opisanie, i może w dalszym ciągu tego dziełka jeżeli Bóg da zdrowie, wydawca pieniędzy a Publiczność prenumeratorów, doczekają się go. Tutaj jednak mamy zamiar jedynie opisać dowcipnisiów, których jak widzieliście niepomiarna znajduje się liczba, a którzy są prawdziwą ochroną i ozdobą salonów warszawskich.

O et praesidium et dulce decus meum.

A nie wliczamy pod tę kategorję tych kilku ludzi, znanych dobrze całej Warszawie, których dowcipy i ucinki przechodziły z ust do ust, krążyły od krańca do krańca całej Warszawy, kraju całego, powtarzane przez wszystkich, znane wszystkim. To byli ludzie prawdziwie dowcipni, a my mówimy tu tylko o dowcipnisiach. Do pierwszych należał ś. p. Żółkowski, ten prawdziwy Saphir polski, który na scenie i w życiu potocznem, w mowie i w piśmie, w każdym prawie odezwaniu się, w każdym kroku, w każdym giescie, okazywał niewyczerpany zasób wesołości i dobrego humoru. Pozostało po nim wiele, więcej zginęło jednak. A szkoda. Bo te właśnie, co ani w druku, ani na piśmie przekazane nam nie były, a tylko z ust do ust żywą przechodzą tradycją, te może najwięcej miały w sobie soku, oryginalnego miejscowego humoru, a przedewszystkiem wybornego zastosowania do ówczesnych czasów i okoliczności.

Z późniejszych czasów pamiętamy także bardzo dowcipnego człowieka, którego cała znała Warszawa. Była to nader oryginalna postać, ze znakomitego rodu, olbrzymio niegdyś bogaty, pod koniec życia zubożał tak, że żył jak to powiadają przemyślem, i musiał nieraz łaski szukać u takich, na których za swoich dobrych czasów nie byłby spojrział nawet. A majątek utracił zbyt dobrem życiem, często procesami i tak zwaną pańską *funaberją*, co to pod koniec ośmnastego wieku tak się rozsiadła w wielu naszych domach magnackich, i wiodła ich ciągle na pokuszenie, wyciągając dukaty ze szkatuły i folwarki z dziedzictw. Ale nie żałował tego utraconego majątku i znó-

sił ubóstwo cierpliwie a nawet z pewną godnością. Znalismy go nie młodym już i zubożalym zupełnie. Był to człek tęgiego wzrostu, szerokich barków i proporcjonalnej do tego tuszy. Chodził zwolna, głowę zadzierając do góry, z kapeluszem systematycznie na pół czoła włożonym. Nosił okulary które ciągle ześlizgując się po nosie, nadawały wzrokowi jego biegącemu za niemi pewien rodzaj pogardliwej ironji, zdawało się że ten człowiek zawsze i na każdego z góry patrzył, a może też i tak było w istocie, bo miał on porządną zasób dumy w sobie.

Idąc, usta zwykle miał otwarte, a ręce w tył założone, w których najczęściej trzymał parasol, bijący go za każdym krokiem po łydkach. Jako bowiem człek doświadczony, a nieposiadający dostatecznych funduszków do jeżdżenia powozem, nie dowierzał pogodzie, bo jak sam powiadał, tyle już i tak niespodziewanych zmian w swoim życiu przebył, że cóż się dziwić chmurom że się zbiorą czasem ni z tego ni z owego. Czasem miejsce parasola zastępowała gruba trzcina o złożonej gałce. A jeżeli kiedy przez dziwne jakieś zapomnienie ani trzciny ani parasola nie miał z sobą, to wówczas palce rąk przyzwyczajone zawsze do trzymania czegoś, okręcały się w koło siebie w ciągłym ruchu, jak gdyby pończochę robił.

Z powodu sztywnej postaci, otwartych ciągle ust, dziwnego układu rąk i jakiejś oryginalnie śmiesznej powagi, ciągle go cechującej, gawiedz warszawska której był ulubieńcem, nazwała go mandarynem chińskim, chociaż niektórzy utrzymywali że ta nazwa ztąd poszła, że jeden z przodków jego przebywał długo w Chinach, i dosłużył się tam nawet wysokiej godności. Bądź co bądź, nazwa ta była znana wszystkim, i lepiej jeszcze może niżli rodzinne jego nazwisko. A sam wiedział dobrze o tém swoim mianie, i miał nawet że gawiedz zna pana po cholewach, i nie dziwno nawet że go mandarynem chińskim nazwała, bo na chłopa ani kupca herbaty pewno nie wygląda.

W lato czy ranną czy wieczorną porą chodził zawsze w czarnym fraku, czarno zresztą od stóp do głowy ubrany. W zimie wdziewał na ten frak dostatni i długi po kostki surdut watowy. Czapki nie używał nigdy i okularów nigdy nie zdejmował, a rękawiczki zawsze trzymał w ręku. A o ka-

zdėj prawie godzinie można go było spotkać na ulicach, oddawał mnóstwo wizyt, uczestniczył wszystkim uroczystościom, słowem wiecznie za domem, w mieszkaniu tylko nocleg przepędzał.

Dowcipne jego odpowiedzi znane były ogólnie warszawianom, i nawet niektórzy kradnąc je i przekształcając na różne sposoby, za swoje podawali. Notujemy tu z nich kilka, należą bowiem do kroniki warszawskiej, a chociaż wielu już je słyszało, znajdują się może i tacy, dla których one będą nowością, bo postać mandaryna chińskiego przebrzmiała już, i zaledwie starsi z nas ją pamiętają.

Pewnego razu na jakimś arystokratycznym zgromadzeniu, jeden z tych młodych paniczów co to przyczepiwszy zdefraudowany tytuł jak ogon do swojego nazwiska, szumią sobie po Warszawie, tracą pieniądze i chcą wmówić we wszystkich, że są wielkimi panami, chociaż pańskie ich pochodzenie poczyna się na dziadku, albo nawet ojcu, i pewnoby się dalej nie wywiodło, jeden mówię z tych nowowiecznych i tegoczesnych magnatów, zagadnął go jak się nie wstydzi pokazywać w wytartym fraku wpośród tak świetnego zebrania.

Mandaryn odwrócił się do niego, zmierzył go podług swojego zwyczaju zpod okularów od stóp do głów wzrokiem, i odpowiedział mu *ex abrupto*:

— Mój kochany panie, to tak już symetrycznie dzieje się w świecie: Stary hrabia, stary frak, nowy hrabia, nowy frak.

Innym razem wszedł do jakiegoś biura jako supplikant, a przyzwyczajony do przedpokojów pańskich, nie zamknął drzwi za sobą. Widząc to woźny siedzący w pierwszej izbie, odwrócił się na niego i pomruknął, że interesanci wchodzący do biura, powinni drzwi za sobą zamykać, bo drzewo do pieców drogo kosztuje.

— To zamknij błażnie, — odpowiedział mu na to mandaryn, — i podaj likwidację.

Kiedyindziej znów na jakimś obchodzie uroczystym, wyszedł wedle zwyczaju swojego na pierwsze miejsce. Jakiś z oficjalistów naznaczonych do utrzymywania porządku widząc to, zbliżył się do niego i przestrzegł że tam stać niewolno.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 48k

„Może Jejmości teraz się przyda dwa pokoiki na Dunaju„?

BRITISH



10952

— To mi waspan podaj krzesło, to usiądę, — odrzekł nie ruszając się z miejsca.

Mandaryn był bardzo wybrednym gastronomem i można nawet powiedzieć, że znaczna część jego majątku poszła na kuchenne wydatki. Lubił on śniadanka, obiady, kolacyjki, a kiedy mu nie starczyło na to, uciekał się do różnych sposobów, żeby dogodzić swojemu żołądkowemu usposobieniu. Jako człowiek dowcipny, łatwy w rozmowie i mający niegdyś rozległe stosunki, otrzymywał on częste zaproszenia, a kiedy tych nie stało, umiał nie-raz i sam się wpraszać, zwiertzywszy z którego jak to powiadają komina dym idzie. A w takich razach nie był nawet wybrednym o towarzystwo, arystokrata z przekonania i opinji, potrafił się jednak zastosować do najwy-rażniej mieszczańskiego zebrania, zamykając oczy na wszystkie plebejuszo-wskie cechy, które go zwykle tak raziły. Ale cała ta wyrozumiałość i po-pularność trwały tyle tylko czasu, na ile starczyły obiadek albo śniadanko, bo skoro tylko już jedzenia nie stało, spadała nagle maska, ustawały dowci-py, twarz się przeciągała, nos krzywił i usta wyginały do ziewania. Razem z ostatnią potrawą kończyły się świeżo zawiązane stosunki, i za kwadrans mandaryn już nie znał wcale tych, z którymi tak smaczno i w tak dobrój komitywie zajadał przed chwilą pasztet albo majonez.

Trudnoby przytaczać tu wszystkie dowcipy mandaryna i anegdoty o nim, które krążyły po mieście. Przez pewien czas był on zajęciem War-szawy: powtarzano sobie z ust do ust jego odezwania się, rysowano jego karykatury, mało nawet jest osób, któreby dostarczyły tyle ile on przed-miotów do ołówka lub pióra. A niektórzy byleby go poznać, narażali się na złośliwość jego, a nawet na koszt śniadanka, chociaż wiedziały dobrze że to koszt niemały.

Pamiętamy jeszcze kilka innych wybitnych postaci, znanych całemu miastu, tak z oryginalnej powierzchowności, jak i z trafności odpowiedzi i określeń różnych, które z ust do ust przechodziły. A dziwna rzecz, zda-wało się że ta oryginalność która na siebie zwracała oczy, i ten dowcip z pra-wdziwie jędrnym sensem i zastosowaniem, były pomiędzy sobą nierozłą-czne. Owóż było nawet tak w istocie,

Dowcip polski że użyję tego wyrażenia, kontuszowy, istniał kiedyś, chociaż obecnie wielu zaprzeczają mu istnienia, pragnąc tym sposobem pokryć niejako terazniejsze ubóstwo swoje. Ale przeciw prawdzie trudno walczyć; dowcip polski dawniej istniał i był on trochę rubaszny lub anegdotkowy, zasadzał się nieraz na kłamstwie lub mistyfikacji, ale nieraz także wychodząc z prywatnego obrębu i domowego szlacheckiego kółka, przyczepiał się do spraw Rzeczypospolitej i do wypadków ważniejszych, jakie tu i owdzie miały miejsce, a odznaczał się trafnością w określeniu rzeczy, ludzi i okoliczności. Nie sięgając nawet dawniejszych epok, przy końcu panowania Stanisława Augusta, kiedy jakoś w Warszawie wszystko na cudzoziemski przerabiano kopyt, byli poeci, mówcy, autorowie i dworzanie dowcipni po francuzku, bo zwykle francuzką myślą a nieraz także i francuzkiemi słowami, nie brakło jednakże i na przedstawicielach prawdziwego polskiego dowcipu, że wymienimy taką panią kasztelanową Kossakowską, Radziwiłła panie kochanku, albo generała Chadźkiewicza, którego reputacja jako sławnego rębacza a sławniejszego jeszcze szulera, rozgłosna była w całej Polsce, a który jednak zręcznym dowcipem potrafił się z najtrudniejszego wydobyć położenia. Ale wtenczas wyrywano sobie z ust do ust dowcipy i *bon-moty* Krasickich, Trembeckich, Węgierskich, chociaż te dowcipy zarażone dworem, nosiły już na sobie cudzoziemską cechę upadku, zniewieściałości, a nawet zbyt często niestety skażenia obyczajów, tamte zaś nazywano szlacheckimi gderaniami i mało kto na nie zwracał uwagi. Gderania te jednak szlacheckie przetrwały wszystkie owe szambelańskie rozумы, kronika je zachowała i teraz coraz więcej widzimy w nich nietylko zastosowania chwilowego, ale nawet prawdziwej mądrości; rozum zaś i dowcip szambelański znikł razem z pobratymczą czeredą owych buduarowych kronik francuzkiego pochodzenia, do których wrócił jak do swojej ojczyzny i zlał się z niemi.

Ale szlachecki rozum i dowcip nie mógł się ostać przy nagłych burzach i zmianach, jakie podówczas jedna po drugiej przez kraj przechodziły. Zmienił się ubior mieszkańców, za ubiorem przyzwyczajenia, za przyzwyczajeniami usposobienie, charakter i w ogóle cały kształt życia. A nowe społeczeństwo które się organizowało i porządkowało powoli, miało do

myślenia o ważniejszych rzeczach, aniżeli o wynajdywaniu nowych dróg dla dowcipu polskiego. Więc bardzo naturalnie kosmopolityzował się, cudzoziemczał, a tem samém nikł powoli, tak w mowie jak i w piśmie, co zrodziło opinię że po polsku nie można być dowcipnym.

I rzeczywiście w znaczeniu jakie w ostatnich czasach do dowcipu przywiązywać chciano, stał się on prawie niemożliwym.

A jednak istniał jeszcze, słabszy wprawdzie i rozproszony, błyskał wszelako czasem ostatnimi chwilami życia. I prawdziwie dowcipnemi były jeszcze jak to już wspomniałem wyżej, owe dziwaczne postacie, które na tle jednostajności nowoczesnej, odznaczały się bijącą w oczy oryginalnością. A zkądże pochodziła ta oryginalność, solidarna że tak powiem z dowcipem i ciągnąca go niejako w ślad za sobą? Oto ztąd że to były wszystko szczątki dawnych czasów, niedobitki ubiegłej już przeszłości, zachowujące w sobie niektóre jęj cechy i charakter. Każdy z tych ludzi był oddzielnym typem, oddzielającym się jaskrawo od nowego społeczeństwa, obcym niejako dlań, a jednakże sympatycznym przez jakiś niewypowiedziany powiązanie, który nas do zapomnionój już prawie przeszłości wiąże. Ale skutkiem swojego wyjątkowego położenia, zapatrywali się oni inném aniżeli my okiem na bieżące okoliczności i dzisiejszych ludzi, ztąd owa odrębność sądu i oryginalność zdań, które musiały zwracać na siebie uwagę każdego. Ogół śmiał się z ich ucinków, w których zawsze przebijała jakaś krytyka wstrętnych im terażniejszych czasów, ale tenże sam ogół znajdując ich samych dziwnymi, a może śmiesznymi nawet, nie mógł nie przyznać, że w zdaniach objawianych przez nich przebijała słuszność i zdrowy sąd o rzeczy, i że tak jak oni sami byli objawem zupełnie sprzecznym nowemu pokoleniu, tak samo w wyobrażeniach swoich zamykali lepszą i jędrniejszą treść przeszłości.

Ale te ostatnie niedobitki dawnych czasów, te *oryginały* jak je wszędzie nazywano, stawały się coraz rzadszemi i nikły powoli. Przed kilkunastu, przed kilku jeszcze latami Warszawa posiadała niewielu tych ludzi, teraz i dwóch by nawet w całym mieście nie naliczył. A ci którzy są jeszcze, zatracili oryginalność i z nią razem dowcip, który był prostym jęj wy-

pływem. Nie szukajmy nawet ich teraz, bo i daremna byłaby praca, ale przejdźmy do tegoczesnych dowcipnisiów, którzy po prawdzie stanowią rzeczywistą treść naszego opowiadania.

Owóz posiada ich Warszawa bardzo wielu. Nie idzie za tem żeby byli prawdziwie dowcipnymi, ale uchodzą za takich, co w końcu na jedno wypada. A dzielą się na miejskich i koteryjnych, na salonowych i kawiarczanych, na mównych i piśmiennych, na obiadkowych i wieczorowych, kaźden zaś z nich ma swoje kółko, swoich wielbicieli, swoje reputację. Narzucili się oni ogółowi, ciskając mu w oczy trochę blichtru, który prawdziwą ich mierność i nicość pokrywa. W tej hierarchji, dowcipnisie salonowi, to jest tacy których reputacja na całą rozciąga się Warszawę, z samej natury rzeczy pierwsze zajmują miejsce. Są oni znani ogólnie i kaźdy mówiąc o nich, przyczepia wyraz *dowcipny*, jak kropkę do *i*, bez którejby ta litera istnieć nawet nie mogła. A kto im wydał patent na dowcip, skąd poszedł ten wielki rozgłos, jakim sposobem zasłużyli sobie na owo poszanowanie i pewien rodzaj bojaźni, jaki ich otacza w towarzystwie? Tegoby nikt wypowiedzieć nie mógł. Więcej powiem, wielu z tych którzy ich chwala, nie zdołaliby przytoczyć prawdziwego ich dowcipu, bo reputacja tych ludzi zrobiona na wiarę, na wiarę się też utrzymuje. A jeżeli się odzywają dowcipnie, to w długich przestankach i po długim namyśle, nie dowcip do okoliczności, ale okoliczności do dowcipu nakręciwszy, często skradłszy lub przerobiwszy na swój sposób rzecz zasłyszana gdzieindziej albo przeczytana w jakiej książce. Reszty dopełnia złośliwość i obmowa, które najzupełniej od dowcipu odróżnić trzeba. Złośliwym być bardzo łatwo, bo śmieszności i przywar ludzkich liczba jest nieskończona, a o potakujących w takim razie również nie trudno, tych nigdy nie zbraknie.

A piękne i wygodne jest położenie tych ludzi w towarzystwie. Zapraszani i pielęgnowani wszędzie stanowią jedną z największych ozdób salonowych. Dowcipniś salonowy chodzi zwykle z podniesioną głową, oczom stara się nadać wyraz niezwykłej bystrości, przenikliwości, na ustach wiecznie spoczywa półśmiech ironiczny, jak gdyby wszystko na około śmiesznem



w Lit. A. Pecc & C^o w Warsz. 489

Dowcipni's Salonowy.

BIBLIOTEKA



1910

Instytut W. J. 1910

10952

mu się wydawało, w zachowaniu się przebija wysokie przekonanie o swojej wartości, połączone z pewnym rodzajem lekceważenia innych, bo zwykle jedno w ślad za drugim idzie. Lubi często przybierać pozór jakiejś oryginalności, bo to zwraca na siebie uwagę, a przekonany że mu wszystko ujdzie, nie dba nawet o zwykłe formy światowe, które wyższości umysłowej krępować nie powinny.

W towarzystwie jest on małomównym; często zwykłą jego odpowiedzią bywa znaczący uśmiech, ale w tym uśmiechu ma się wiele, bardzo wiele malować. Ten uśmiech mówi:

— Nie chcę się nawet wdawać w dyskusję z wami, bo wy zazbyt nisko umysłowo jesteście dla mnie usposobieni. Jednym słowem mógłbym was zetrzeć w proch, ale daruję wam życie nędzne robaczki. Gadajcie więc sobie co chcecie, bylebyście *lwa* nie zaczepiali, bo wówczas biada wam.

A owym *lwem* on sam jest.

Odzywa się więc bardzo rzadko, ale się odzywa jednak. Wówczas nastaje ogólne uciszenie i każdy słucha z uwagą, co usta mistrza wyrzekną. A mistrz wypowiada zwykle jakieś najzwyczajniejsze zdanie, trudnym do naśladowania tonem, poważno głębokim, bo dowcipniś salonowy posiadając dokładnie swoją sztukę, nigdy się sam nie śmieje, wiedząc że w każdym razie zachowując powagę przy powiedzeniu nawet śmiesznych rzeczy, tém głębsze na innych zrobi wrażenie. Wyrazy które wyrzekł, rozechodzą się po całym salonie, ci którzy mieli szczęście znajdować się blisko niego i usłyszyć je, rozprowadzają je oddaluszym kółkom. A zdanie które z ust genjuszu wyszło, bywa komentowane wyraz po wyrazie, niby jakaś nowa formuła wyroczni delfickiej; każdy tam szuka jakiejś alluzji, jakiegoś sensu ukrytego. I bardzo naturalnie tam gdzie się szuka, tam się i znajdzie, bo wszystko do wszystkiego można zastosować, w największej niedorzeczności dobrze usposobieni ludzie, głęboki rozum odkryć potrafią. Wszakże Napoleon powiedział, że pomiędzy szczytem genjuszu a pomieszaniem zmysłów, włoszek różnicy tylko.

Najzabawniejsza jest scena, kiedy osoby nowe, zupełnie nieznanne dowcipnisiowi, przedstawiają się mu jako znakomitości salonowej. On je

przyjmuje jako nowych wielbicieli, którzy już z konieczności za jego tryumfalnym wozem pójść muszą, a nie będzie się przed nimi silił na żadne koszta umysłowe, owszem najzwyczajniejszą prowadzi rozmowę, czasem tylko jeden lub drugi wyraz kraszając zwyczajnym swoim półuśmiechem, który wyrażonemu zdaniu ma głębsze nadać znaczenie. A biedny przybysz szuka tego znaczenia i nie znajduje go, wstydzi się i poci, i sam się ma za głupiego że nie pojmuje tych głębokich myśli, tych kolących omówień zawartych w potocznej mowie, które wszyscy rozumieją oprócz jego jednego. Chciałby sam wznieść się do wysokości swojego interlokutora, i jak zwykle w takich razach się dzieje, prawi niedorzeczności. Chciałby także dowieść swojej przenikliwości i najczęściej śmieje się nie w porę albo niewczesną zwróci uwagę. I namęczy się tak z pół godziny, a zapłaciwszy sam wszystkie koszta nudnej i pretensjonalnej rozmowy, odchodzi z przekonaniem, że z ludźmi genialnymi trudno jest porozumieć się.

Dowcipnisiowi salonowemu wszystko jedno czy mu się koncept uda po polsku czy po francuzku, woli nawet po francuzku, bo to jakoś łatwiej. A i słuchaczom na jedno to wychodzi, bo oni się wcale do polskich nie przywiązali wyobrażeń, jedne zatracili, drugich nie wyrobili jeszcze. To też podobno i najczęściej z francuzkich dowcipów słyną polscy dowcipnisie, i gdybyż to jeszcze w własnej ich wyległy się głowie, ale po większej części są one skradzione, pozbierane bez ładu tu i owdzie i zastosowane do chwili. Taka też to i owa sława; możemy ręczyć że żaden z prawdziwie rozumnych ludzi nie kusiłby się o nią. Jaka zasługa taka i nagroda.

Dowcipniś miejski mówi często z damami i przy nich poszczycić się może pewnego rodzaju powodzeniem. Chociaż zdrowy sąd i instynkt kobiet łatwiej im aniżeli mężczyznom daje odgadnąć każdą nicość umysłową, to jednakże lubią one żeby znakomitość, chociażby nawet znakomitość urojona zajmowała się niemi. Z tego więc powodu przyjmują one dobrze dowcipnisią, i łączą się nawet do wielbiącego go chóru, chociaż najczęściej nie czynią tego z przekonania, a niektóre nawet śmielsze albo szersze od innych, uszczypią go czasem złośliwym półsłówkiem. Twarda jednak na nim skóra i takie lekkie kolące pociski niełatwo przebijają się przez nią. Ale chociaż pró-

żność i zarozumiałość, zdwajane ciągle oddawanemi mu hołdami, chronią go od tych lekkich zaczepk, na które zamknięty w swojej wyższości nie odpowiada nawet zwykle, to jednak więcej niż ktokolwiek pamiętnym on jest uraz i lubi mścić się przy sposobności. A zresztą jego obmowa tém jest straszniejsza, im więcej dotykająca i rozgłośna, ponieważ od niego pochodzi. Więc chyba osoby bardzo pewne siebie odważają się go zaczepiać, a i to z zachowaniem wszelkich należnych ostrożności.

Dowcipniś koteryjny jest tylko słabą kopją miejskiego, chociaż i tu zależy wszystko od rodzaju koterji, w której sobie na rozgłos zarobił. Mniejsze jego pole działania, ale więcej ma pracy za to. Tamtego nikt się nie waży kontrolować, ten zaś nie mając tak rozgłośnej sławy, a będąc raczej pewnym rodzajem pretendenta do wyższych posad, znajduje się pod kontrolą wszystkich. Dzielnie jednakże jest wspierany przez koterję z której wyszedł, i która jak niegdyś miasta greckie z Homera, z niego chwałę ciągnie. Dowcipniś koteryjny może upaść w innych kółkach, zwłaszcza spotkawszy się ze szczęśliwszym albo zręczniejszym współzawodnikiem, ale we własnej koterji, na rodzimem polu, jest on niezwyknięty i stoi na niezachwianej podstawie. Nie mówimy już o salonach tak zwanego wyższego świata, bo tam dowcipnisie koteryjni muszą z konieczności schodzić do niższego rzędu, ustępując miejsca starszym swoim braciom, których chwała całe zajmuje towarzystwo, i na których dziedzictwo wyczekują z niecierpliwością. Bliższą tylko w nieobecności tamtych, a i to z wielką oględnością, wiedzą bowiem że mogą być sądzonymi. A łącząc się do chóru uwielbienia otaczającego uznanych już koryfeuszów salonowych, i dopomagając wszędzie ich powodzeniu, wiedzą, że pracują na siebie, bo kiedyś z protekcją tamtych i sami będą mogli do tego pożądanego dojść stanowiska. Znają nawet cnotę zaparcia siebie i poświęcenia w potrzebie, podnosząc własnymi komentarzami zasługę mecenasa, który się raczy nimi opiekować, czasem nawet co niepodobnem wydałoby się do uwierzenia, własny im koncept poddadzą. Ale wiedzą oni co robią, bo takie poświęcenie się zawsze im wyjdzie na dobre. Prawda też że dla równowagi kradną oni także często cudze dowcipy,

występując z tem przywłaszczeniem cudzej własności tam, gdzie się nie lękają kontroli.

Ale oprócz tak zwanych salonów wyższego świata, różne jeszcze są koterje w Warszawie. A tworzą one jakby pewien rodzaj drabinki, z komunikacją od najwyższych do najniższych szczebli. Dawniej granice pomiędzy nimi odznaczały się daleko jaśniej aniżeli teraz, bo obecnie Warszawa jest trochę jakby małym miastem, tu wszyscy znają wszystkich, i niemal każdy zna się z każdym. I nie mamy tego za złe Warszawie, owszem poczytujemy to jej za zasługę, bo połączenie tego rodzaju dowodzi, że współczucie bratnie i miłość rodzima w ciągłym znajdują się tu rozwoju.

Pomimo jednak tych węzłów, niedość jeszcze silnych, żeby górować nad drobnymi zawiściami, widoczkami i celami osobnemi, istnieją tu koterje, niby osobne społeczeństwa, złączone tożsamością sposobu życia, skłonnościami, usposobieniem. A każda z tych koterji niby osobno uorganizowane społeczeństwo, posiada swoich wielkich dygnitarzy. Jest tam zawsze kilku genjuszów: poeta który na każde wesele albo urodziny pali stosowne wiersze, muzyk który przepisuje mazurki i gra na klarynecie, publicysta, ogólny fabrykant nekrologów i pochwał dla doktorów i t. d., jest tam wielki specjalny polityk przodkujący innym, którego zdanie przeważnie wpływa na los państw europejskich i opinie dyplomatów koteryjnych, jest i ekonomista prawiący o wypieku chleba z kukurydzy i urzędzeniu kolei żelaznych nad dachami mieszkań, jest filozof rozprawiający o mistycyzmie i wpływie stoliczków wirujących na połączenie lutrów z kalwinami i mahometanizmu z judaizmem, jest sławna piękność w której się wszyscy kochają, a która wszystkim daje się kochać w sobie, jest dandy z którego każdy wzór bierze, na ile guzików kamizelka ma być zapięta, jest człowiek *partja par excellence*, o którego wszystkie mamy się starają, jest nareszcie i dowcipniś, który ożywia towarzystwo i nadaje mu szyku.

Otóż rola takiego dowcipnisia jest bardzo piękna, ale djabelnie męcząca za to.

Żadne większe zebranie obejśćby się bez niego nie mogło, bo on jest duszą zabawy. On rozporządza wieczorami, urządza gry towarzyskie tak



w Lit. A Pecq & Co w Warsz. 482.

„Wiele razy było, tak „?!“

BIBLIOTEKA



10952

10952

zwane niewinne, on ożywia rozmowę i daje przedmiot do niej, on wyprowadza w świat młode panny i egzaminuje je starannie, a potem jeżeli warte są jego względów, opiekuje się nimi i wydaje za mąż, on w sekretarzu (pytania i odpowiedzi na kartkach) wszystkie najdowcipniejsze odpowiedzi sam wypisuje lub poddaje damom, on w najdrażliwszych okolicznościach jest posłem i pośrednikiem, bo już z góry wiadomo, że ze wszystkiego zgrabnie i dowcipnie wywinie się, on jest niestety lubiony przez całą pleć żeńską koterji, panny czy mężatki, a dodaje *niestety* z umysłu, wiadomo bowiem, że kto jest ogólnie lubionym, ten rzadko kiedy prawdziwie kochanym bywa.

Jedną tylko porą w roku nastrecza mu trochę odpoczynku, a tą porą est karnawał. Wówczas wszystkie nogi tak są zajęte tańcami, że głowy nie mają nawet czasu czem inném się zajmować. Dowcipniś jest wtenczas na urlopie, wolno mu milczyć, być zupełnie bezczynnym i tańczyć jeżeli mu się podoba, a nawet co daleko ważniejsza, brać się specjalnie do jakiejś damy, co zazwyczaj wychodzi z jego codziennych atrybucji, bo on musi w zwykłych okolicznościach wszystkich dam pilnować i wszystkie bawić, taki to już jego konieczny obowiązek, który wypływa z jego położenia towarzyskiego. Dowcipniś w koterji w której sobie na mir i uznanie zasłużył, staje się człowiekiem publicznym, każdy ma prawo do niego, bo on dla dobra publicznego wszystkie swoje uczucia i dążenia indywidualne poświęcić winien.

Pomimo jednak wszystkich znojów i niedogodności, jakimi stanowisko dowcipnisi jest otoczone, mnóstwo jest pretendentów do téj godności, ale jak zwykle wielu bardzo jest powołanych, ale wybranych mało. To nielada trzeba mieć głowę, żeby dostać się na te wysokości, i starczyć wszystkim obowiązkom tego pięknego stanu. Przedewszystkiem chcąc się rządzić prawdą, musimy wyznać, że dowcip jest przymiotem najmniej takiemu dowcipnisiowi potrzebnym, bo i zaprawdę nikt od niego dowcipu nie wymaga. On powinien mieć wyborną pamięć, powinien znać mnóstwo bieżących i przeszłych, nowych i przestarzałych anegdotek i historyjek, i umieć je dobrze rozpowiadać, powinien być sprawnym, zręcznym, przytomnym, obeznanym jako tako ze stosunkami i wymaganiami towarzyskimi, a przedewszystkiem powinien sobie umieć zjednać znaczną liczbę przyjaciół

i popleczników. Reszta sama przyjdzie przez się. Kto go tam będzie kontrolował, czy czerpie z Momusa, z Mejdyingiera lub innej jakiej tego rodzaju pięknej lub użytecznej książki; wolno mu się nawet poszczycić kurjerkową pieczętą, byleby tylko umiał jej użyć w porę zręcznie, przekształcić i zastosować do okoliczności. Powinien mieć także trochę i talentu aktorskiego, bo naśladowanie mówiących, w samą porę ożywia każde opowiadanie. Wreszcie powinien on umieć na pamięć cały katalog zabaw towarzyskich, bo na jego sumieniu leży kiedy się goście nudzą, a jedno lub drugie niepowodzenie, może się stać powodem jego destytucji. Wprawdzie wolno mu przybrać do pomocy aplikantów na posadę dowcipnisia, i nawet w gwałtownym razie urządzić zastępstwo, ale są to rzadkie wypadki, i winien pamiętać że zawsze odpowiedzialność na nim jednym tylko ciąży.

Zabawną jest rzeczą, kiedy na jakim *fuzyjnym* wieczorze, a takie teraz się coraz częściej zdarzają, dwóch dowcipnisiów z oddzielnych koterji razem się spotkają i staną jeden przeciwko drugiemu. Mierzą się najprzód jako niegdyś Ajax Telamńczyk z Hektorem pod murami Troi, a każdego z nich zgromadza w odwodzie zapas popleczników i stronników, grożąc drugiemu. Towarzystwo wówczas najbardziej cierpi, bo ciągle jeden niby to drugiemu ustępuje miejsca, a w rzeczy sami sobie przeszkadzają. Najczęściej sprawa wytacza się przed damy, przed którymi obmawiają i wyśmiewają siebie wzajem, wyszukując niestworzone rzeczy jeden na drugiego. Nieszczęśliwa gospodyni nie wie jak sobie z nimi dać rady, wszelkie jej usiłowania i nakłaniania do zgody są bezowocnymi, a wieczór przechodzi na samych utarczkach, które dla uważnego postrzegacza mogą być zajmujące, ale towarzystwu które się przyszło bawić, przeszkadzają tylko w tej zabawie.

Zupełnie odmienna jest rola dowcipnisia śniadankowego i obiadkowego. Ten w zwykłych okolicznościach najpospolitszym jest człowiekiem, może być nawet głupim jak noga stołowa, bo to mu w niczem nie przeszkadza, owszem stanowi pożądaną kontrast ze świetną rolą, jaką odgrywa w danym razie. Jest to nawet wspólne genjuszom, że w codziennych chwilach życia ludzkość upomina się u nich o swoje prawa i stają się podobny-

mi zwyczajnym śmiertelnikom. A dowcipniś obiadkowy jest prawdziwym genjuszem.

Choćbyś go znał przez lat pięćdziesiąt, to możesz powiedzieć że go nie znasz jeszcze, jeżeliś z nim nie zjadł obiadu albo śniadanka. Zaproś go tylko a przekonasz się o tém, bylebyś nie żałował wina i dobrych potraw. To inny całkiem człowiek. Za pierwszym zaraz kieliszkiem rozjaśniają mu się oczy, twarz się rozpromienia, cała fizjonomja ożywia się jakimś wyrazem bystrości i rozumu, którego byś się w nim ani domyślał. Za drugim i trzecim człowiek ów dotychczas milczący, cichy, potulny, potakujący drugim, zaczyna poczuwać swoją wartość, przybywa mu śmiałości, wymowy, zaczyna brać górę w rozmowie, kierować ją na różne przedmioty, i prowadzić na swoją rękę. Ale wszystko to nic jeszcze w porównaniu do tego, co się dzieje po kilku butelkach, zwłaszcza jeżeli jedzenie było po temu. Przedewszystkiem trzeba powiedzieć że pije jak gąbka i mocne trunki zamiast mu szkodzić, sprawiają tylko na nim wrażenie excytujące. Dowcipy, anegdoty, historyjki, sypią się jak grad, na wszystko ma odpowiedź, niczem mu nie zaimponujesz, w żadnym razie nie zapomni jak to mówią, języka w gębie, choćbyś go zagadł jak piękna królewna chińska Turnadokta owego nieszczęśliwej pamięci królewicza tybetańskiego, on na wszystko odpowie z kopyta, zdawałoby się że zjadł wszystkie nauki, przewertował wszystkie księgi świata. A w przypadku nawet i wierszyk skleci naprędce i taki toast wymyśli, że choćbyś był z drewna musisz go koniecznie wypić. Z zaczepianego staje się zaczepiającym, gada jak młyn, a każdemu stawia czoło choćby z nim dwudziestu razem na harc wyszło. Niespracowany w swoich tryumfach, będzie ożywiał do końca zabawę, i umilknie wtedy tylko chyba, kiedy ostatni współtowarzysz uczty legnie trupem pod ostatnią już butelką.

Rzecz więc jasna że bez koryfeuszów tego rodzaju, żaden obiad proszony, żadne śniadanko trochę wystawniejsze, obejść się nie mogą, są oni poszukiwani i lubieni ogólnie, bo zaiste wielkie ich są zasługi. A chociaż przy kieliszku zdarzy im się dociąć temu lub owemu, każdy im to wybaczy chętnie, wie bowiem że to nie pochodzi ze złej woli, tylko z siły okoliczności i z owego niewstrzymującego prądu, który ich porywa, a jakże zno-

wuż nie być im wdzięcznym za miłe chwile zabawy, które przy-
sporzyli.

Dowcipniś kawiarczany znowuż inny, osobny rodzaj stanowi. Zasłu-
guje on na oddzielny opis, tak jak wiele z tych typów, które po kawiarniach
warszawskich napotkać można, a które przy zdarzonej sposobności dokła-
dniej skreślimy. Bo kawiarnie ważniejsze niżby się zdawało, zajmują miej-
sce w życiu pewnej części młodzieży i nie młodzieży warszawskiej, i niela-
da wpływ wywierają. Tutaj jednak nie wychodząc poza zakres, jaki sobie
naznaczyliśmy, skreślimy tylko pobieżnie kilka rysów charakteru dowcipni-
sia kawiarczanego, tak jak on się przedstawia w tém główném miejscu swo-
ich działań i powodzeń.

Są to ludzie różnego wieku i stanu, bo bywają pomiędzy nimi i młodzi
i starzy, i tak zwani porządni i oberwusy nawet, kawiarni jest bowiem nie-
liczona liczba, a mieszczą one w sobie różne klasy towarzystwa miejskie-
go. Zwykle jednak jest to tak zwany wyjadacz, to jest człowiek otrzaska-
ny już z tém życiem *publicznem*, tak bowiem nazywają niektórzy całodzienne
przebywanie w kawiarniach. Wierny jest jednej tylko kawiarni gdzie za-
łożył miejsce zwyczajnego swojego pobytu, ma tam nieograniczony kredyt,
stałe łaski u gospodyni i bufetowych, z markierem zna się dobrze i wszyst-
kich gości zwykle tam uczęszczających mógłby po nazwisku wymienić. Bar-
dzo naturalnie, umie grać we wszystkie gry w kawiarniach używane, począ-
wszy od bilardu a skończywszy na pufie, w żadnej jednak nie celuje, pozostawiając to graczom z profesji, którym nie chce w drogę wchodzić.

Ze wstydem wyznać musimy, że z całego szeregu dowcipnych ludzi,
powyżej wymienionego, ten ostatni wydaje się nam najwięcej mieć prawa do
tój nazwy, chociaż dowcip jego zwykle rubaszny, często grubiański, zdaje
się na to tylko utworzonym, żeby go słuchały i oceniały wyłącznie uszy ka-
wiarek i markierów. Nigdzie też nie usłyszym tak szczerego i głośnego
śmiechu, nigdzie koncepta i żarciki nie wzbudzą tak wylanój wesołości, jak
pośród tych niewybrednych i niewymagających słuchaczy. A jakie też to
figle nie roją się po głowie dowcipnisiowi kawiarczanemu? Nie ubogi
w słowa, nie żałuje on również gościów, a czasem wydarza mu się nawet
całe odgrywać sceny przed śmiejącą się do rozpuku publiką.

Najważniejszą podstawą jego dowcipu i powodzenia, bywają przede wszystkim śmieszne przezwiska, jakie każdemu ze zwykłych gości nadaje, naśladowanie ich chodu, sposobu bycia, fizjonomji, przyzwyczajęń i t. d. Niech no kto robi jaką minę albo skrzywienie się przy bilardzie, niechaj przy szachach jaką jednostajną zachowuje pozycję, albo wykrzyk jaki wydrze mu się z ust, wnet go dowcipniś złapie na gorącym uczynku, i za chwilę będzie naśladował do niepoznania. Nie oszczędza on przytem ani kawiarek ani właścicielki lub właściciela zakładu, każdemu dopieczę, każdemu zalezie za skórę, ale nikt się nań nie gniewa, bo on już ma ten wyłączny przywilej.

Dziwne i często śmieszne są przezwiska, które on nadaje nie jednemu, najwięcej jednak rozśmieszają one rubasznem jakim zastosowaniem. Jednego naprzykład nazwie *operatorem*, bo młodzieź w billard ogrywa, tamtego znów *pozytywką*, bo piskliwie krzyczy i gniewa się za każdą przegranę, innego nareszcie *młynem djabelskim*, bo mu się gęba niezamknie, tak ciągle opowiada niestworzone rzeczy. Pamiętam że rosła i przystojna, ale głupia i nie śmiała kawiarka, zyskała od jednego z tych jegomościów nazwę *konia spiżowego*, która jęj się potem na całe życie została.

Drugą niemniej ważną podstawą dowcipów kawiarczanych, są różne kalambury i ekiwoki, których ci panowie posiadają tak niezmierny zapas, że nie skończyłbym je wyliczać, gdyby nie to, że ani jednego z nich wymienić tutaj nie można. Do tych ekiwoków najwdzięczniejsze pole przedstawia fajka, po niej gra bilardowa, samo liczenie markiera i tak dalej, wszystko tu dostarczyć musi swój kontyngens. A z konieczności muszą one się często powtarzać, czasem jednak zręczniejszy lub szczęśliwszy dowcipniś wyjeżdża na harc z jakim nowym, i wtenczas ogólne zyskuje oklaski, bo to nie lada rzecz coś nowego na tém tak dokładnie już zbadanem polu wymyślić. Najczęściej takie dowcipy zwracane bywają do kawiarki lub markiera, którzy mają już na to swoje uprawnione zwyczajem odpowiedzi, i odcinają się zaraz na miejscu. Czasem kawiarka udaje że się gniewa, i zaczyna z dowcipnisiem kłótnię, na której niejeden obcy miejscowym zwyczajom, mógłby się na pewne dać oszukać, kiedy tymczasem to leży w programacie przedstawienia.

Największa bieda bywa z młodemi, które się jeszcze nie oswoiły i często na serjo gniewają się za alluzje i kalambury. Trzeba im dopiero tłumaczyć, że dowcipniś posiada niejako ojcowskie prawo karcenia ich i gadania im niegrzeczności, że przeciw temu prawu od dawien dawna będącemu jego przywilejem, nikt nie śmiał reklamować i nikt reklamować nie powinien, bo dowcipniś kawiarczany stanowi nawet nad dziewczętami bufetowemi jakby opiekę, i do niego w danych razach udają się po radę lub obronę.

Dowcipniś kawiarczany prowadzi przy innych swoich obowiązkach pewien rodzaj kontroli nad uczęszczającymi do kawiarni gośćmi. On bywa w danych razach sędzią polubownym wszystkich na miejscu zaszłych sporów, i od jego wyroku niema żadnej już apelacji. Jego powagę muszą szanować znani szulerzy i tym podobni przemysłowcy, jeżeli zechcą na przyzwoitój stopie być tam przyjętymi. Do niego w ważnych okolicznościach udaje się sam gospodarz, kiedy trzeba albo kredyt komu wypowiedzieć, albo burdę jaką zaspokoić, albo odprawić dziewczynę bufetową, która się prze-niewierzyła. A biada temu któryby nie śmiał uznawać władzy, jaką dowcipniś samowolnie sobie przywłaszczył. O każdej godzinie dnia i wieczora będą się na niego rzucać pociski jak z procy, stanie się celem ogólnego pośmiewiska, nikt z nim nie będzie się chciał zadawać, i w końcu zmuszonym będzie opuścić te miejsca, w których tak mile chwile zabawy mu upływały, i gdzie tak wiele przyjemnych zostawił wspomnień.

Jest jeszcze mnóstwo innych gatunków dowcipnisiów, jako to dowcipniś literacki, artystyczny, biurowy, warsztatowy, nawet szynkowy i uliczny. Ale szczupłość miejsca nie dozwala nam te wszystkie typy opisywać po szczególe. Może kiedykolwiek przy zdarzonej sposobności wrócimy do nich.

STARY WIARUS.

Znikają coraz tak w kraju naszym jak i w Warszawie, te wyraziste postacie starych żołnierzy polskich, którzy przybrali właściwą a wyłączną sobie nazwę *Starych wiarusów*. Każdego z nich czy to oficera, czy żołnierza, rozpoznasz na pierwszy rzut oka. Zwykle postaci wyrosłej, smukłej, pomimo szronu wieku i lat z nasypką kopy, wyprostowanej jak sosna. Twarz czerstwa, oblicze nieraz oprócz zmarszczek poorane bliznami szabli, bagnetu, lancy, lub karabinowej kuli. Spojrzenie śmiałe, ruchy swobodne i dziwnie szlachetna powaga. Wielu przechowało pamiątkę pierwszych lat Napoleona Igo, kulczyk w uchu, którym się jakby cechowali Legioniści nasi, a następnie i wielu z wojsk Księstwa Warszawskiego.

Są to ostatnie ogniwa dogasające, co wiążą wspomnienia jeszcze Rzeczypospolitej naszej z dzisiejszemi czasami. W ich to bowiem zastępie szczuplejszym rok rocznie, miałeś wojaków, zacząwszy od tych co walczyli pod Kościuszką, zabytki z legionów włoskich, z armji Księstwa Warszawskiego, a w ostatku Królestwa Polskiego. Tę różnaitość starych wiarusów, wybornie określił Lucjan Siemieński w jednej ze swych opowieści:

Kiedy bywało wystąpią Rejmenta,
Że aż strach spojrzeć same stare wygi,
Ten Pułaskiego ruchawkę pamięta,
Ów kresę dostał nad brzegiem Adygi!

Tego zna Egipt, owego przekłęta
 Ziemia murzyńska, kędy rosną figi:
 Zgoła na twarzach miałaś jeografią!
 Oho!.. dzisiejsi tego nie potrafią!

Charakterystyka tych dzielnych ludzi godna uwagi i bliższego zbadania: w niedługim bowiem czasie śladu po nich żywego nie pozostanie na ziemi naszej.

Kiedy *Stary wiarus* u nas powstał, łatwo ten czas oznaczyć: bo początek jego sięga r. 1797.

Pierwsze ich szeregi w legiach włoskich wypełniali już konfederaci barscy, wojownicy zpod chorągwi Kościuszki, a następnie młodzież z całych obszarów starożytnej Polski. Dziesiątkowani w morderczych bojach, to we Włoszech, to w szczytkach zaledwie powróceni z zabójczej wyprawy na *San Domingo*, na nowo zmartwychwstały liczne znów zastępy, tak z młodzieży krajowej, a więcej z niewolników polskich, służących w wojsku austriackim.

Te legiony następnie wsiąkły w armię wojsk Księztwa Warszawskiego, które w większej połowiznie zginęły w wyprawie 1812 r., reszta przeznaczona w krwawych bojach, zaledwie w małej części powróciła do oczystej ziemi.

Stary wiarus przeto przeszło przez lat trzydzieści odbierał wychowanie obozowe: a większa część wbiegła pod nowe chorągwie, byłato młodzież co tylko miała pierwsze początki nauk w domu, lub opuszczała szkolne ławki przedwcześnie. Twarda szkoła obozowa, ustawne marsze, walki niemal codzienne bez odpoczynku dłuższego, hartując owęj młodzi siły i zdrowie, nauczała lepiej niż z książki nauki życia, i doświadczeniem rozwijała umysł, który się dzielniej wykształcał i prędzej dojrzewał, jak w zwyczajnym pożyciu domowym i szkolnym. Ztądto w legionach włoskich, następnie w armji Księztwa Warszawskiego i później, zjawilo się tylu zdolnych w kwiecie wieku wojowników: ztąd z prostych kmieci polskich wyszło tylu odznaczających się wyższych nawet oficerów.

Mundur wtedy równał stany: waleczność, odwaga i zdolności, otwierały jednakowo każdemu wrota do zaszczytów i chwały. Wyobrażenie wysokie, podniesione do poezji, honoru wojskowego, wielce uszlachetniało naszych wiarusów. Przywiązanie do chorągwi pułkowej, było nad wszelki wyraz: dla niej i za nią, szedł wszędy, mniej bacząc na trudy, gotów w każdej chwili oddać krew i życie własne w ofierze.

Lubo armia francuzka Napoleona głównie się brakiem religijnego uczucia odznaczała, wódz ten zastąpił je wszczepieniem, do ideału posuniętego, wojskowego honoru. Ideałem tego honoru, który schlebiał miłości własnej, godził różnaitość narodowości w swojej armii, i kierował korzystnie dla własnych widoków. Wszakże żołnierze polscy wynieśli tak z chat słomianych chłopskich, jak z dworków szlacheckich przez matki polki zaszczone w młodych, w dziecinnych latach, uczucie religijne! Wybiegli oni z nich z pacierzem, z modlitwą i pieśnią nabożną nie jedną, jak i piosnkami światowemi, które wówczas upowszechnione były. Te im słodziły chwile tęsknoty po trudach wojennych, a pacierz i modlitwy były pociechą, gdy zagrażało niebezpieczeństwo, gdy w niewoli długie dnie i lata przebywać musieli!

Wszyscy niemal starym obyczajem nosili szkaplerze od matek włożone: w morderczych walkach w Hiszpanii nie jednego szkaplerz taki ochronił od śmierci, jak modlitwa ocalała życie.

Przykładów na to nam nie brakuje, bo są bardzo liczne. Jeden z naszych wiarusów złamany chorobą, przy nagłym marszu zostawiony w domu hiszpańskiego wieśniaka, przeczuwał że w tej ziemi, w samej sile wieku, złoży kości swoje. Przecucie to wprędce się ziściło: następnej nocy napadła banda gerylasów: łatwo odkryli schronienie żołnierza tej armii, którą wytepić poprzysięgli. Wpadło kilku z nich do chaty, obdarli z niego okrycie i już chcieli go zamordować, gdy ujrzeni skaplerz, który w tej chwili nasz wiarus do ust przyciskał. Na ten widok ochłonęli z wściekłości, okryli go odzieżą napowrót i żadnych nie dopuszczając się zniewag, w spokoju go zostawili. Odtąd rodzina wieśniaka z całą nad nim czuwała troskliwością,

a gdy sił nabrał i odzyskał zdrowie, sam go gospodarz odwiózł do forpoczt francuzkich.

Drugi rodem znad Pilicy, z patrolem zostawał w jednym z zamków granda hiszpańskiego. Gerylasy i służba czekali tylko nocy, aby wszystkich wymordować zdradziecko. Nasz wiarus wspólnie wieczór usłyszawszy dzwon kaplicy zamkowej, ukląkł w zaciszy i serdecznie odmówił: *Pod twoją obronę*. Przyszła noc, sen kleił mu powieki, zdrzymnął się chwilę, gdy nagle poczuł się pochwyconym, silnie skrępowanym i usta zawiązane chustą, by żadnego krzyku nie wydał. Pewnym był ostatniej godziny życia, gdy nagle ujrzał przed sobą poważną matronę, która kilka słów przemówiła do służby. W oka mgnieniu rozwiązano mu ręce, zdjęto chustę, a ta sama pani wyrzekła doń te słowa, które umiając już język hiszpański, dobrze zrozumiał: „Widzę żeś katolik dobry, widziałam cię z okna zamkowego jakieś się modlił, gdy głos dzwonu wezwał wiernych do modlitwy. Idź w pokoju, jesteś wolny, a nie pytaj o swych towarzyszków.“ Wybiegł z izby, przez okno i drzwi otwarte przy latarniach jakby umyślnie zostawionych, ujrzał w bocznej oficynie, ciała swoich towarzyszków, zbroszone we krwi: przejęty strachem i grozą, uszedł co rychłej z tego zamku.

Zaszczytny tytuł *Starego wiarusa* nie lekko i łatwo przychodził; ażeby go uzyskać pomiędzy współtowarzyszami broni, oprócz odznaczenia się w boju odwagą i zimną krwią, musiał pokazać pewną wyższość czy moralną, czy to siły fizycznej, czy zdolności wojskowych, wielkiej przytomności umysłu, a nieraz dowcipu. Każdym z tych przymiotów zyskiwał miłość i poszanowanie u swych towarzyszków, a gdy wspomniano go, zaraz koledzy odzywali się jednomyślnie: „*to tęgi wiarus! to stara wiara!*“

Oficerowie nasi w najtrudniejszych zdarzeniach nieraz otrzymywali niespodziewaną radę skuteczną lub pomoc, od takiego starego wiarusa.

Przywiedziem tu parę przykładów:

W początkach Księstwa Warszawskiego od r. 1808 do 1811, zaczęto brać żydów do wojska. Józef Pluciński porucznik stał właśnie z kompanią w jednym z naszych miasteczek, gdy rano wbiega do niego podporucznik towarzysz jego, zaperzony, pomieszany i rzuciwszy się na sofę zawołał:

— A kolego! już dłużej nie wytrzymam, oszaleję, dalibóg oszaleję.

— I cóż się stało? Może ci kochankę porwano? może rodzice nie chcą już płacić dłuzków? co?

— Kiedy bo ci się żarty trzymają, a ja tu zmęczony, zgniewany, mało mnie djabli nie biorą.

— No! gadajże kochany trzpiocie.

— A to bieda z temi żydami, utrapienie! ucz, pokazuj, wszystko na próżno, jakoby groch na ścianę rzucał.

— Dawna piosnka, codzień słyszę to samo, przestałbyś marudzić, a lepiej wziął się do pracy.

— Alboż się jeszcze mało napracuję? Niechnoby ci kazano uczyć musztry żydów, dopierobyś zobaczył! Z niemi i sam djabeł do końca nie trafi. Tyle się namęczyłem nimem ich jako tako maszerować i robić broń nauczył, dzisiaj ot nowa bieda; chcę ich uczyć strzelać, a ci strzelać nie chcą: przemawiam, rozkazuję, grozę, wszystko daremnie.. nie chcą i nie chcą.

— Jak to nie chcą, a od czego subordynacja? kiedy nie chcą, to ich zmusić do tego.

— Łatwo powiedzieć, ale jakże zmusić kiedy na sam widok prochu drżą ze strachu, boją się dotknąć panewki. Zmiłuj się, pójdź, zobacz, może co poradzisz.

I pociągnął z sobą Plucińskiego, zmierzając ku miejscu, gdzie się odbywała owa musztra żydowska.

Zabawna to była zaiste scena, patrzeć na biednych żydków, jak się pocili ze strachu, gdy im młody podporucznik kazał broń nabijać i strzelać. A gdy mimo kilkokrotniej komendy, żaden z nich nie odważył się dać ognia, zniecierpliwiony przyskoczył, i stojącemu z brzegu pociągnął za cyngiel. Rozległ się strzał, lecz zarazem i trzymający karabin żydek wrzasnąwszy *aj waj!* padł jak długi na ziemię.

— No i cóż tu z tymi tchórzami robić?— krzyknął podporucznik, załamując z rozpaczą ręce.

— Ej! głupstwo! niema nad czém suszyć głowy, jakby to co wielkiego tych kpów nauczyć strzelać.

Temi słowy odezwał się stary wiarus, stojący na boku i przypatrujący się bacznie niefortunnym usiłowaniom podporucznika: mowa ta ubodła miłość własną jego, że aż podskoczył oburzony przymówką wiarusa.

— O tak! tak! u was starych legionistów to wszystko fraszka, wyście wszystkie rozумы pojedli, my młodzi nic nie umiemy zapewne!

— Ale z przeproszeniem, niech się pan podporucznik nie gniewa, bo Bóg mi świadkiem nie chciałem pana obrażać: koreciło mnie tylko widząc, że wielmożny pan z tém tałałajstwem, nie możesz dać rady.

— A ty dałbyś radę?

— Czemu nie?—odparł poważnie wiarus pokręcając wiasa!

— Słuchajno stary, ze mną drwin nie masz, trzymam cię za słowo! podejmiesz się więc nauczyć tych żydów strzelać?

— Choćby jutro zaraz.

— O zakład?

— O zakład!

— Dobrze, stawiam pięć dukatów jeżeli dokażesz... a jeżeli nie, to co?

— To skórą własną odpowiem, dam sobie wyliczyć dwadzieścia kijów.

Czy zgoda panie podporuczniku?

— Zgoda.

Nazajutrz stawił się wiarus, a odebrawszy pod swoje komendę owych rekrutów żydowskich, pomaszerował z nimi na pobliską łąkę. Śnać stary wyga zmówił się był ze swoimi *kamratami*, bo kilku z nich z bronią na ramieniu czekało go już na łące. Co tylko żyło pobiegło, aby być świadkiem czyja będzie wygrana. Stary wiarus uszykował żydków, kazał im robić bronią, i szło to dość składnie, ale gdy zakomenderował tuj! cel! pal! ani rusz dalej, żydki sza, jakby ogłuchli, nie myśleli i słuchać nawet.

— Aha! a co? kuso będzie z waszecią!—wykrzyknął tryumfująco podporucznik.

— Cierpliwości!—odrzekł spokojnie wiarus, a obracając się do swych kamratów, co to już na niego byli czekali na łące:

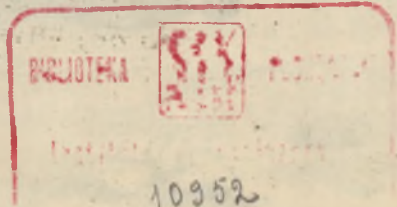
— Hej bracia!—zawoła,—pójdźcie-no do roboty!

Środkiem łąki wiła się mała, ale bardzo głęboka rzeczka, przez którą



„i udaje się drogą ku Fridlandowi ”

w Lit A Peq & C^o w Warsz 482



zarzucona była wążka kładka. Po obu stronach zajęli miejsca żołnierze. Wiarus zakomenderował marsz! i wprowadził żydków na kładkę.

— No! a teraz baczność na komendę! strzelać mi gładko, równo. A wy kochani koledzy!—rzecze obracając się do żołnierzy—patrzajcie a dobrze; jak mi który z tych żydków skrewi i nie da ognia, to go kolbą do wody.

I o dziwo! musztra poszła jak z płatka, żydzi strzelali wybornie, strzelali więcej godziny, żaden z nich ani zemdłał, ani drgnął nawet. Rzeczka była głęboka, a nasi wojacy nie mieli ochoty probować niebezpiecznej kąpieli.

Stary wiarus wygrał zakład: w dodatku podporucznik wyprawił sutą ucztę, na której tak go uruczono, tyle spełniono wiwatów, że się aż stary jak bóbr rozplakał.

W pułku 12 piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego, był pięćdziesięcioletni legionista *Jabłoński*, z zaszczytnym tytułem *pierwszego grenadjera*. Kiedy dywizja jenerała Dąbrowskiego po oblężeniu Gdańska, ruszyła szybkim marszem ku *Fridlandowi*, znalazła całą okolicę zniszczoną. Płomień zamienił w gruzy wsie i miasta: wśród pospiesznego pochodu, głód dokuczać zaczął, nie było do czego rozpalać ogniska. Stanęli żołnierze spocząć po całodniowym marszu w dniu skwaronym. Równo ze świtem wojska ruszyły z noclegu: pułk 12 zmęczony pochodem i głodem, leżał prawie bezwładny, gdy rozkaz przybył aby stawać do marszu. Oficerowie powstali, zachęcając do drogi żołnierzy, a ci błagali prawie litości, prosząc o chwilę jeszcze spoczynku. Dowódca pułku nie wiedząc już sposobu poruszenia żołnierzy, woła Jabłońskiego na bok i mówi mu:

— Widzisz że już korpusa ruszają się, a my jeszcze jesteśmy na miejscu, przemów ty do swoich kolegów, bo ja już nie mogę nic więcej powiedzieć, widząc ich tak osłabionych.

Jabłoński zbiera siły, bierze na siebie tornister i broń w rękę, a sztukając o ziemię kolbą, woła:

— No! kamraci! cóż to do milion kroć sto tysięcy bataljonów, czy nie wstaniecie?

A gdy widzi bezskutecznym i swój przykład i wzywanie, dodaje:

— No! kiedy tak... to ja chociaż stary jestem, bo mógłbym być waszym ojcem, to was będę po jednym przenosił.

Mówiąc te słowa, bierze za rękę dobosza małego chłopca, na tornister sobie sadza, i udaje się drogą ku Fridlandowi.

Z początku powstał śmiech ogólny, ależ w tej chwili wszyscy jakby mocą czarodziejską poruszeni i wskrzeszeni nowymi siłami, powstali i poszli za nim!

I rzeczywiście głos starego wiarusa i jego przykład więcej nieraz działał, większy miał wpływ niż oficerów, ci też ubiegali się o to, aby w kompanii było zawsze kilku stariej wiary.

Wieloliczne przykłady ich zdrowej rady, wielkiej przytomności umysłu, i dowcipu nawet, dają wymowne dowody, jak nieoceniony jest ów *chłopski rozum*, który jest jednym z najwydatniejszych przymiotów polskiego chłopka. Wszystkie *stara wiara* wyszła zpod strzechy chat wiejskich, odznaczając się świetnie w walkach Napoleona Igo, dochodziła nieraz stopni oficerskich i wyższych nawet, majorów i pułkowników. Znałem ich wielu, i to za piękny przykład zostawili, że żaden z nich swego nie wstydził się pochodzenia.

Chłopiek polski *Komorek*, za odznaczenie się świetne, doszedł do stopnia kapitana, i mianowania kawalerem legji honorowej. Na jednym przeglądzie przed Księciem Józefem Poniatowskim, po kampanii 1809 r., kompania dowodzona przez Komorka, zyskała ogólne pochwały. Książę który go znał dobrze, nie mogąc dłużej ukrywać swęj radości, dziękował wszystkim oficerom, a wzięwszy go pod rękę rzekł mu:

— Panie kapitanie, oddawna swoim honorowem postępowaniem zyskałeś mój szacunek i przyjaźń, oddawna chciałem ci powiedzieć to, co ci dziś powiem. Na polu walki dosłużyłeś się stopnia kapitana, odniosłeś kilka blizn chwalebnych, i otrzymałeś krzyż Legii. Dla mnie, dla tych co cię bliżej znają, to dosyć aby cię kochać i zostawać z tobą w zażyłości, ale dla świata to niedosyć, bo świat hołduje częstokroć nie zasłudze, enocie, lecz czechem uprzedzeniom majątku lub urodzenia, a na tém ci właśnie zbywa. Familja twoja biedna, nieznaną, przyjm więc odemnie radę jak od przyja-

ciela: porzuć rodzinne nazwisko, przezwij się Komorowskim, a ja ci wyrobę szlachectwo.

— Nie Mości Książę, — odparł żywo nasz chłopiec-kapitan, — nigdy się nie rozstanę z nazwiskiem, które na świat z sobą przyniosłem, bo nie chcę aby się tém szczycił Komorowski, na co sobie Komorek zasłużył.

Zdziwiony, ujęty, rozrzewniony tém Książę Poniatowski, z uwielbieniem uściskał Komorka. Współtowarzysze znaleźli w tym szlachetnym sposobie myśli, nowy powód do szacunku dzielnego wojaka.

Stare wiarusy tędzy w boju, wyborni do porady, nie pojmowali znaczenia wyrazu co to bojaźń: w obrzydzeniu i ochydlizmie mieli każdego tchórza. Biada żołnierzowi i oficerowi nawet, gdyby w boju okazał tchórzostwo. Nie było obelgi którejby nie doznał, a jeżeli uchodził z pola bitwy w popłochu, stara wiara brała go na cel, i posyłała za nim kulki: były wypadki że od takich strzałów w ucieczce ginął, otrzymywał rany od własnych żołnierzy. Szczęśliwy jeśli uszedł cało. W takim przecie razie już nie mógł się w tym pułku pokazać.

Długie lata bojów i marszu, poznanie tyłu krajów, hartowały ich ciało, równo jak rozwijały umysł, i wzbogacały go doświadczeniem.

To też *stary wiarus* umiał sobie zawsze poradzić tam, gdzie głupiał rekrut i oficerowie młodzi tracili głowy. Nikt lepiej od niego nie wyszukał w głodzie żywności, nie zaopatrzył się wcześniej na wszelkie przygody. Stary wiarus wyszukał zpod ziemi co zapotrzebował, dlatego oficerowie nasi nie mogli wychwalić dość ich przezorności i pomocy, jakiej nieraz doznawali.

Wyprawy Napoleona Igo nie straciły jeszcze cechy okrucieństwa: wypadki rabunku wsi, miast i fortec zdobytych, nieraz się powtarzały. Kiedy po zdradzieckim wymordowaniu naszego patrolu, generał Henryk Dąbrowski dał rozkaz do wzięcia szturmem *Tczewka* (*Dirschau*) nad Wisłą, mieszkańcy wzięli udział w zaciętej obronie. Generał dozwolił rabunku przez dwie godziny. Zdobyto fortecę i nie obeszło się bez rozlewu krwi i gwałtów, bo żołnierz wszędzie mieszkańców znalazł uzbrojonych i walczących przeciw sobie. Strzały ich celne z okien, zaułków, z podwórzy, z dachów,

raniły i kładły trupem po ulicach. Rozbici, wyginęli lub ujęci do niewoli zostali. Zaczęto rabunek: rekruci aby otworzyć zamki, łamali bagnety u karabinów; stary wiarus odstąpił tylko kilka kroków, jak wyciął kulą w zamek, puszczał odrazu. Dopadłszy piwnie z kufami, tym samym sposobem sobie radził, i wystrzałem toczył z nich wino, porter i piwo angielskie. Kiedy rekruci chwytały czepek i rupiecie cienkie kobiece na *onuczki*, starzy wiarusy wybierali koszule i chustki, bo te mu się zawsze zdały. Nawykało z nich wielu do nadmiaru trunku, ale w czasie boju każdy z nich stawał trzeźwo, gardzili nawet opijem, gdy szli do bitwy: upojenie bowiem wtedy przypisywali tchórzowości. Co godnem uwagi, że stary wiarus zrzucawszy mundur, odznaczał się trzeźwością: rzadki był przykład, aby od nałogu tego nie odwyknął. Znałem wielu co pozostając w usługach później, czując więcej pociągu, zawsze ostrzegali swoich panów, i brali na to pozwolenie że muszą sobie podchmielić.

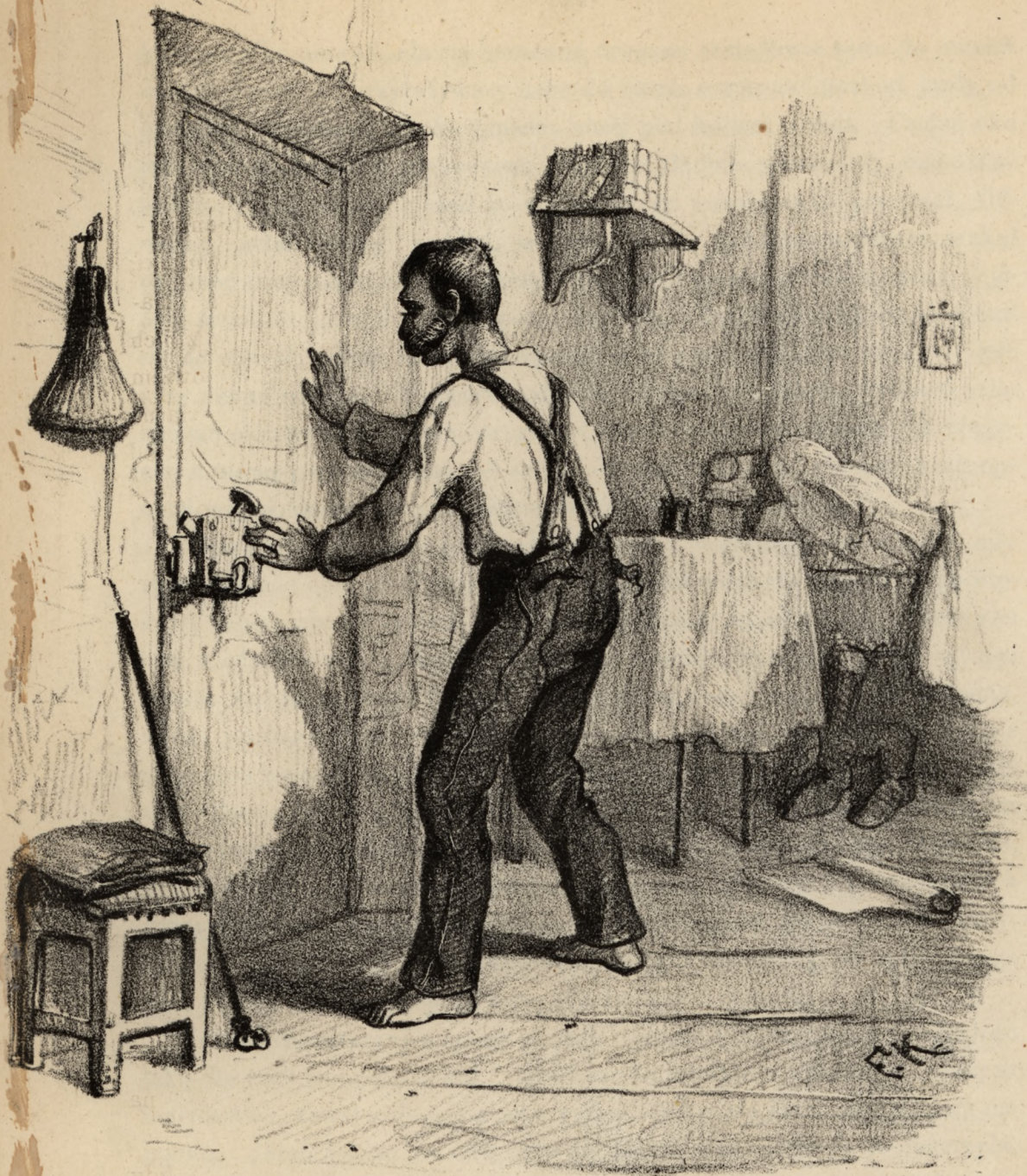
Nasz ulubiony poeta Kaz. Brodziński miał przy sobie starego kanoniera, co często zaglądał do flaszki, przebaczał mu względny, pomnąc na jego przywiązanie. Trafną mu po pijanemu dał odpowiedź. Wracając raz z wieczoru, Brodziński długo dostukać się nie mógł, wreszcie przebudzony kanonier zaczął drapać i macać po ścianie, nie mogąc do drzwi trafić, bo był dobrze podcięty.

— Ty! ty! pijaku, — zawołał zniecierpliwiony Brodziński, nawet do drzwi trafić nie możesz.

— Niechno się pan tak jak i ja upije, — odrzekł żałośliwie wiarus, — a zobaczymy czy łatwo do drzwi trafi!

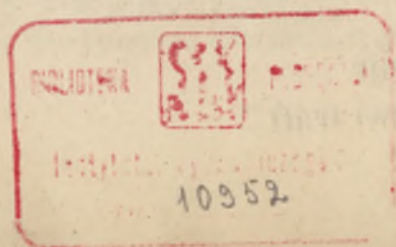
W przeddzień bitwy było zwyczajem w armii Napoleona, że wojacy przybierali się czysto jakby na uroczystość jaką. Ten zwyczaj zachowywali starannie stare wiarusy. Jeżeli mieli rekrutów pomiędzy sobą, a ci przywdziewali białe koszule, straszili ich wróżbą, że kładną śmiertelne *zgięto* na siebie, i zginą niezawodnie w boju.

Po doznanej klęsce, młody żołnierz tracił przytomność, tém więcej gdy nie mógł iść *kupą*: stary wiarus doświadczony, wiedząc że przemienny los boju, choć poszedł chwilowo w marudery, tak się umiał pokierować, że uni-



w Lit A Pecq & C^o w Warsz. 482

„Niechno się pan tak jak i ja upije —
a zobaczymy czy łatwo do drzwi trafi ”



knął nie tylko niewoli, ale się bocznymi drogami szczęśliwie znów do swoich dostał. Umiał on, przyłożywszy ucho do ziemi, rozpoznać pochod jazdy od piechoty, i rozróżnić głucho tętnienie ziemi pod kołami armat. Czujne oko jego bystrém sokolém spojrzeniem, zdawało dokładnie przedmioty rozpoznać umiało, czujny słuch objaśnił go w tém, czego wzrokiem nie przejrzał. Odważny, pełen otuchy i nadziei, w największem niebezpieczeństwie szukał najprzód ocalenia męstwem i dzielnością, lecz gdy te widział daremne, w jednej chwili znajdował jeszcze sposób ratunku. Jeżeli los zrządził że dostał się do niewoli, wtedy chwilowo wpadał w rozpacz, ale taił swoją boleść i łzy nieraz rzewne. Wprędce godził się ze smutnym losem, dumnym szlachetnie okazywał się swoim wrogom, i znosił z dziwną odwagą ich urąganie, a nieraz pastwienie się nad sobą. W tém znęcaniu się nad bezbronnymi wojownikami naszymi, odznaczali się Austriacy zawsze.

Stare wiarusy, życie żołnierskie kochali, i wielu było co dopóki siły starczyły, nie opuścili swojej chorągwi. Smutną ich była starość, bo po większej części gdy nie znaleźli służby, szli w dziady na żebranie. Niedawne lata, kiedy Warszawa liczyła ich zastęp niemały, chodzących po ulicach miasta, dziś już spoczęli w mogiłach. Wielu z nich po upadku Napoleona, w sile jeszcze wieku, wróciło do dawnego zajęcia rolniczego, ochotnie w miejsce broni pochwyciwszy pług i kosę. Tacy w każdej wsi oznaczali się wydatnie postawą żołnierską, prostą jak sosna, obejściem szlachetnym i wzorowém gospodarstwem. We wsi używali powszechnego szacunku, oni rej wiedli w karczmie, sadzani na pierwszem miejscu i przy wszelkich uroczystościach: ich zapraszała młodzież w swaty lub gospodarze w kumy. Zawsze staranni w ubiorze, odznaczali się jego czystością, bo stary wiarus dbał równie o swój sukman i buty, jak dawniej o mundur.

Charakterystycznym rysem starego wiarusa a wydatnym, była uległość jaką dla swój żony okazywał. Wiadomo że rzadkie u chłopków naszych małżeństwo, nawet najlepiej z sobą żyjące, żeby się choć raz w życiu nie pobiło. Jeżeli *kobieta* nie odważyła się bronić albo pierwsza nie uderzyła, to znosiła z pokorą razy rozgniewanego męża. Stary wiarus nigdy ręki zgrubiałej i silnej, nie śmiał podnieść na swoje żonę. Znosił sam raczej

cierpliwie w uniesieniu wyrzeczone ję słowa obelżywe, a nawet i razy, ale odwetu nigdy nie szukał, ustępując ję z oczu.

Na starém Podlasiu we wsi *Porosiukach*, nad rzeką Krzną położonej, co oblewa ruiny zamku Radziwiłowskiego w Białym, znałem *Stanisława Huczko*, chłopka rusina, co wzięty w rekruty, dosłużył się stopnia sierżanta i krzyża wojskowego. W sile wieku osiadł na ojcowskim zagonie: a piękny był to mężczyzna w całym znaczeniu tego wyrazu. Wysokiego wzrostu, oczu czarnych, pociągłej twarzy, jeszcze czerstwej i rumianej. Służył w grenadjerach bermecznych, to też go zwano „grenadjerem cesarskim.“ Opuszczone gospodarstwo pracą i staraniem prędko podniósł, a upodobawszy sobie dorodną ze wsi sąsiedniej *Sławacinka* dziewczkę, z nią się ożenił. Ale pani Huczkowa nie była cierpliwa, i z latami coraz ję żywość charakteru więć wybuchiała. Od słów powoli przychodziło, że nieraz i dobrze wygrzmociła cesarskiego grenadjera. Sąsiedzi śmieli się z niego, że daje przewodzić tak babie, ale *Stanisław* milcząc nie odpowiadał, tylko szedł albo w pole, albo do swęj pasieki, którą sobie założył. Że to było do puszczy Bialskiej po drodze, często wstępowałem do niego, bo brat ję młodszy furmanił mi nieraz. Ten w pogawędce na drodze piaskowej prosił mnie, abym to grenadjerowi przedstawił, jak sąsiedzi żartują sobie, że go baba bije. Poprowadziłem więć, przybywszy do *Porosiuk* *Stanisława* do pasieki, i opowiedziałem mu wszystko. On smutnie poruszony głową, rzekł do mnie:

— Proszę wielmożnego pana, żeby mnie to zrobił chłop drugi, toby już po świętej ziemi nie chodził. Spójrz pan na te ręce narobione od karabina i sochy, a silne; jakbym ją uderzył raz, tobym zabił. A to pomimo gniewu częstego poczciwa kobieta, i matka moich dzieci. Czyżby to pięknie było, proszę wielmożnego pana, żeby taki stary jak ja wiarus z krzyżem wojskowym, bił i kogo? swoje kobietę. Nie powiedzą żem tchórz, ale zresztą niech sobie gadają.

Uściskałem poczciwego wiarusa, zdziwiony prawdą i szlachetnością słów jęgo.

Wpóśród całej gromady wiejskiej w Kościółku zebranej, odróżniłeś zaraz

starych wojaków, tak się uwydatniali ruchem każdym i postawą, jak zarówno obliczem i spojrzeniem. Pomiedzy temi pełnemi szlachetności i honoru wojakami, kradzież nie była znaną: złodziejstwo bowiem uważali za najochydniejszą zbrodnię i plamiącą ich godność. Kiedy szedł marszem zwyciężkim, stary wiarus brał otwarcie co zapotrzebował.

Osiadłszy w chacie rodzinnej, szanował jak świętość cudzą własność. Przyprawiono raz do mnie takiego wiarusa rolnika, posądzonego o kradzież w spichlerzu przez sąsiada. Poszkodowany dowodził, że nie kto inny tylko Paweł (tak mu na imie było) ukradł mu pół korca żyta i korzec grochu, bo to jak dowodził, sprytny naród te stare *wygi*, oni dobrze za morzem kraść się nauczyli.

Paweł blady, drżący z gniewu i oburzenia, milczał, a na całym obliczu jego malowały się boleść i wzruszenie głębokie.

— Proszę wielmożnego pana, — rzekł poważnym głosem, — jeżeli to głupie chłopisko tak znieważa *naszą wiarę*, to mu przebaczam, bo to głupie. Aleć wielmożny pan zna dobrze, gdzie my byli i czy kradli? Panie (to mówiąc dobył z zapazuchy krzyż srebrny wojskowy, w płatku zawinięty, a pocałował go ze łzami) panie, człowiek co to nosił, czy może być złodziejem!? I zaszlochał w głos jak dziecko.

— Ja za niego ręczę, że tego zrobić nie mógł, — powiedziałem zebranej gromadzie co zesłała się do dworu na tę sprawę. — Co ci zginęło to zwróć ze swego spichrza, a złodzieja prawdziwego wynajdziem!

Paweł upadł na kolana, wznosił oczy w niebo jakby się modlił, a podnosząc się, już spokojniejszym głosem wyrzekł:

— Na rany Chrystusa Pana! przed wielmożnym panem i całą gromadą przysięgam, że nie tylko nie wziął tego żyta i grochu, ale nigdy złej myśli nie miał, aby sąsiadowi jaką szkodę zrobić.

I prawda wkrótce się okazała: syn chrestny owego gospodarza zakradł się do spichrza, i zabrał to zboże, sam pierwszy nastając na Pawła.

Poznałem przed parą laty starego grenadjera, co mieszkał *na Solcu*: znalazł on przytulisko u swego kamrata, co się ożenił z dobrą i pracowitą kobietą. Dostatek był zawsze w ich domu: żona zarabiała praniem i szy-

ciem, mąż siekierą albo łodzią i siecią na Wiśle, bo znał się na rybołówstwie, i zręcznie robił wiosłem, jako zrodzony nad Narwią. Dwoje dziecię kilkoletnich zdrowo wyrastało. Nasz grenadjer przyciśniony wiekiem, ciężko ranny, pomagał czém mógł téj zacnej rodzinie. W 1852 r. w czasie grasującej cholery, zmarła żona wyrobnika i dwoje dziecię: on sam ciężko ze zgryzoty zachorował. Dostatek niedawny ustąpił nędzy. Grenadjer pilnował go jak syna: w dzień wychodził nie mogąc zarobić na żebraninę, nocie przepędzał bezsenne. Doktor którego sprowadził, zalecił choremu rosół z kury, ale zkąd jęj wziąć? Grenadjer ukradł ją i ugotował rosół. Chory zbudzony w nocy spojrział na komin, na palący się ogień i stojącego przy garnku kamrata.

— Co ty robisz?—zapytał zcicha.

— Gotuję rosół z kury dla ciebie!

— Toś ją chyba ukradł!—zawołał z wyrzutem.

Grenadjer słowa nie odrzekł, ale te słowa jak kamień padły mu na serce. Wyrobnik w kilka dni umarł, a nasz wiarus po pogrzebie przyjaciela, z płaczem wspominając go i opowiadając jaki był to dobry człowiek, dobrowolnie przyznał się do téj kradzieży.

— Prawda!—mówił,—że to nie przystało dla starego wiarusa. Bóg mi przebaczy, aleć skradłem dla ratunku przyjaciela.

W Warszawie wielu ze starych wiarusów mieściło się w służbie jak mogło. To przy Uniwersytecie warszawskim za stróży, w laboratorjach, to w aptekach, u rzemieślników, we władzach rządowych różnych za woźnych i posługaczy, w drukarniach i w prywatnej służbie. Jeszcze mamy wiele tego rodzaju zabytków. Wszyscy odznaczali się pracowitością i wiernością.

Gdy Warszawa nie miała oświetlonych latarniami ulic, wielu służyło za latarników; gromady ich widziałeś to przed teatrem narodowym, to przy salach redutowych, to w miejscach liczniejszych zebrań i balów publicznych. Zniknęli oni już z naszego grodu, zostawiwszy słabą pamięć w wspomnieniach mieszkańców Warszawy. Usłużność ich i poczciwość znaną była powszechnie.

W mnogiej warstwie robotników osiadłych w Warszawie, mamy jeszcze zabytki starych wiarusów. Niemaló krzepkich siwoszów chodzi z piłą i siekierą, do tarcia i rąbania drzewa. Poznasz ich łatwo po wyprostowanej postaci, po obliczu poważnem, po mowie pełnej przyzwoitości i godności. Kiedy się ich kilku zbierze razem, przy spoczynku w obiadową godzinę posłuchaj ich rozmowy, a usłyszysz ciekawe opowieści o dowcipie starych wiarusów naszych.

Niedawno trzech ich zasiadło razem, i każdy z przyniesionych dwojaków spożywał strawę swoją. Jeden z nich jakoś się uprzął najpierw ze skromnym obiadem, i zaczął po drugich oglądać jakby patrzył czy po którym resztek nie zostanie.

— Widzisz nogo!—rzekł z uśmiechem najstarszy wąsacz,— onby jeszcze wołu połknął, na masz (i to mówiąc rzucił mu drzazgę), włóż w garczki, nalój wodę, to będziesz miał doskonały rosół kanonierski albo grenadjerski.

— O! to mi mądrała!—odpowiedział nieco pochmurnie młodszy,— czy kto widział z drzazgi rosół zgotować.

— Posłuchajta kamraci, to ja wam opowiem jak się to robi.

„Było i chłodno i głodno, wszedł nasz stary kanonier do wioski na kwaterę; a choć nosił kulczyk w uchu, ale były pustki w brzuchu. Wita gospodynię bardzo grzecznie, przypytuje o jadło, a ta mu wręcz powiada, że wszystko wyjedli piechury. Nasz ogniomistrz łbem pokiwał, ale rezonu nie traci. Prosi gospodyni ażeby mu ze stariej brony zęb przyniosła, i wody w garnku nastawiła, to jęj pokaże jak to w biedzie radzić sobie człowiek. Kobieta zaciekawiona, przyniosła zęb drewniany, nastawiła w garnku wody. Kanonier zagadując to o tém to o owém, narzyna gęsto zęb brony: włożył go do garnka, okrył się fartuchem, żeby się nie zatłuszczył, i stanął z warzęchą w rękę przy kominie, ostrzegając gospodynię, że musi szumować, bo z niego będzie tegi rosół. Kobieta z niedowierzaniem wsparła głowę na rękę, i wlepiła oczy w garnek. Tymczasem stary wiarus zgarnawszy niby szumowiny, pokosztował warzęchą.

— O! już zaczyna nabierać smaku, zaraz się będzie pieniść; żeby to by-

ła jedna, druga garsteczka kaszy, fiu! fiu! fiu! coby to był za śniadanie, bo jakos na dobry zęb natrafiliście.

— A jest kasza, ja zaraz przyniosę.

— To, to, to, zobaczycie co to będzie.

Przyniesioną kaszę kanonjer przepłukał, wsypał do garnka i pokazał gospodyni że się rosół pienieć zaczyna naprawdę. Potem znowu skosztował.

— Oho! zaraz inaczej, skosztuj tylko wasani.

Gospodyni skosztowawszy, mówi:

— Adyc to jakby był krupnik, tylko niesłony.

— Oj! prawda, zagadałem się i zapomniałem, muszę poszukać czy nie mam w tornistrze prochu, bo soli zapewne nie macie?

— Znajdzie się trochę.

Osolono krupnik, kanonier skosztował i rzecze:

— Żeby to jeszcze kawałek słoninki, kawałek wędzoneczki, toby to był królewski krupnik.

Gospodyni rozciekawiona że zęb się z brony tak smaczno rozgotowywa, przyniosła wszystko czego żądał, bo jeszcze dodała trochę cebuli, pietruszki i kartofli. Wszystko to dobrze rozgotował w garnku, poczem dawszy kilka groszy, wysłał ją po wódkę, zęb brony wyrzucił w ogród warzywny, a wylawszy rosół w misę, zaprosił gosposię na kanonierską zupę, której się odchwalić nie mogła. Kiedy stary wiarus zdrzymnął się strudzony, kobieta w garnku napróżno szukała zęba brony, i opowiadała kumoszkom jak on się w rosół rozplynał. Tak i ja ci drzazgę rzuciłem (kończył swoje opowieść stary), dodaj do niej tych przypraw, a będziesz miał doskonały rosół kanonierski czy grenadjerski, bo u nas w pułku i tak i owak go zwali.

Cechą ich charakterystyczną jest owa milcząca powaga, z jaką wypełniają swoje obowiązki, a nie lubią wspominać pięknej przeszłości swojej. Jeszcze z *kamratem* jak się spotka stary wiarus, to półsłówkiem czasem ją sobie przypomną, a temu wspomnieniu towarzyszy bolesne westchnienie.

Ze starszym zwierzchnikiem swoim nigdy się nie poufała, jeżeli spotka dawnego z jednych szeregów oficera, to radość niezwyčajna wybija na jego

oblicze. Nietylko że mu kłania zdala, ale z dziecięcą prostotą biegnie o ile siły starczą i całuje w ręce. Niechże mu ten wspomni o jakiej walce zwyciężkiej, o jakim jego czynie walecznym, albo szlachetnym, siwy wąsacz prostuje się, oblicze jego dumnieje, zapal roziskrza zamglone oczy. A tę zmianę wywołuje wspomnienie czynu, z którym się tai jak ze skarbem swoim. Odgłos bębna lub trąby wojskowej, albo muzyki, zawsze elektryzuje tych starców, lubią patrzeć na musztrę, na strzały do tarczy, a wtedy w obliczu każdego z nich wyczytać zadowolenie, lub błąd, jaki dostrzegł ten bystry dostrzegacz.

Byłem świadkiem strzelania z dział do tarczy, huk strzałów rozlegał się daleko. Na galarach pełno było flisów i orylów, między tymi siwosz wysoki a krzepki, zwracał uwagę, tak postacią, jak obliczem czerstwem i ogromnymi wąsami. Ten nie pożałował nóg swoich i ruszył do poligonu. Stanąwszy na uboczu przypatrywać się zaczął pilnie, i uśmiechał się za każdym nietrafnym strzałem. Po kilkunastu wystrzałach stała tarcza nietknięta. Oficer dowodzący gniewał się i zżymał daremnie: dostrzegłszy starego wąsacza kręcącego głową, i mrużącego wcześniej „nie trafia;“ spojrział nań z uwagą. Pomimo podartego płaszcza szarego jaki miał na sobie, uderzyła go jego postać.

— I czegoż łbem kiwasz? czy może lepiej trafisz do tarczy?

— A może i trafię proszę pana kapitana.

— Dam ci dziesięć rubli jak raz w trzech strzałach trafisz do tarczy, i pokażesz tym niezdarom moim.

— Dobrze panie kapitanie.

— A jak nie trafisz?

— To pięćdziesiąt płazów przyjmę.

— Zgoda.

Był to stary nasz kanonier, czterdzieści lat służył w artylerji polskiej. Przystąpił do dział, obejrzał go troskliwie, kazał nabić, wycelował i zapalił lontem. W trzech strzałach dwa w sam środek trafiły, jeden wyrwał bok tarczy. Zdziwienie oficera było nieopisane, dał mu obiecaną nagrodę, i suto w dodatku uraczył.

Stare wiarusy mają w charakterze swoim dużo dumy rycerskiej. Świadkowie olbrzymich walk i uczestnicy, żołnierze największego wodza w świecie, lekce ważyli zawsze oprócz francuzów, inne wojska. Zyskiwały przecieź sprawiedliwy sąd te dzielne zastępy, które czy nad Berezyną, lub na polach Lipskich, stawały im murem nieprzebitym.

— Dzielnie się bili (mówią), aleśmy ich rozbili, albo się cofnęli sami.

Żołnierze ci co cały swój żywot temu jedynie i wyłącznie poświęcili zawodowi, z uśmiechem słuchali konfederatów barskich opowiadających wyprawy swoje. Napoleonscy wiarusy nazywali to *szarmytlami* albo *furdami*, dla określenia ich małego znaczenia.

Stary wiarus przyzwyczajony do walczenia w wielkich massach wojsk, nie mógł cenić bitew podjazdowych, bez piechoty, prawie bez dział, szczupłych chorągwi jezdnych konfederatów. Byłem raz świadkiem, jak taki konfederat rozweselony przy zaręczynach swego syna, co z prostego żołnierza dostąpił wyższych stopni, opowiadał że dwa dni nie mieli co jeść jak tylko kaszę, a to bez omasty i soli nawet.

— A cóżby było proszę jegomości, gdyby przez dwa dni nie było co jeść, a trzeba było maszerować, albo żywić się szczurami, końskim mięsem i kotami jak w oblężeniu Gdańska?

Starzec spojrział z podziwieniem na syna, potrząsł głową z niedowierzaniem, a potem dodał:

— Wyście to prawdziwie żołnierze, a my byli sama szlachta, co to wyjechało się w świat, pomachało szabelką i znowu cicho na zagon domowy.

Tak żołnierze jak oficerowie, w głównych charakteru zarysach starych wiarusów, niczem się nie różnili, jak tylko wykształceniem naukowym i wychowaniem. Oficerowie odznaczałi się szczególną *galanterją*, jak zwano grzeczność i uprzejmość dla dam: żaden z nich choćby najstarszy wiekiem nie śmiał usiąść, widząc stojącą kobietę, za jej cześć, za jej honor, po rycersku się ujmował, i nieraz ciężko naznaczył tego, co się poważył z lekceważeniem odezwać o niewieście czy dziewicy, godnej szacunku.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz 482

Rosół Kanonierski.

BIBLIOTEKA



1952

10952

Żołnierze nie umieli okazać téj uprzejmości, ale nikt nie był łagodniejszym dla żony swojej nad starych wiarusów, jakeśmy to już mówili.

Rok 1809 dowodnie wykazał ich odwagę i przytomność wielką umysłu. Przytoczę tu kilka przykładów:

Po bitwie pod Raszynem wojska austriackie zajęły Warszawę, polskie cofnęły się na Pragę. Austriacy nocami zabrawszy promy i przewoźników naszych, a do pomocy stróżów z domów miasta, ustawiali ich na czele, jako zasłonę od strzałów, i próbowali niepokojąc polskie straże, opanować jakie wybrzeże z prawej strony Wisły. W jednej takiéj nocy ciemnéj oddział z 30 Austrjaków z dobozem i oficerem, oraz 15 przewoźnikami i stróżami, zcicha podpływał na wybrzeże Saskiégó kępy. Stał tam właśnie na straży stary wiarus podoficer, z dwoma towarzyszami. Mając tylko gołe od działa lawety, znalazłszy pień wypruchniałéj wierzby, ułożył go na nie, wysypał baterijkę i na niéj ustawił ową groźną armatę.

Zdala rzeczywiście ten przybór wyglądał na działó. Jednemu z żołnierzy dał lont zatłony w rękę, i czuwał noc całą. Po cichym plusku wioseł, po szmerze wodnym, bystrym słuchem zmiarkował napad. W kilku słowach na ucho dał rozkaz towarzyszom jak mają postępować. Jeden z nich z bronią na ramieniu, na bateryjce piasezystéj straż zajął, drugi z lontem zapalonym stanął przy dziale, stary wiarus dobył pałasza, a rozpoznawszy podpływający galar, zapytał silnym głósem *kto idzie!* Gdy na powtórzone zapytanie żadnéj nie otrzymał odpowiedzi, wybiega przed baterję i do podpływających woła:

— Jeżeli broni natychmiast nie złożycie, jedno słowo, a działó kartażami nabite zmiecie was wszystkich jak muchy. Chłopczy! (zwracając mowę do przewoźników i stróży) upadnijcie twarzą, bo godzina dla tych wybiła.

Przewoźnicy i stróże niewiele myśląc skoczyli do płytkiégó wody, oficer dowodzący tym patrolem ujrzawszy działó prosto wycelowane, krzyknął z przestraczem *pardon!* Żołnierze broń rzucili, stary wiarus z pomocą przewoźników i stróży powiązał nieprzyjaciół, a oficera wprowadził na baterję swoję, który ujrzawszy czem było owe groźné działó, nie posiadał się z gniewu.

wu i wstydu. Stary wiarus otrzymał krzyż z rąk Księcia Józefa Poniatowskiego.

Do Szydłowca w Sandomierskiem przemaszerowało do 200 piechoty austriackiej, między którymi niemal połowa była lżej rannych i chorych, z kilkudziesiąt powozkami, na których wieziono przybory wojskowe i osłabionych. Na wzgórzu we dworze swoim hrabia Sołtyk właśnie zabierał się do obiadu, gdy stary wążacz ułan przybył i prosił o przewodnika do Szydłowca.

— I pocóż chcesz tam jechać, kiedy mam wiadomość, że całe miasto zapchali Austriacy.

— Właśnie dlatego,— odrzekł stary wiarus,— że ich panu wszystkich chcę przyprowadzić.

Sołtyk uśmiechnął się na te słowa, biorąc je jako przechwałkę dziecinną, kazał mu dać przewodnika, i nalawszy szklankę wina podał ułanowi. Ale ten po żołniersku podziękował.

— Jak ich tu przyprowadzę wszystkich, to się wtedy napiję.

Przewodnik mały chłopak zszedłszy ze wzgórza, ukazał mu pobliski Szydłowiec, a sam uciekł.

Może w godzinę wpada służba hrabiego i daje znać, że od miasteczka tego widać kurzawę, i że ów ułan jedzie na czele.

Sołtyk przez perspektywę rzeczywiście ujrzął go jadącego w przedzie, oddział austriaków postępował rozbrojony, otoczony mieszczanami z karabinami, i ciągnący się długi tabor wozów. Podziwem przejęty kaze stoły zastawić, i przyjmuje radośnie zwycięzcę.

— Teraz wina się napiję z łaski pana hrabiego, — rzekł z dumą nasz wiarus pokręcając sumiastego węża.— Ani noga Niemca nie uszła.

— Jakimże to cudem zrobiłeś mój bracie?

— A to proszę pana hrabiego zrobiło się bez cudu, po prostu. Jak mi chłopak dany za przewodnika pokazał drogę do miasta, a sam uciekł, tak ja powoli sobie podjeżdżam i patrzę. Widzę że Niemcy porozchodzili się po domach i zaczynają obiadować. A, myślę sobie, będziecie tu zaraz w gorącym rosole. Jak wpadnę na rynek, jak palnę z pistoletu, tego drzewcem

i owego, jak krzyknę na mieszczan, héj dalej do pomocy! jak się żwawo ruszą, tak niemcy dudy w miech, żaden do broni wziąć się nie śmiał, owóz mamy wszystkich w trokach.

Pod Stopnicę (w dawném krakowskim) przybył stary ułan, i stanął w karczmie przy rozstajnych drogach postawionéj. Zaledwie zasypał koniowi obroku, i sam nieco odetchnął, wpada przestraszony żyd arendarz donosząc że wielkie wojsko idzie. Ułan nasz wybiegł na wyżki, i dymnikiem dojrzał zbliżający się patrol z czterech huzarów węgierskich. Co prędzej zamusztukował konia, i kazał go żydowi drżącemu ze strachu trzymać, sam z najzimniejszą krwią wyszedł przed karczmę z lanca, i zaczął wolnym krokiem chodzić, jakby straż trzymał.

Huzary prawie na 50 kroków się zbliżyli, kiedy nasz ułan niby dopiero ich spostrzegłszy, krzyknął *do broni!* i sam wbiegł do karczmy. Huzary w tył zwrot. Nasz ułan już na koniu ich pędzi: zwała jednego pchnięciem, drugiego drzewcem lancy i obu jeńców przywodzi do karczmy.

Najgłośniejszego imienia stary wiarus był trębacz *Jaszczołd*, następnie wachmistrz. On to z kilku towarzyszami swymi postanowił ukraść jenerała austriackiego dowodzącego na Podolu galicyjskiem, z jego głównej kwatery. Podjechawszy niepostrzeżenie pod ogród dworu z dwoma towarzyszami, wszedł pod sień dworu gdzie stał ów jenerał. Widząc szyldwacha chodzącego po niej, kiedy się odwrócił, przyskoczyli: *Jaszczołd* zawiązał mu usta, i w beczce stojącej wody zanurzywszy mu głowę, zadusili. Wtedy sam wszedł do pokoju z odwiedzionym pistoletem. Przechadzał się właśnie rozebrany z munduru jenerał; na widok *Jaszczołda* struchlał, ten świsnął na swoich: otworzono okno i wyprowadzono jeńca niepostrzeżenie. Już mieli siadać na konie, kiedy *Jaszczołd* przypomniał sobie że nie zabrał zegarka złotego co wisiał na ścianie. Poskoczył więc napowrót do dworu, ale tam już dostrzeżono zaduszonego szyldwacha, rozruch się zrobił. Spostrzeżono w ogrodzie i samego *Jaszczołda*. Musiał więc zmykać do swoich.

Nie mógł uprowadzić jeńca swego, dawszy mu pamiątkę, puścił go i wraz wszyscy szczęśliwie dostali się do obozu.

Pod Stanisławów (w Galicji) przybył *Jaszczołd* w nocy, ale pijąc nad

miarę czuł potrzebę spoczynku: stanął więc z towarzyszem swoim także nietrzeźwym na wzgórzu o werstę od miasta; konie przywiązali do szmigi wiatraka, a sami położyli się i twardo zasnęli.

Kiedy słońce zaczęło wschodzić, Jaszczold obudzony jego blaskiem, powstał i zaczął się wyciągać, zbudził się i jego towarzysz. Nagle słyszą rozruch w Stanisławowie: dosiadają koni, gdy ujrzeni pędzącego co siły młodego chłopca z miasta; ten zdyszały opowiada, że cały Stanisławów pełny był wojska austriackiego, ale wszystko ucieka, że zostało zaledwie kilka koni. Jaszczold niewiele się namyśla, trąbi do ataku, i z dobytą szablą z towarzyszem wpada. W karczmie pozostało pięciu huzarów, ci na jego widok broń złożyli.

Wyjaśniła się rzecz wkrótce cała. Kiedy ze wschodem słońca Jaszczold przeciągał się pod wiatrakiem, równocześnie wypędzano stado owiec z pobliskiego folwarku. Powstała ztąd kurzawa nie dozwalała przedmiotowi rozpoznać.

Dwóch ułanów dostrzeżonych pod wiatrakiem na przedzie, w strachu będącym, przedstawiło w owój kurzawie nadchodzące pułki: cała przeto dywizja w popłochu uchodziła, i nie oparła się aż w Chocimierzu o mil kilka (1).

Wiele z tego okresu powstało pieśni, które potworzyli sami wiarusy. Jest pieśń o zdobyciu i o obronie Sandomierza, w której się tak wślawił generał Sokolnicki, jest nawet obszernych rozmiarów poemat napół z polską, napół po słowacku z przekleństwami węgierskimi, którego treść stanowi opowiadanie przez huzara węgierskiego całej tej kampanji 1809 r.

Dużo tu jest humoru i dowcipu starych wiarusów i wiele szczegółów ciekawych. Poemat ten długo krążył po naszych straganach pod kościołami, dziś już należy do rzadkości bibliograficznych.

(1) W roku 1809 podporucznik Wilczek z trębaczem, zabrał w niewolę patrol austriackiej jazdy z 30 żołnierzy i oficera złożony. Mamy tę wiadomość od ś. p. pułkownika Augustyna Zawadzkiego, dowódcy 7go pułku ułanów, w którym służył pomieniony waleczny oficer. Za czasów Królestwa, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie.



„ Kto idzie! ”

w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482

BIBLIOTEKA



Institute
10952

Zebrane, krążące między tymi starcami dykteryjki żołnierskie, dodałyby nam wiele do ich charakterystyki zarysów, ale wiarusy nasze równie jak lud, nieskorzy są do rozmowy i udzielenia czy to podań, pieśni swoich, lub wspomnień z życia. Trzeba ich nieraz podsłuchać, zręcznie wywabić na słówko, zanim dobędziesz z nich żądanej wiadomości.

Przed kilku laty weterani nasi, a wszyscy to byli stare wiarusy, utrzymywali warty w ogrodach Saskim i Krasińskim w Warszawie. Śmierć tak przerzedziła ich szczupły zastęp, że obecnie już żadnego z nich nie ujrzysz. Rok, dwa jeszcze, i ślad po nich zniknie, a warci są naszego wspomnienia, i pamięci u potomnych.

Nebrang, krągac między tymi starcami dyktaryjki żołnierskie, dobaly-
 by nam wiele to ich charakterystyki wyrazów, ale wiaryswy nasze rdwanie jak
 lud, nieskorzy są do rozmowy i udzielenia cxy to podan, pieśni swoich, lub
 wspomnień z życia. Trzeba ich nieraz podbuchać, kręcznie wywabić na
 słówka, zanim dobiedziesz z nich żądanej wiadomości.

Przed kilku laty weterani nasi, a wstępy to byli stare wiary, utry-
 mywali warty w ogrodach Śankin i Krasniskim w Wyszawie. Śmierć tak
 przewiedziła ich skępnym zastęp, że obecnie już żadnego z nich nie ustrax.
 Rok, dwa jeszcze i ślad po nich niekiedy, a warty są naszym wspomnienis.
 i pamięć

O PIWIE I SZYNKACH PIWA

W WARSZAWIE.

Czy wiecie dlaczego Egipcjanie byli wielkim narodem?

Nie dlatego że posiadali jedną z najstarożytniejszych cywilizacji świata, bo cywilizację tę wzięli w spadku po Meroe, a i zresztą niektórzy myśliciele nowożytni starają nas się przekonać, że cywilizacja do niczego dobrego nie prowadzi, materjalizując tylko ludzkość; nie dlatego że wybudowali piramidy, bo piramidy nie były nowością, ani nie mogły dziwić w czasach, kiedy jeszcze szczątki wieży Babel istniały; nie dlatego że datowali historję swoję od kilkudziesięciu tysięcy lat, bo niejeden gatunek zwierząt uwijających się po kuli ziemskiej, daleko dawniej jeszcze dzieje swoje datować może, ale dlatego że wynaleźli piwo.

Kto zaś uwierzyć nie zechce mojemu twierdzeniu, niech się zapyta wszystkich piwowarów i szynkarzy, a pewno potwierdzą moje zdanie.

Piwo w Polsce zwane było szlachetnym trunkiem i zasługuje na to miano. Nie przepala ono wnętrzości jak wódka, nie idzie do głowy jak wino, ale rozgrzewa w zimie, chłodzi w lecie, dodaje sił ciału i strawności



w Lit A Pecq & Co w Warsz. 482

„Pij Synu Saskie piwo, a będziesz szczęśliwy!—

BIBLIOTEKA
Instytut
10952

żołądkowi. Żadne towarzystwo wstrzemięźliwości nie odważyło się jeszcze powstawać przeciw użyciu piwa, chociaż niema może napoju tyle ile ono powszechniego. Dostępne ono jest dla każdej kieszeni, dla każdego temperamentu, dla każdego stanu zdrowia. Nawet o tych którzy nadużywają tego trunku, mówi się zwykle, że się nie rozpijają, ale zalewają piwem, a wielka jest różnica w użyciu tych dwóch wyrażeń, bo kto się zaleje, może jeszcze z łatwością się osuszyć, a na pijaka trudno już podobno znaleźć lekarstwo. Dla nas mieszkańców umiarkowano północnej strefy, piwo daleko właściwszym jest napojem od wszelkich win, wódek i likworów, bo same nawet płody naszego kraju wskazują nam to. A zresztą nie na piwie rozpiła się i rozleniwiała szlachta nasza, bo owszem, piwo dodaje fantazji i ruchliwości, a dowodem tego że je Czarnecki bardzo lubił, a i Sobieski nie pogardzał niem. Nawet anglicy najsławniejsi piwosze w świecie, najdzielniejszym są też narodem na kuli ziemskiej, a włosi i turcy dlatego teraz tak ponędzili i znikczemnieli do niepoznania, że piwa nie mają. Jest nawet wielka suppozycja, że ów nektar, napój bogów, tak silnie przez greków sławiony, był tylko prostem piwem marcowem, porządnie obrobionem, ściągnionem w butelki i tego zakorkowanem przez Gammeda, który jak wiadomo był piwniczym Olimpu; zdają się nawet tego dowodzić wiersze znanego poety które przytaczam:

Mylne to, nawet całkiem fałszywe mniemanie,

Że Bachus lubił wino, kąpał się w szampanie;

Owszem, do naszych czasów wieść doszła prawdziwa,

Że on był zwolennikiem bawarskiego piwa.

Beczka na której jeździł wielkiego rozmiaru,

Pochodziła z sławnego Schielego browaru;

W ręku jego był kufel z cynową pokrywką,

Zpod której smakowite musowało piwko.

Bachantki co go śpiewnym weseliły trelem,

Delikatne swe ciała przystrajały chmielem,

A gdy na jego ustach był uśmiech przyjazny,

Mówiono że powraca z ulicy Żelaznej (1).

Polska niegdyś słynęła różnemi gatunkami piw, pomiędzy którymi w szczególności grodzickie taką miało reputację, że je wielkimi partjami do Niemiec sprowadzano, a jak wiadomo, Niemcy nie lada są znawcami na piwa. I ktoby się był spodziewał po takiej nędznej miłościnie jak Grodzisk, że ona w słabem swoim ciele tak ognisty mogła zachowywać animusz.

Warszawskie piwa później daleko zasłynęły, i to dopiero w ostatnich czasach. Pierwszem które już ustaloną uzyskało reputację, było:

PIWO SASKIE.

Samo miano tego piwa wskazuje, że wprowadzone zostało do nas za panowania Sasów; w całej jednak pełni chwały swojej zakwitnęło ono pod koniec ośmnastego wieku. Jeszcze nawet za czasów Księstwa Warszawskiego miało ono prym przed innemi, sam nawet znałem staruszka zapalonego niegdyś lubownika tego piwa, który bolał że go już przestano wyrabiać.

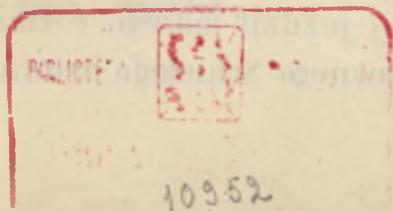
— Bo to nie wyimaginujesz sobie asindziej,—mówił mi— co to był za trunek. Nam cośmy go znali i piali, ani się spojrzeć nawet nie można na te istne lury, co to je teraz niby piwa sprzedają. To wszystko czerwone jak krew i gęste jak fusy, a tam sobie imaginuj asindziej złoty kolorek, że to nie przymierzając jak dukat obrączkowy, a na wierzchu lekka pianka, ale naturalna mosterdzieju, bez żadnych drożdżowych fermentacji. A smakowite to że choć cały dzień się oblizuj po jednym kufelku. A i kilka kufelków można było wypić, i jakby orzech zgryzł, ani znaku nawet że się piło. Bo to dodawało tylko fantazji i animuszu, a ani raz nie zaczmerzało w głowie. To nie tak jak te tegoczesne wymysły bawarskie, co to imaginuj sobie asindziej, wypijesz pół kufelka, to i głowa boli, i gorycz w ustach jak gdybyś

(1) Na Żelaznej ulicy w Warszawie przed niedawnym jeszcze czasem najwięcej było fabryk piwa i szynków.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 489.

„Beczka na której jeździł małego rozmiaru „
„Pochodziła z Sławnego Schielego browaru.”



z pół funta gorzycy polknął, i w żołądku tak pali, że rady sobie dać nie można. A tamto regulowało żołądek jak zegarek i dodawało siły i pomagało do snu. Ej, mój dobrodzieju, żeby się znalazł jaki mądry człek coby napowrót to piwo zaczął fabrykować, toby fortunę zrobił, fortunę powiadam aspanu.

A ja wierzyłem mu najzupełniej, bo to wiadomo że kiedy się kilkadziesiąt lat przeżyje na świecie, to i czasy cięższe, i ludzie gorsi i piwo nie tak jak dawniej smakuje.

To saskie piwo przypomina mi anegdotę o dziwnem wyrażeniu ostatniej woli, którą umierający ojciec synowi przekazał, opowiem więc ją czytelnikom, przez wzgląd że jest miejscowa i że wielką dozę sensu moralnego zawiera w sobie.

Przy schyłku ósmnastego wieku, w Warszawie na Starém-Mieście mieszkał szewc, a miano mu było Jan Kulas. Ów tedy szewc było majster wytrawny w swoim rzemiośle, nikt lepiej od niego nie potrafił dołatać nowego podszycia do cholew zdrowych jeszcze, nikt zgrabniej nie umiał wy-ciosać dogodnego kopyta dla ówczesnych ferachów Starego-Miasta, to téż Jan Kulas miewał bardzo wiele roboty, i dobrze kazał sobie za nią płacić. Kiedy nastąpiła moda wysokich butów ze sztylpami na spodnie się wdziwiających, nasz majster był jednym z pierwszych, którzy modę tę zaczęli upowszechniać w Warszawie, on umiał najlepszą i największą skórę do sztylpów wybierać, a skóra ta tak była wypolerowana, że sztylp od buta mógł właścicielowi w przypadku za lusterko służyć.

— Nie sztuka—mówił on—lada czem podłatać futro od buta i wyprawić go tak na świat; ja takiój fuszerki nie lubię. But to jest grunt ubrania, po bucie poznasz z kim masz do czynienia, wszakże i przysłowie to powiada: „Poznasz pana po cholewach.“ Niechaj but będzie wygodny a zgrabny, z dobrej skóry i zdrową szyty dratwą, to i w wyszarzanój kapocie człek się dobrze wyda, bo but to podstawa wszystkiego, bez buta człek wyglądałby jak pies, co to boso biega po ulicach.

Tak zwykł był mawiać Jan Kulas, i robił zawsze tak jak mówił, to téż obstalunki mnożyły się w jego warsztacie.

Zdawałoby się że przy takim odbycie roboty, stan majątkowy naszego majstra powinienby się w nader kwitnącem położeniu znajdować, rzeczy jednak miały się zupełnie inaczej. Jan Kulas nie robił żadnych oszczędności, przychody były duże, ale co przyszło to i poszło, majsterek nigdy ani grosza nie zachował przy duszy, bo przy tylu różnorodnych przymiotach, jednę miał wielką wadę. Był on zapamiętałym lubownikiem saskiego piwa.

W owych czasach w domu narożnym koło którego ulica Gołębia w rynek się zagina, istniał szynk saskiego piwa, utrzymywany przez Niemca, którego nazwisko we mgle przeszłości zagięło. A piwo sprzedawane w tym szynku, na całe Stare-Miasto wielki miało rozgłos. Jako zachęta dla gości, ponad drzwiami wchodowymi wisiał szyld ogromny, na którym jakiś Rafael z Przyryнку wymalował stojący korbelek, przy nim kufel, a piwo pienistą fontanną samo z korbelka do kufła spływało. Pod spodem był napis:

„Pij zdrow!“

Widno nasz Jan Kulas musiał być bardzo czułym na to tak gościnne zaproszenie, bo jak skoro w dzień powszedni zamknął swój sklepik z obuwem, udawał się natychmiast na róg ulicy Gołębię, i tam o ile możliwości starał się korzystać z rady na szyldzie umieszczonej. W dniu zaś świątecznym po wysłuchaniu Mszy rannej, której nigdy nie opuszczał, cały Boży dzień przesiedział w szynku, i wracał zwykle z ognistą fantazją ale próżnym workiem, bo cały jego zarobek tonął w skrzyni Niemca, w zamian za wesołe myśli i zapas dobrego humoru, którego saskie piwo przysparzało majstrowi.

Jan Kulas będąc wdowcem, miał syna wyrostka, jedynego dziedzica sławy i warsztatu, którego kształcił w swoim rzemiośle za pomocą dobrych rad i umiejętnego użycia pociągła. Trzymał on go bardzo ostro i żadnych mu nie dozwalał wybryków, mawiając:

— Na wszystko czas, teraz waść pracujesz i jesteś bitym boś w terminie, jak będziesz sam majstrem, będziesz uczył i bił innych, i będziesz mógł sobie wypoczywać.

Tak szły rzeczy dawnym porządkiem, aż pewnego dnia Jan Kulas zaniemógł na dobre. Nie pomogła podwojona doza ulubionego i doświadczo-

nego lekarstwa z korbelka, sprowadzono więc żyda cerulika, ale i jego leki jakoś nie dopisywały i widocznem było, że to koniec już się zbliża.

Miarkując co się święci, majster zawołał do siebie syna, kazał mu usiąść przy łóżku, i te do niego pamiętne wyrzekł słowa:

— Słuchaj waść: Przypatrzyłeś się mojemu życiu, z awszem był zdrow i wesół, pierwsza to moja słabość i zapewne ostatnia. Owóz przed śmiercią chcę waści jednę radę udzielić. Nie zostawiam ci żadnego dobytku, ale nauczyłeś się przy mnie rzemiosła, które ci za majątek starczy. Wszystko na świecie marność i głupstwo, oprócz tego co człowiek sobie pocziwie użyje; byleby to nie było z obrazą Pana Boga. Ot bierz waść przykład ze mnie, używałem sobie pocziwie, to téż całe życie szło mi jak z płatka. Było i dobre imię i zachowanie u ludzi i roboty huk. Nie chowałem pieniędzy, bo to psu na budę się nie zdało. Ale zamiast pieniędzy jako ostatnią moję wolę, przekazuję waści zdrową radę: Pij synu saskie piwo, a będziesz szczęśliwy.

I jakby w tych ostatnich wyrazach zebrana była cała nauka życia, którą Jan Kulas z długoletniego doświadczenia w niem wyczerpnął, głos zamarł mu w gardle, głowa spadła na poduszkę, zrobił jeszcze ręką znak pożegnalny synowi i zasnął na wieki.

Oprócz warsztatu, narzędzi do rzemiosła szewckiego potrzebnych, małego zapasu skór i wielkiego kopyt na różną skalę, nie pozostało się po nim nic a nic więcej. Syn objął to wszystko w posiadanie, nie umiem jednak objaśnić czytelników, czy korzystał z rady przez ojca udzielonej, i czy zajął opróżnione miejsce w szynku na rogu Gołębiej ulicy.

Gust tedy do piwa saskiego przetrwał, jak już to powiedziałem, całą nawet epokę Księstwa Warszawskiego. Po roku 1815 znikł bezpowrotnie, w tym bowiem czasie pomnożyła się znacznie w Warszawie liczba browarów, i zaczęły się wyrabiać inne gatunki piwa, pomiędzy którymi pierwsze niezapreczenie miejsce trzymało:

PIWO MARCOWE.

Epoka wyrabiania tego piwa była złotym wiekiem browarów warszawskich. Na horyzoncie fabrycznym jaśniało ich wówczas 60 przeszło,

a w każdym z nich otwierało się złote pole zarobku. Arkadja przeniosła się wówczas do izb piwnych i szynków, tam to jaśniało szczęście bez zma-
zy, tam rozkwitała pomyslna żadną niezamącona chmurką. I gdyby nie
losy zawistne, które odjąwszy browarom administratora i monopolistę Ne-
wachowicza, wprowadziły wolne współubieganie się a z nim razem nieład,
zawiść i szkoderstwo sobie wzajemne, żeby mówić nie to straszliwe fatum,
które ołowianą ręką nad fabrykantami piwa zaciążyło, ludzie zatraciliby
wspomnienie o rajach, a raczej miejsce téj dawnéj i niepewnej tradycji zastąpi-
łyby rzeczywistość sześćdziesięciu rajów ziemskich, konsystujących w War-
szawie, w których się sód i chmiel na piwo przerabiały.

Piwo marcowe nie posiadało wcale téj goryczy, tak obecnie w bawar-
skim poszukiwanej, a wyrabiane dzisiaj nadzwyczajne, chociaż zbliżające
się do niego w wielu przymiotach, niedokładne jeszcze może dać o niem
wyobrażenie. Było ono klarowniejsze, smaczniejsze, lepsze jednym słowem
od terażniejszych, a przy nader przystępnej cenie, bo zwykła taxa kwarty
tego piwa, wynosiła siedm groszy polskich, odbył jego rósł ogromnie.

Na każdéj prawie ulicy znajdowało się kilka albo kilkanaście szyn-
ków, przy pobocznych ulicach trzymali je żydzi, przy główniejszych chrze-
ścianie. Żydzi sprzedając zwykle o grosz taniéj butelkę, dobierali piwo
wodą, i dali początek owemu zwodnianiu piwa, które upowszechniając się
coraz bardziej, stało się w naszych czasach pierwszym powodem upadku
piwa krajowego, a skutkiem tego zmniejszenia liczby browarów i szynków.

Szynki te utrzymywane były i są dotychczas przez klasę ludzi nader
zręcznych i zabiegłych. Siłą żywotną każdego szynkarza są znajomości,
więc téż powinien ich mieć o ile możności najwięcej. Dobry szynkarz znać
powinien z imienia i nazwiska, stanu i powołania wszystkich swoich zwy-
czajnych gości, umieć na pamięć ich stosunki i gusta, dotrzymywać im to-
warzystwa, ożywiać rozmowę, częstowany nie skąpić w stawieniu na stół
ze swojej strony kilku butelek, a nadewszystko mieć dobrą głowę, bo przy-
muszony pić ze wszystkimi, musi wszystkim prawie placu dotrzymywać, co
nieraz jest nader trudną kampanją do odbycia.

Pomocnikiem szynkarza w takich razach bywał zwykle pisarz browar-

ny, reprezentant miejsca z którego piwo pochodzi, przy gościach szynkowych. Tacy ludzie których typ pierwotny ginie już powoli, wybierani za zwyczaj bywali pomiędzy najwytrawniejszymi pijakami warszawskimi. Pisarz browarny oprócz przynależnej mu pensji, miewał wyznaczone koszta podróży i picia po szynkach dla zachęty gości. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że po większej części byli to ludzie tak sumienni w tym względzie, że nie tylko owe koszta podróży, ale i płacę swoją co do grosza przepijali.

Ukazanie się takiego pisarza browarnego było hasłem wesołości dla gości szynkowych. Obsypywano go ze wszech stron dowcipami, na które on mniej więcej trafnie odpowiadał, zrzucano na niego odpowiedzialność za każdy feler w smaku piwa dostrzeżony, on musiał znać całą kronikę warszawską, wszystkie nowiny uliczne, zmyślić gdy nie było co do powiedzenia, przegrywać z konieczności wszystkie zakłady, i używać gratyfikacji w szynkach i drożdżach na Wielkanoc, w gęsiach na Sty Marcin, w struclach na Boże Narodzenie, naturalnie że wszystkie te wydatki jako większe, szły na rachunek pryncypała.

Szynki piwa marcowego miały (tak jak dotychczas istniejące) swoją hierarchię społeczeńską i podzielone były na klasy. Istniały szynki wyrobników nadwiślańskich, szynki wyłącznie dorożkarskie, zwyczajnie przy stacjach umieszczone, szynki obywatelskie, gdzie się zbierali sami prawie rzemieślnicy, nareszcie szynki z kawiarniami i garkuchniami połączone, gdzie już tużurkowi przemagali. Najsławniejszym z takich szynków był niedawno jeszcze istniejący zakład pana Grassowa przy ulicy Trębackiej, gdzie się znajdowała nawet oprócz wszystkich pism publicznych, biblioteka książek do czytania, z której każdy gość robiący wydatek na pewną ilość pieniędzy, wybierał jaką chciał książkę, i mógł za jednym zachodem posilać żołądek, gasić pragnienie i kształcić umysł. Wszak to zdaje się dość różnostronnych na raz korzyści.

Po innych jednak szynkach zwykłym, a najczęściej jedynym przedstawicielem literatury, bywał Kurjer Warszawski. I nie uwłacza to temu piśmu, owszem przemawia za jego popularnością i giętkością, z jaką się potrafi do pojęcia i potrzeb wszystkich klas ludności zastosować. To też na

sztyldach przy wyliczaniu wszelkiego rodzaju piwa i różnych trunków, dodawano zwykle i „Kurjer do czytania,” co trzeba przyznać niemałą było zachętą dla gości.

Oprócz Kurjera, nadetatowe zabawy używane w szynkach są: w znakomitszych zakładach bilard, czasem, ale to bardzo rzadko, domino, warcaby i karty.

Przed niedawnymi czasy, istniało jeszcze w Warszawie kilka szynków, potajemnie przez całą noc otwartych. Pomiedzy innemi znany był jeden naprzeciw króla Zygmunta, w którym bez przestanku odbywała się szuleria. Główne wejście do szynku od ulicy w nocy było zamknięte i zatarasowane tak, żeby ani odrobiny światła dojrzyć nie było można; wchodziło się przez sień ciemną i brudną, w ścianie której wybite drzwi prowadziły do pierwszej izby. Tam była urządzona garkuchnia. Za lada opłatą mógłś tam dostać wszelkiego rodzaju jedzeń, naturalnie zastosowanych do miejsca i ceny. Nie świeże wołowe mięso na różne przyprawione sposoby, pod rozmaitemi występowało tu postaciami i nazwami. Ta pierwsza izba zawsze zapełniona gośćmi, była tylko przysionkiem do tajemniczego przybytku, którego wejście nie dla każdego stało otworem. W drugiej izbie na zabrukany stół otoczonym przez rozmaitego rodzaju i stanu graczy, całemi nocami odprawiały się turnieje djabełka lub sztosy.

Można się tu było spotkać z ludźmi nawet przyzwoitego położenia towarzyskiego, oraz z najostatniejszą klasą oszustów ulicznych, bo tam w obliczu bankiera a raczej pieniędzy bankierskich, wszystko równało się.

Chwalebne rozporządzenie rządu zabraniało u nas szulerni publicznych, ale te pokątne gorsze były od publicznych nawet. W szynku o którym mówimy, strażnicy płatni przez gospodarza wartowali przy wejściu od ulicy, i skoro widzieli zbliżający się patrol albo kogo z policji, dawali znak umówiony, i w téjże saméj chwili wszystko ucichało, karty i pieniądze chowały się do kieszeni, a grający z najspokojniejszą miną siadali przy ławkach około swoich kuflów i butelek, zostawując gospodarzowi całą odpowiedzialność tłumaczenia się, dlaczego szynk tak długo otwarty. I długo tak działo się, aż nareszcie policja potrafiła zręcznie upatrzeć chwilę, i złapawszy szulerów

na gorącym uczynku, zamknęła szynk na zawsze, postępując z obwinionymi z całą mocą surowości prawa.

Jakkolwiek w wielu bardzo szynkach działy się tego rodzaju nadużycia, zaprowadzone jednak na mniejszą skalę, były one tylko złemi wyjątkami, które się wszędzie zdarzyć mogą. Szynki na przedmieściach zwłaszcza podczas karnawału, urządzano do tańców, które przy odgłosie katarynki, a czasem nawet jakiej orkiestry przedmieściowej, odbywały się regularnie co święta i niedziele. Niektóre nawet z tych szynków ciągle rozszerzając swój zakres, przybrały miana sal srebrnych, złotych, przyjacielskich, kawalerskich i t. d., pod którymi dziś są znane. Tylko dziś każda z takich sal ma już arystokratyczniejsze pozory, bo i tam cywilizacja już zaszła; niemiecki zwyczaj który wraz z piwem bawarskiem zawitał do nich, uporządkował je, oczyścił ściany, zmiotł podłogę, a tradycyjne katarynki odegnał do szynków, na niższej jeszcze stopie utrzymywanych, które już także ze swojej strony pną się o ile mogą do współzawodnictwa.

Gdzie to ten postęp nie zajdzie.

Sądzę jednak że należałoby chociażby dla przechowania tradycji, opisać jedną z tych *Sal balowych*, tak jak one dawniej wyglądały, tracą one bowiem coraz bardziej, jak to przed chwilą wspomniałem, dawną swoją fizjonomję.

Posłuży mi do tego opowiadanie jednego z moich znajomych, który ciekawością zdjęty, zapragnął był kiedyś odwiedzić jeden z tych przybytków Bacha i Terpsychory, i o mało téj ciekawości, jak to później zobaczymy, drogo nie przypłacił.

„Byłem—mówił mi on—raz w karnawał zaproszony na pewien wieczór tańczący. Towarzystwo było dla mnie całkiem obce; nikogo prawie nie znałem, a wiesz że dość nieśmiały z natury, nie mam tego talentu, który posiadają niektórzy, natychmiastowego przyswojenia się do najbardziej nieznanego towarzystwa. Nudziłem się więc setnie, a ponieważ to rzecz doświadczona, że w takim położeniu człowiek zwykle filozofuje, i mnie téż różne filozoficzne myśli przychodziły do głowy.

A myśli te mniej więcej były takie:

Co to jest—pytałem się sam siebie—zabawa? Jedni się kręcą w kółko, drudzy gniewają się na siebie za straconą lewę, albo źle zadaną kartę, inni znów piją przy osobnym stoliku, z niecierpliwością wyczekując na kolację, a inni nareszcie patrzą na tańczących, pijących i grających w karty, i to ich bawi. Ale nie bawiłoby zapewne, gdyby każde z tych indywiduów nie miało jakiegoś interesu ukrytego pod tą ruchomą rozrywką. Każdy ma tu interes. I tak ów taniec, to tylko sukurs i ułatwienie miłości, co pod różnemi postaciami wkrada się do serc obojęd płci, prześwitując w najniewinniejszym nawet napozór zajęciu. Ktoby się nie kochał, albo utracił nawet nadzieję podobania się, tegoby już taniec nie zajmował wcale, bo taniec nie jest zabawą, ale środkiem do zabawy. Grającym w karty idzie wprost o pieniądze, i ci się nie tają z tém, bo téż o nic pewnoby nie grali. O tych co przychodzą dla picia i jedzenia, niema już nawet co mówić. A widzowie kanapkowski i stojący, zabawiający się patrzaniem lub rozmawianiem, przyszli tu dla obmowy lub szermierstwa językowego, albo nareszcie dla dogodzenia drobnym namiętnostkom lub słabostkom ludzkim, które także są zajęciem, a więc poniekąd i zabawą. Ja jeden tylko się nie bawię, bo nie mam żadnego tu interesu. Nie kocham się, nie pragnę podobać się żadnej z dam tu obecnych, grać w karty nie lubię, tém mniej jeść i pić, a ponieważ nie znam tu nikogo, ani obmowa, ani rozpatrywanie się po towarzystwie, zająć mnie nie może. Więc się nudzę i przyznaję to najzupełniej. A ich tutejsza zabawa nie rozweseli mnie, bo jak powiedziałem, nie jest ona prawdziwą zabawą. A chciałbym jednak widzieć bawiących się szczerze, całym sercem, bez żadnych ukrytych myśli. Toby mnie może rozerwało, poszedłbym do łóżka w wesołym humorze i spałbym lepiej. Ale gdzież takich szukać.

A trzeba ci wiedzieć — mówił dalej mój przyjaciel, — że przed kilku dniami czytałem był jedną z tych powieści, które podówczas najwięcej miały wzięcia, a które wychwalają szczerłość i prostotę ludu, i jego zajęcia i jego uciechy i jego niewymuszoną wesołość, co wprost z serca płynie i każde uczciwe serce radością zapełniać musi. I autor tak się był rozegzaltował w swoim przedmiocie, że oddał ludowi najzupełniejszą wyższość nad wszystkimi innemi klassami, nazywając cywilizację barbarzyństwem, światowość

maską fałszu na twarz kładziona, a zajęcia nasze zwyczajne, uczucia i wrażenia jakim podlegamy, babilońskim zepsuciem i sodomskimi pochopami, które prędzej czy później Pan Bóg deszczem ognistym skarcić musi. O mało co brakowało, żeby nie namawiał ludzi do wrócenia do stanu natury, który jakby się z dążności zawartej w tej książce zdawać mogło, był najwyższym wyrażeniem i szczytem zadania ludzkości.

Byłem młody, trochę egzaltowany, więc zdania zawarte w tej książce, wielkie we mnie podówczas budziły wrażenie. Przyszła mi ona na myśl.

Lud, pomyślałem sobie... ot tego co tu nie znajduję, szukać mi trzeba u ludu: tam szczerść, tam prawdziwa wesołość, tam się interes nie kryje pod maską natury, jak wąż pod trawą. Ale gdzież szukać ludu? W tej powieści, autor mówi o ludzie wiejskim, a ja jestem w mieście. Lecz czyż miasto nie ma swojego ludu? Czyż i w mieście nie znajdują się owi prostaczkowie, szczerzy sercem a braterscy usposobieniem, owi młodszy bracia nasi, których my się wyrzekamy w naszej cywilizowanej zarozumiałości, a z których właśnie wzór ciągnąć powinniśmy. Wszak to właśnie niedziela, a niedziela to dzień zabawy ludu po krwawej pracy całotygodniowej.

Spojrzałem na zegarek, wskazywał godzinę dziesiątą.

W sam czas, rzekłem sam do siebie, jedźmy na zabawę ludową, tam piersi wolniej odetchną, duch nabierze hartu, serce silniej pod przyjaznem zakolała wrażeniem, a nabawiwszy się tam do syta, gdy przyjadę do domu, sen miły i spokojny zamknie mi powieki.

Ten ostatni zwłaszcza argument był mi jakoś najbardziej na rękę, bo trzeba ci wiedzieć, że od kilku dni byłem trapiiony bezsennością, co zresztą nie powinno dziwić ze względu na porę karnawałową, w której się to działo.

Wymknąłem się więc nieznacznie z salonu, ubrałem się szybko w przedpokoju i zeszedłem na dół.

Na dole stała dorożka.

— Wieź mnie na jaką zabawę ludową,—rzekłem do dorożkarza wsiadając.

Dorożkarz odwrócił się, spojrzał na mnie i kiwnął domyślnie głową.

— Rozumiem proszę pana — rzekł, — tutaj właśnie niedaleko jest bardzo ładny balik przyjacielski, gdzie już dwóch panów odwiozłem, a muzyka rżnie, że ją aż na czwartej ulicy słychać.

— Głupiś — zawołałem, — ja nie na żaden balik przyjacielski chcę jechać, tylko w takie miejsce gdzie się wy bawicie, wy wszyscy, rozumiesz?

— A to proszę pana chybać do szynku?

Zastanowiłem się chwilę.

— Nie, do szynku jechać nie chcę, — rzekłem mojemu automedonowi, — tam musi być strasznie ciasno i duszno, ale przecie wy macie podobno jakieś sale, gdzie się zbieracie co niedziela do tańca.

— O! to już wiem co pan chce, — zawołał dorożkarz, — pojedziemy do Złotej sali, tam pan dopiero użyje, jakie tam dziewczęta! co za kapela! a jakie piwo!

I na wspomnienie ulubionego napoju cmoknął głośno językiem.

Uśmiechnęła mi się ta myśl.

— Wieź mnie do Złotej sali — odrzekłem.

Dorożkarz zaciął konie z fantazją i poleciliśmy jak strzała.

Zajechaliśmy.

Z powodu nader ciemnej nocy nie mogłem się dobrze przypatrzeć zewnętrznej powierzchowności tego przybytku wesołości, widziałem tylko przed sobą jakiś budynek, ze sterczącą zamiast sieni przystawką, z której buchało światło, grzmiał rażny odgłos muzyki, i dolatywały gwarne okrzyki rozochoconego tłumu.

— Czy mam czekać? — zapytał dorożkarz widząc mnie wysiadającego.

— Czekaj, — odpowiedziałem.

— A to dobrze — odrzekł, — przynajmniej człeku wydarzy się sposobność choć raz wykręcić oberka, i wychylić buteleczkę za zdrowie pańskie, bo to już pewno ani chybi, zarobię parę rubelków, ja to wiem z kim jadę... nu! maleńki.

I trzasnął biczem, odjeżdżając gdzieś w podwórze w znajome sobie miejsce.

Wszedłem.

Antre kosztowało złotówkę. Za tak wielką zabawę mała bardzo zapłata— pomyślałem, — ale nie wszyscy się bawią, którzy płacą wiele. Przy wejściu do sali odurzył mnie nagle jakiś dziwny zaduch i hałas, pochodzący z tak licznie zebranego tłumu. Z początku nic prawie rozróżnić nie mogłem, bo chociaż sala niezłe nawet była oświetloną, unosiła się w powietrzu jakby mgła jakaś pochodząca z wyziewów tańca, dymu, fajek i niezbyt wytwornego oleju palącego się w lampach.

Stanąłem więc chwilę rozpatrując się po zgromadzeniu.

Było ono dziwnie różnobarwne, bo mogłeś tam znaleźć wszystkiego po trosze.

Więc pomiędzy zebranymi gośćmi, począwszy od fraka aż do prostych sukmany, każdy ubiór był tam reprezentowany. A niektórzy obywali się nawet bez tej zwierzchniej sukni, która nam nasiąknionym przesądami towarzyskimi, wydaje się tak konieczną, rozgrzani bowiem tańcem i częstymi libacjami, poporzucali ową zbyteczną część swojego ubioru gdzie w kącie albo pod ławą, i tém raźniej hulali sobie zakasawszy rękawy od koszuli i zdjąwszy nawet chustki z szyi dla większej swobody. A nie zważano tam również na ów wystawiony *kontenans*, o który tak dbają w naszych salonach. Wielu bardzo miało w ustach krótkie fajeczki, z których kurzyli bezprześcannie bakun i dreikenig, dwie plagi zesłane na nosy ludzkie, jako kara za nadużycia zmysłu powonienia; inni znów trzymając w ręku butelki piwa i szklanki, częstowali bezustannie siebie i znajomych, rozpychając niemiłosiernie tańczących, inni nareszcie uzbrojeni sążnistymi putersznitami, kiełbaszkami, blutwursztami i tym podobnymi wymysłami rzeźnickiego kunsztu, albo nawet całemi kawałami gorącego mięsa, spożywali je w ciągłym ruchu i szli do tańca z pełnemi jeszcze ustami, nie dbając o serwety, bo suknie tancerek zastępowały im należycie ten sprzęt nadetatowy. Arystokracja siedziała na ławie przy murze, zapijając herbatę hojnie dolaną arakiem, niektórzy zaś uwijali koło bufetu, umieszczonego w przyległej izbie, częstując płec piękną, która do żadnych ceremonjalnych fochów nieprzyzwyczajona, przyjmowała chętnie co Bóg dał, a na co starczyła kieszeń chwilowego adol-

ratora, rywalizując w apetycie z mężczyznami i nie ustępując im wcale w użyciu piwa i wódki.

Owa płeć piękna trochę strojniej i schludniej przybrana była od męskiej połowy ludzkości, chociaż i tu dziwnym rzeczom można się było przypatrzeć. Więc jedne były z gołemi głowami, inne w czepcach, niektóre nawet w kapeluszach. A co szczególniejsza, na panującą porę roku, bo jak powiedziałem działo się to w zimie, najwięcej z tych kapeluszków było słomkowych. Niektóre greckim obyczajem obywateli się bez pończoch, i zauważałem nawet że te najochotniej wywijały, co dowodzi że pończochy niepotrzebnym są tylko ciężarem, bez praktycznego użytku. A jakie to tam były chustki i zarzutki, to i pani Zofja Gay tak biegła w opisywaniu przedmiotów toaletowych, nie potrafiłaby wyliczyć. Suknie po większej części nie grzeszyły długością ani świeżością barwy, wygorsowanych zaś prawie nie było, co dowodzi w jakim tam poszanowaniu była prawdziwa przyzwoitość ubrania, na jaką my w naszych balowych zebraniach tak mało uważamy. Były i takie które miały na ręku rękawiczki, a w tych nawet po dwa albo trzy palce znajdowały się całe, ale były to widocznie damy z wyższego już tonu, ogół bowiem tańczył z bosemi rękami, co i wygodniej i dogodniej, bo w tak ożywionym tańcu jaki tam miał miejsce, trzeba się diabielnie krzepko trzymać, a rękawiczka zawsze ślizga i łatwo zsunąć się może.

Sala sama była dość wielka, kształtu podługowatego, największy tłum pośrodku gdzie się odbywały tańce, koło murów zaś można było przejść prawie swobodnie. Po prawej stronie od wejścia była urządzona wystawa nakształt galerji, gdzie się wchodziło po wschodach z samejże sali. Tam się usadowiła muzyka, ale znajdowali się tam także i liczni goście, przypatrujący się z góry tańczącym. Część tych widzów siedziała, część zaś stała na ustawionych rzędem stołkach, dla uzyskania rozleglejszego widoku.

Chociaż jak wspomniałem, muzyka umieszczona była na wystawie, to główny jej dyrektor żyd brodaty w tradycyjnym ubiorze swojej kasty, nie odznaczającym się zbytnim porządkiem, stał w środku sali, w największym tłumie, mając przy sobie w charakterze adjutantów dwóch niepełnoletnich bachorów, z których każdy trzymał w ręku koniec grubego a dłu-

giego szpagatu. Każdy taniec trwał około pięciu minut, po których następowała przerwa. Wówczas bachory z niesłychaną sprawnością opasywały szpagatem koło tańczących, a pan dyrektor orkiestry okręzał koło z jarmułką w ręku, w którą z hojnej dłoni tancerzy sypały się piąteczki, co było z góry już oznaczoną opłatą za każdy skonsumowany taniec. Kto nie chciał dalej tańczyć, wychodził z koła, a w zamian wchodzili nowi pretendenci, trzymając pod rękę damy, które nie płaciły. Chociaż zdarzało się także, że jaka partja dam żądnych piasów, którym los, brak urody albo znajomości, odmówiły tyle potrzebnego w takich razach męzkiego sukursu, wchodziła bez ceremonji w koło zakreślone sznurkiem, i tam po złożeniu dobrowolną składką żądanej pięciogroszowej summy, ujmowała się pod boki i wywijiała w najlepsze w kole, nie uważając na razy ciężkich podkówek tancerzy, zapominających często uszanowania płci pięknej winnego.

Po uiszczeniu zapłaty trzeba się było zgodzić na taniec, jaki muzyka miała zagrać, i wówczas to największy zwykle powstawał hałas. Bo jeden chciał tego, drugi owego, a rzadko kiedy odrazu następowała ogólna zgoda. Krzyczano więc polka, walc, oberek, a czasem mazur i *kotrydans*, chociaż myliłby się ten, któryby myślał że te dwa ostatnie tańce odbywały się tam w porządku zwykle po salonach używanym. Tak mazur jak i kontredans tańczył się tam wkoło, naksztalt walca lub oberka, z różnemi tylko wykrzywieniami i pociesznemi grymasami. Miało to niby zastępować figury. A ponieważ te figury robiły zwykle jakieś zamieszanie, jedni stawali, drudzy rozmachiwali się jeszcze silniej, więc zawsze prawie zanim muzyka skończyła grać owego mazura lub kontredansa, połowa par leżała na ziemi, gramoląc się jedne zpod drugich, klnąc i nakrzykując wzajemnie.

Więc jak powiedziałem, przed każdym rozpoczęciem tańca wielki był tartas i rwetes, często nawet przychodziło do bójki. Wówczas starozakonny dyrektor orkiestry, występował jako rozjemca, raz dla miłości drogiego pokoju, powtóre dla uniknienia straty drogiego czasu. Ale że to gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i jemu zdarzyło się czasem coś oberwać. Były to jednak rzadkie wyjątki, wzbudzał on bowiem w ogóle wielkie poszanowanie jako poborca tamecznych podatków i prawowita władza, bo orkiestra za-

dzierżawiona przez niego, jego tylko skinieniu była posłuszną. Miejsce pałeczki dyrektorskiej zastępowała owa jarmułka, którą gdy kładł na głowę, po wydobyciu z niej złożonej przez tancerzy opłaty, orkiestra zaczynała rzeźpolić żądanego tańca. Skoro zaś zdejmował z głowy jarmułkę, muzyka ustawała nagle, chociażby w samym środku taktu i rozpoczynała znany smutny marsz, podczas którego odzywały się wrzaskliwe krzyki tancerzy i piski kobiet, obrzucające żyda wymysłami, że zawcześnie dał znak przestanku. On jednak nie zważając na to wszystko, z zimną krwią godną bohaterów starożytności, dawał znak bachorom, którzy w jednej chwili rozkładali szpagat, i wszystko musiało wracać do należytego porządku i pięciogroszówki sypały się z kieszeni. Tancerze bowiem znając niczem niewzruszoną stałość potomka Machabeuszów, wiedzieli dobrze że dalsze wymysły na nic się nie przydadzą, a tylko przyczynią się do straty drogiego czasu, który należy koniecznie na nowy zużytkować taniec.

Dobre pół godziny minęło, zanim rozpatrzyłem się w tym mojem otoczeniu, a muszę przyznać że cała ta nowość widoku nie była dla mnie bez zajęcia. Stałem tuż przy kole tańczących, w miejscu gdzie ścisk był największy, nie dbając na szturchających i na popychających mnie, a popychając wzajemnie bez różnicy czy to mężczyzny czy damy, bo tam w obu pięści i łokci panowała najzupełniejsza równość, a płeć piękna umiała sobie doskonale dawać radę w torowaniu drogi przez tłum.

Wtém, pośrodku najzawziętszego oberka, jakaś dziwna fluktuacja dała się uczuć pomiędzy otaczającemi mnie. Widocznie byliśmy napierani z tyłu i popchnięci silnie na tańczących. Ale przez kogo?

Obejrzałem się.

O kilka kroków za mną torował sobie drogę przez ścisk jakiś chłop ogromny rozpychając na prawo i na lewo wszystkich, których przed sobą napotykał. A widocznie był to jakiś znakomitęj powagi człek, ogólnem uważaniem się cieszący, bo tłumy rozstępowały się przed nim z poszanowaniem, i bez szemrania, chociaż nie jednego odwróconego tyłem, który nie widział go nadchodzącego, porządnie przywitał pięścią. Atletycznej urody, pleczysty i barczysty, prznosił głową wszystkich gromadzących się około niego,

a mina jego tak była czupurna i nasrożona, jak gdyby ją okrywała nie stara furazerka z nawpół oddartym daszkiem, dobrze nachylona na prawe ucho, ale kask jaki rycerski z koroną najmniej książęcą. Cała twarz jego była czerwona jak burak, zpod ścięśnionych i gęsto nastroszonych brwi, łyśkały oczy złowieszczym jakimś blaskiem, na który niejedna już zapewne butelka piwa i kielich wódki musiały się złożyć. Stary jakiś nieopisanej barwy surdut, zdjął był ze siebie i przewiesił na lewem ramieniu, rękawy od koszuli zakasał po łokcie, a ogromne juchtowe buty tego podkute, za każdym jego krokiem ciężko stukały na posadzce. Chustki na szyję nie miał wcale, a koszula rozdwarzająca się na piersiach, herkulesowskie odkrywała kształty. Zpod krótkiej kamizelki sukienniej na jeden mosiężny zapiętej guzik, też sama koszula wydobywała się w fałdy i festony, jak u dworaków francuzkich z czasów Henryka III, i nawpół przykrywała gruby rzemień, który na potężną spięty sprzączkę, ścisnął wpół całą tę olbrzymią budowę. U prawej jego ręki szła uwieszona jakaś jejmościanka, z talją odkrytą, widocznie dumna i radosna z tego, że ją sobie obrał za towarzyszkę. Była ona ubrana w niby białą suknię, o kilku falbanach, pomiętoszoną nielito ściwie, ochlapniętą z tyłu i po bokach, a przewiazaną jakąś różową wypłowiałą wstążką, która z prawej i z lewej strony zwijała się trochę w kształt szpagatu. Ogromna sprzączka bronzowa, pomnik minionej już wówczas mody, ozdabiała z przodu tę wstążkę, a w uszach wisiały niemniej wielkich rozmiarów tombakowe kulczyki, nasadzone szklannemi klejnotami, których zapewne ojczyznę musiał być sklepik pociejowskiego jubilera. Włosy świecące zdaleka od sporój dozy tłuszczu, podwinięte były w jeden ogromny pukiel naokoło głowy, podług najświeższej mody, ogólnie wówczas panującej, w pewnych klubach pięknej płci warszawskiej. W prawej ręce trzymała parasolik ze złamaną rączką, w lewej zaś, którą przełożyła pod ramię swojego partnera, sterczała reszotka anyżowego piernika, którą z najzimniejszą krwią dogryzała sobie w drodze.

Zapatrzywszy się na tę oryginalną parę, zapomniałem się prędko z drogi ustąpić, i ostrzegło mnie o tem zapomnieniu silne uderzenie pięścią i głos,

którego grubego brzmienia mógł śmiało pozazdrościć Lablasz, nawet w czasach największej swojej świetności.

— Z drogi, bo ja idę!

Na tak niezbity argument, ustąpiłem się szybko, i dozwoliłem szanownej parze zbliżyć się do tancerzy, w najlepsze wówczas wywijających. Ów olbrzym stanął przed samem kołem, i tak uderzył silnie po ramieniu pana dyrektora orkiestry, który zapatrzywszy się przed siebie, rachując powoli takty, nie wiedział co się z tyłu za nim działo, że ugiął się pod tym niespodzianym ciosem, i odskoczył jak oparzony, usłyszawszy nad uchem stentorowym głosem wymówiony wyraz:

— Stój!

I o dziwo! jak tylko pan dyrektor orkiestry ujrzał nowego gościa, odwrócił się skwapliwie. zgiął się w pół dotknawszy nawet ręką jarmułki, i zawołał tonem który cheiał o ile możliwości najprzyjaźniejszym uczynić.

— Kikste! pan Kasper, ja miszłał że pan dzisiaj tańcowuje pod trzech murzynów.

— Widzisz że tu przyszedłem,—odpowiedział pan Kasper,— a ponieważ przyszedłem każ łapserdaku zaraz grać mazura, tylko od ucha. A tu masz dla siebie.

I to mówiąc, wyjął z kieszeni sporą garstkę miedziaków, i ispnął w nadstawioną rękę żydowi.

I w jednej chwili sygnał jarmułkowy zmienił dotychczasowego oberka w owego znanego już dobrze z licznych przestanków żałośliwego marsza, i żyd krzyknął z całej siły aż podskoczywszy do góry, żeby lepiej dać się usłyszyć:

— Hersz! mach mimo oberkie, jezť mazurkies miť pobrzdąkiwanego und dzwonkełe.

I rzeczywiście w jednej chwili ozwał się naprzód chrapliwie niedostrojony klarynet, potem skrzypce, za nimi tołumbas, spóźniając trochę akompanjamentu, i w duch zagrzmiała cała orkiestra, jakiegoś znów oberka, tylko innego rodzaju niż poprzedni, a odznaczającego się tém, że do zwykłego kontyngensu instrumentów przybyło jeszcze tamburyno z dzwonekami, dziwny



w Lit A Pecq & C^o w Warsz 482

Z drogi! — bo ja idę.

BIBLIOTECA



Instituto

10952

i niewłaściwy stanowiące efekt w tej narodowej nucie, niemającej nic wspólnego z cygańskimi melodjami.

Obeszło się nawet tym razem bez zwykłej operacji szpagatowej, zwłaszcza że taniec był w połowie przerwany, i też same pary które już były za oberka zapłaciły, rozpoczęły mazura, to jest jak już mówiłem, takiegoż samego oberka z zatrzymywaniem się i podskakiwaniem, a przewodniczył wszystkim pan Kasper z czapką na głowie i surdudem na lewym ramieniu, podtrzymując silnie swoją damę, która dawszy przyjaciółce parasolik do trzymania, uczepiła się tancerza obiema rękami, i resztą piernika zapchała sobie usta, tak iż zdawało mi się iż z każdą chwilą powinno jęj tchu zabraknąć.

Wówczas odwróciłem się do sąsiada, którym był młodzieniaszek popularny, jakiś chudzina niskiego wzrostu i bezwyrazowej twarzy, na której się głupota malowała. Wytarta jego, podziurawiona i zabelona w wielu miejscach kapotka, wskazywała że to musiał być jakiś czeladnik czy chłopak zduński. Wspinał się on na palcach przypatrując się pożądliwie i z zawiścią tańczącym, lewą rękę bez ceremonji oparł na mojem ramieniu, dla łatwiejszego wywindowania się w górę, a palcami prawej czmerał w kieszeni od kamizelki, wyszukując zapewne czy przypadkiem nie zabłąkał się tam jaki nadetatowy piątek. Ale daremna to była praca, bo ostatnia złotówka stanowiąca całą fortunę biednego terminatora, wyszła była na antre, a piątek w jego kieszeni trudniejszym był do wynalezienia, aniżeli okręty kommodora Franklina na morzu lodowatym, o których wyszukaniu, jak wiadomo, nie stracono jeszcze dotychczas nadziei.

— Kto jest ten pan Kasper,— zapytałem go,—co tak tu przewodzi wszystkim?

— Jak to, pan nie znasz Kaspra?—wykrzyknął terminator, spoglądając na mnie gałkowatemi oczyma, które niepomiarkowane zadziwienie wyrażały.—Jakto pan nie znasz Kaspra?—powtórzył,—a kogóż pan znasz? Wszak że to najpierwszy tutejszy tancerz, łobuz jakich mało, ale zuch co się zowie, nie radziłbym panu z nim zaczynać.

— Ja też nie mam do tego najmniejszej ochoty,—odpowiedziałem,—

ale powiedz mi kolego, czem on się zwykle zajmuje, kiedy nie tańczy i nie bije się.

— On jest proszę pana czeladnikiem od rzeźnika z Solca, ale to nie czeladnik, tylko majster do zabijania obuchem wołów. Trzeba panu widzieć jak on raz palnie, to wół chlap i już niema go, i z panem takby zrobił, gdyby chciał tylko. O bo on nie dba na nic i choć już nieraz siedział w kozie, to i budniki się go boją, a nawet sam pan dozorca bardzo z nim jest ostrożnie. A jeszcze jak pałkę zaleje, to ani przystąpi do niego. A dzisiaj właśnie zdaje mi się że jest pijany, to dopiero będzie co widzieć, a niech tylko pan z nim będzie ostrożnie, bo on odrazu w łeb.

Tymczasem kiedy mój przyjaciel terminator opiewał mi waleczne czyny pana Kaspra, mazur tylko co był się skończył, i pan Kasper wyprowadzając z koła swoją tancerkę, która widać po anyżkowym pierniku chciała koniecznie czem się ochłodzić, potracił się drugi raz o mnie, i tak się na mnie spojrział, że mi aż w sercu coś zadygotało.

— Żle—pomyślałem sobie,—widocznie nie podobałem mu się, niech jeszcze trzeci raz znajdzie mnie na swojej drodze, to gotów mnie wziąć za wołu, i jak powiada mój przyjaciel terminator, palnie w łeb bez namysłu. Trzeba się z tych okolic wynieść pókim cały, bo tu zabiera się na burzę.

I obejrzałem się wkoło siebie.

W tym szybkim przeglądzie wpadła mi w oczy owa galerja, na której, jak już powiedziałem, oprócz muzyki zajmującej z przodu cały środek, siedziało i stało kilkanaście osób.

Uśmiechnęło mi się to wygodne i bezpieczne miejsce, z którego jak mi się zdawało i widok był rozleglejszy.

Niewiele więc myśląc, począłem ostrożnie rejteradę, i dotarłszy do schodów wstąpiłem na nie, i ujrzałem się wreszcie na tyle pożądaną galerji.

Ale tu duszniej jeszcze było niż w sali, a chociaż zdawało mi się z początku że tam są próżne miejsca, przekonałem się że trzeba mi się dobrze nachylać, żeby przez siedzących i stojących przedemną, cośkolwiek dostrzedz, a przytém muzyka nielitościwie ogłuszała mię swoim fałszywym klekotem.

Na szczęście moje jakaś dama odsuwała właśnie krzesło, widać zmęczona siedzeniem, chciała się udać na dół, i zamienić rolę spektatorki na aktorki. Zająłem bez ceremonji opróżnione miejsce, i wsunąłem się powolutku i delikatnie do pierwszego rzędu, co mi pozwoliło objąć odrazu całą widok daleko lepiej aniżeli gdym się mu z dołu przypatrywał.

Za sąsiadów miałem z prawej strony jakąś otyłą jejmość z fizjonomją bardzo zakrawającą na stereotypowe rysy przekupek warszawskich, nie mogłem się jednak dobrze jęj przypatrzeć, była bowiem odemnie przez pół odwróconą, i oparłszy ręce na przegrodzeniu, a brodę na rękach, przypatrywała się z zajęciem całej zabawie, poprawiając tylko czasami w górę ogromny czepiec, który jęj się zesuwał na czoło. A widać nie musiała być bardzo przyjaznego usposobienia, bo za najmniejszym mojem poruszeniem, otrząsała się ciągle, potrącając mnie plecami i mrucząc coś pod nosem, raz nawet tak dobitnie uderzyła mnie łokciem w bok, że nie chcąc się na drugiego szturchać narażać, odsunąłem się o ile możności w stronę sąsiada z lewej strony, który daleko mniej zajmował miejsca.

Był to o ile mogłem sądzić z rąk jego spalonych i poczernionych tak, że trudno się na nich było naturalnego koloru skóry dopatrzeć, jakiś majster kowalski czy ślusarski. Na głowie miał czapkę dobrze watowaną, a lepiej jeszcze z szmelcowaną potrójną warstwą dymu, kurzu i tłustości, w ustach trzymał krótką fajeczkę z porcelany, wyobrażającą Napoleona Igo w historycznym kapeluszu z założonemi rękami, i przez pół pochylony przyglądał się tańczącym, puszczając bokiem ust małe kółka dymu, które popchnięte silnem jego tchnieniem, wzbijały się aż pod sam sufit. Twarz jego ospowata i również poczerniona dymem, na której od kilku pewno tygodni nie powstała brzytwa, odznaczała się jednak jakimś wyrazem uczciwój szczeroci i dobrego humoru. Za każdym nowo rozpoczętym marszem, znamionującym przestanki tańców, wyjmował fajkę z ust i bił ręką o balustradę, jak gdyby takt nadawał muzyce. A jeżeli ta ostatnia zagrała skoczniejszego jakiego tańca, poprawiał czapkę na głowie, i podrygiwał na krześle, niby żałując że nie może razem z drugimi wyskoczyć. Widno jednak wiek i wysoka powaga majsterska, nie dozwalały mu tego.

— Wesoło się bawią—rzekłem do niego, korzystając z nowego marsza, który właśnie muzyka rozpoczynała.

Kowal odwrócił się do mnie i popatrzał trochę na mój czarny frak i świeżą bieliznę.

— Pan widzę nie tutejszy,— rzekł zdejmując porcelankę z fajki i odlewając ją z akuratomnością, znamionującą zapalonego lubownika knastru.

— Pierwszy raz tu jestem — odpowiedziałem,—ale jakoś mi się podoba, widzę bowiem że tu niepotrzeba nikogo zachęcać do zabawy, bo każdy przychodzi już z dobrym humorem.

— Co się dziwić—odrzekł kowal nakładając znowuż porcelankę na cybuszek,—człek się dosyć nabieduje i naharuje jak wół w pługu przez cały tydzień, to kiedy przyjdzie niedziela, można sobie pozwolić za wszystkie czasy. Bo to się niedawno wróciło z pracy, a praca znów za pasem, nie ma czasu na ceregiele. U panów to co innego, macie panowie przez cały Boży dzień ciągły lusztig, a wieczorem odpoczywacie po nic nierobieniu. To też i nie tak wam ochotno idzie zabawa.

— To wam się zdaje panie majster—odrzekłem,—że my nie potrzebujemy pracować? A z czegożbyśmy żyli? Wszakże nie wszyscy są bogatymi i trzeba zarobić na siebie.

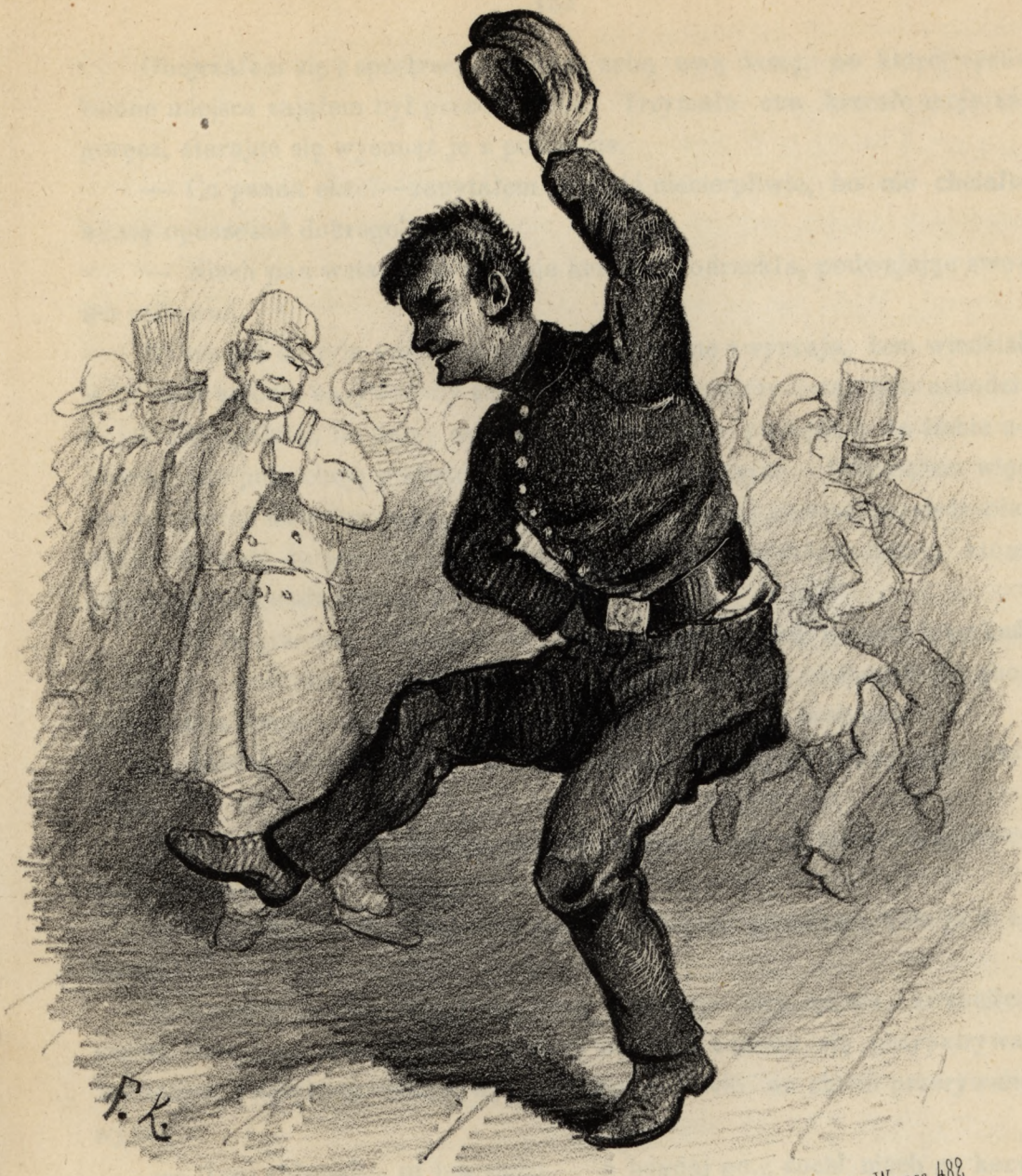
— Ba! taka też to i praca—odpowiedział kowal,—skrobniecie panowie piórkiem to i sypią się złotówki. Niby to ja nie znam pracy panów urzędników.

— A z kąd się pan domyślasz że ja jestem urzędnikiem.

— Ot znowu—odpowiedział kowal puszczając nowy kłęb dymu,—a czemżeby mógł być taki haligant jak pan. Przecież to takie ubranie drogo kosztuje, ale panom zawsze na haligancje starczy bo to...

I palcami prawej ręki zrobił na lewej giest, jakby rachował pieniądze. Była to wyraźna alluzja do datków pieniężnych, czerpana widać z doświadczenia uczciwego kowala.

Dotknął mnie trochę ten zarzut niemoralności, całej klasie urzędniczej uczyniony, i chciałem już odpowiedzieć, gdy nagle poczułem że mnie ktoś bez ceremonji ciągnie z tyłu za rękaw.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 488

Jenjusz do wszystkiego..... i na dach i do tańca.

BIBLIOTECA



PROJEKCIJA

1955

10952

Obejrzałem się i spostrzegłem poza sobą ową damę, po której opróżnione miejsce zająłem był przed chwilą. Trzymała ona krzesło moje za poręcz, starając się wysunąć je z podemnie.

— Co panna chce?—zapytałem się dość niecierpliwie, bo nie chciało mi się opuszczać dobrego miejsca.

— Niech pan wstanie bo to moje krzesło—odrzekła, podwajając swoich usiłowań.

Byłem już do tyła wtajemniczony w tameczne zwyczaje, żem wiedział iż to co w salonie nazywałoby się najwyższą niegrzecznością, tam uchodziło jak najzupełniej, bo damy tamtejsze umiejące się porządnie za siebie upomnieć, nie potrzebują protekcji ani galanterji mężczyzn. Odsunąłem więc bez ceremonji natrętą rękę, i umocniwszy się lepiej jeszcze na siedzeniu, odwróciłem się do sali, nie zważając na skargi i wyrzekania damy, która napróżno usiłowała ruszyć mnie z miejsca.

— A to grzeczny kawaler—mówiła nadając mojemu krzesłu bieg huśtawkowy,—polityka jak u byka, czy to się tak z damami obchodzi? To gbur jakiś, udaje fircyka, a nie umie się znaleźć z porządnymi osobami.

— Gadaj sobie zdrowa,—mruknąłem pod nosem, nie zmieniając położenia.

Widać poznała, że wszelkie jój usiłowania na nic się nie zdadzą, bo odeszła wyrzekając.

— Poczekaj no ty... fraczkowy, nie posiedzisz ty tu długo, dam ja ci za swoje.

Zostawszy panem placu boju, i rad z mojego zwycięstwa, zwróciłem znowu uwagę na sąsiada kowala, który obecnie zdawał się przypatrywać ańczącym z natężoną uwagą, wymawiając od chwili do chwili przerywane wyrazy

— Tęgi chłopak... ot jak sadi... A bogdaj go... zuch! niech go kaczki zdziobią!

— Kto to taki?—zapytałem ciekawy wiedzieć do kogo się odnoszą te wszystkie pochwalne epitety.

— A czy pan nie widzi?—odrzekł wskazując ręką na tańczących,—jak

tam Wojtek wywija; a to panie aż się dusza raduje w człowieku; takiego drugiego darmo by ze świecą szukał w całym mieście.

— A któryż to Wojtek?—zapytałem.

— Kominiarczyk proszę pana, prosty kominiarczyk, ot ten w czarnych spodniach i kurtce, spiętych pasem z mosiężną klamrą. A niechże go gęs palnie zadnią nogą, jak teraz obrócił. A to łobuz! co za sprawność w tym chłopcu? Widzi pan on już taki z natury i do wszystkiego. Bo to czy w komin, czy na dach, ani mu się noga nie pośliznie, a do tańca to jak pan widzisz, jedyny. Tacy to już mają czyste naznaczenie od Pana Boga, żeby taka zgralność była w tem bestyjstwie. Tego się nie nauczy, choćby sto rozumów zjadł i tyle rejestrów napisał, co nasz cyrkułowy dozorca. Bo to panie już z natury taki jenjusz do wszystkiego, i na dach i do tańca.

Chciałem coś odpowiedzieć, gdy poczułem nagle silne uderzenie po ramieniu i usłyszałem głos gruby i jak się zdawało zagniewany, wymawiający te słowa:

— Co pan za historje tu wyrabiasz?

Odwrociłem się i ujrzałem za sobą pana Kaspra, który widno porzucił już był swoją tancerkę, a w zamian trzymał pod rękę ową damę, z którą przed chwilą tak ożywioną miałem rozprawę. Twarz pana Kaspra wydawała mi się bardziej jeszcze nasrożoną, marszczył brwi i gryzł wargi, co było nieomylnym znakiem gniewu tylko co mającego wybuchać. Nie pogłaskało mnie to jakoś po sercu, ale czułem się w swoim prawie, sądziłem że przy rozsądnej wymowie i umiarkowaniu z mojej strony, cała ta sprawa na spokojnej da się poprowadzić drodze.

— Żadnych historji nie wyrabiam — odrzekłem starając się najspokojniejszy ton mowy zachować,—siedzę sobie cicho na miejscu i patrzę.

— Ale to nie pana miejsce?

— Jakto nie moje? wszakże siedzę na niem?

— Tak, ale tu siedziała ta dama, a pan jój zabrałeś krzesło.

— Nie zabrałem, tylko ta panna wstała, a ja usiadłem.

— Tak, wstałam—odrzekła, starając się wydobyć płacziwe tony mo-

ja antagonistka,—ale wróciłam zaraz i ten pan nietylko mnie ustąpić nie chciał, ale gadał jeszcze grubiaństwa różne, jakbym ja była jaka tam...

I w samą porę łzy, na które tak długo pracowała, przerwały jój mowę.

— A ty kuso fraczkarzu!—zawołał pan Kasper, wygrażając mi pięścią pod nos, nie zleziesz mi ztąd zaraz?

— I owszem—odpowiedziałem i nie uważając na pogardliwe spojrzenie, jakie rzuciła na mnie przekupka i uśmiech ironiczny kowala, przypominający zdanie wyrzeczone przez niego przed chwilą o mojej specjalności urzędniczej, powstałem z miejsca i wydałem się co prędzej z galerji, słysząc poza sobą ogólny szmer niezadowolenia, objawiający się w dobitnych bardzo wyrazach.

Tak się skończyła potyczka moja z panem Kasprem, w której moge oddać sobie sprawiedliwość, spisałem się przyzwoicie i z właściwą sobie odwagą. Pomimo jednak tak pięknego rezultatu, czułem że pozostanie tam dłużej, zagraża mi niebezpieczeństwu. Ze wszech stron widziałem skrzywione fizjonomie, i wielu spoglądało na mnie szepcując coś sobie do ucha. Umyśliłem więc wyjść, zwłaszcza że obejrzałem już dokładnie wszystko, i mogłem mieć zupełne wyobrażenie o zabawach ludowych.

Przed sienią zawołałem na dorożkarza, ale dorożkarza ani znaku.

Kręciło się tam kilku ludzi z latarniami; delegowałem więc jednego z nich, naznaczywszy mu dziesięć groszy djet i kosztów podróży, do wyszukania niewiernego mojego woźnicy.

Po chwili wrócił, a za nim szedł dorożkarz, którego ubiór w nieładzie, chód niepewny i zaczerwienione policzki, widne przy słabym blasku latarni, dowodziły że nie zmarnował czasu na próżno i przepił przynajmniej z połowę spodziewanego odemnie zysku.

Ale dorożkarz nie szedł sam.

(1) Prowadził on się pod ręce z dwiema jakimiś damami, z którymi w jak najlepszej wydawał się być komitywie.

— To mój pan—mówił do nich wskazując na mnie palcem,—powiadam wam dobry pan, uczciwy pan, zawsze podwójne płaci kursa, a to dlatego że nieżonały.

— A poco to wyjeżdżać tak wcześnie—dodał, zwracając mowę do mnie, teraz dopiero zaczynają się bawić, to zawczasie, niech pan wróci do sali.

— Nie rezonuj, tylko siadaj na kozioł—rzekłem trochę z gniewem, bo stan w jakim go widziałem, jeszcze bardziej oddziaływał na mój zły humor.

— Ale co tu się gniewać?.. pojedziemy zaraz, pojedziemy i to piorunem, po kawalersku; a gdzie to proszę pana mam pana odwieść?

— Jak wsiądziesz na kozioł i wyjedziemy z bramy, to ci powiem.

— E... bo proszę pana...—mówił dorożkarz drapiąc się w głowę, --te panienki—i to mówiąc wskazał ręką na owe dwie damy, które z nim przyszedłszy odsunęły się na bok i zdawały się na coś czekać,—te panienki prosiły mnie żeby ich odwieść po drodze.—I zbliżywszy się do mnie, szepnął mi do ucha niby to pocichu, a w rzeczy tak głośno, że go na drugim końcu podwórka słychać było.—To bardzo porządne dwie panny, panna Justyna i panna Petronella, jedna jest kucharką od państwa kancelistów z ratusza, a druga kawiarką na Krzywem-Kole. To bardzo porządne dwie panny, pan się doskonale zabawi po drodze.

I nie czekając dalej mojego pozwolenia, zaczął pakować obiedwie porządne panny do dorożki.

Widząc na co się zanosi, a nauczony już doświadczeniem, że tu brak galanterji dla dam nie uchodzi bezkarnie, niewiele wdając się w dalsze rozprawy, wziąłem nogi za pas i brnąc po błocie i śniegu, wyszedłem na ulicę.

Na Lesznie dogonił mnie mój dorożkarz, któremu szło o zapłatę, na szczęście dorożka była próżna, snadź panna Justyna i panna Petronella namyśliły się powrócić na salę i poszukać tam chętniejszych towarzyszków podróży. Wsiadłem więc i bez dalszej katastrofy powróciłem do domu.

Od tego czasu możesz mi wierzyć, że mnie ani razu nie wzięła chętka uczestniczenia w zabawach ludowych, bo z takim panem Kasprem pewno drugi raz na suchobym nie wyszedł, a takich panów Kasprów tam pełno“ (1).

(1) O piwie bawarskiem, którego opisanie rozciągnęłoby nad miarę ten artykuł, damy zupełnie osobny szkic pod tytułem „Bawarje w Warszawie.“



w Lit. A. Pecq & Co w Warsz. 482.

To bardzo porządne dwie panny.



BIBLIOTEKA
Instytut
10952

JAK PAN NACZELNIK WYGRAWSZY

PRZEGRAL,

a pan aplikant przegrałszy wygrał.

Chociaż pewny jestem zdobycia sobie męczeńskiej aureoli, przez ukamionowanie od większej części warszawskich niedorostków, narażenie się na gniew, odwracanie oczu, lub też schodzenie z trotoarów przy spotkaniu się z wszelkiego rodzaju szanownemi radczyniami, radczankami i naczelnikowemi, powiem sobie najwyraźniej, że bardzo często, a zwłaszcza téż przy końcu każdego miesiąca, nudzę się w Warszawie, i to w sposób przechodzący najwyższe o nudach wyobrażenie. Wielkie miasto i pieniądze, to są dwaj bracia w najserdeczniejszej miłości i zgodzie żyjący; *osoby i ludzie*, ich sługi uniżone; powietrze, kurz, dym i błoto, widoczni nieprzyjaciele. A że mam nieszczęście być policzonym do tych co się zowią ludźmi, więc nic dziwnego że jestem sługą, mam nieprzyjaciół i nudzę się, bo i sługom płci obojój nudzić się wolno. W kilka dni po pierwszym każdego miesiąca, kiedy dwanaście rubli méj pensji wpłynie gładziutko do bezdennego żołądka miastowego, zaczynam polityczno-ekonomiczne rozmyślania: i siadam w oknie mego pokoju, i patrzę w ulicę nie nie widząc, i dziwię się

naturze, dlaczego dała uśmiech na twarzy człowieka wielkiego miasta, nie dając mu zaraz pieniędzy; dlaczego ci ludzie zamiast skórzanych, papierowe puszczają banknoty; czemu sposób pierwiastkowej zamiany produktów na produktu wyszedł z mody?... Lecz na tym punkcie rumieniec bije mi do oczu, gniewam się błogosławiąc postępowi, bo gdyby istotnie tak było, cóżbym dał w zamian? Chyba część akt z mojami referatami, nad którymi i bez zamiany niedługo ogień odprawi indyjskie exekwie. Po takich rozmyślniach, przypomniawszy sobie że kiedyś dawno temu, udało mi się wynaleść kilkorublowy zapomniany w stoliku papierek, na los szczęścia zabieram się do przetrząsania wszelkich szpargałów, książek i kieszeni, a choć to naraz sztuka, zyskuję tyle, że zrobię porządek w mych rzeczach i ubiję godzinę czasu. Zwykle przy owój rewizji natrafiam na bilet loteryjny, a trzymając go w rękę staję się poetą marzycielem: Wygrywam najprzód wielki los, biorę dymisję na podziw i złość naczelnika, z pociechą łaknących méj pensji następców, kupuję dobra, jadę za granicę, gram na giełdzie, kapitały rosną; ja tyję na ciebie i na kieszeni, czuję drętwienie w nogach, więc sprawiam ekwipaże, kładę okulary niebieskie, spoglądam z góry na wszystkich i na wszystko, a najbardziej pomiatam naczelnikiem, naczelnikową i panną naczelnikówną, którzy dawniej uważali mię za hetkę pętelkę. Rajskie marzenia ziemskiego szczęścia przerywa stróż miejscowy, zarazem mój pierwszy kamerdyner, meldując potrzebę kupienia węgla do samowaru. Ot masz tobie główną wygraną, myślę sobie wyciągając ostatnią złotówkę z kieszeni, żeby choć stawkę wygrać, dobre i kilkanaście złotych.

Tym sposobem zaczynam się znów nudzić potężnie: jeśli czas piękny, wychodzę zwiedzać mieszkania do wynajęcia, choć swego zmieniać nie myślę; zabijam czas, przypatrując się ludzkiemu szczęściu i ludzkiej niedoli: jednym zazdroszczę, drugim żałuję, a powróciwszy nad wieczorem, śpię jak zabity, wiedząc iż są biedniejsi odemnie.

Najczęściej jednak zasunawszy firankę, i uchylwszy nieco okna, ukradkiem jakby przez otwór panoramy, spoglądam w ulicę robiąc różnego rodzaju postrzeżenia. I dziwna rzecz, to mię rozśmiesza więcej niż najlepsza komedja w teatrze, zajmuje, bawi, naucza. Kochana Warszawa, mimo naj-

serdeczniejszych dążeń do kosmopolityzmu, podobnie jak przebrany żydek do cywilizacji, nie może pozbyć się odrębnego charakteru miasta polskiego, którego najwybitniejszym rysem jest wspólna znajomość nie tylko osób, ale ich sukni, czynów, zamiarów i ploteczek.

Siedząc sobie tak za firanką, i nie zapuszczając się w głębsze dociekanie przyczyn rozdziału klas społeczeństwa naszego miasta, zrobiłem taką uwagę, że jego mieszkańcy dzielą się na trzy wielkie oddziały: 1) *porządny*, to jest porządnie ubrany w palta, futra, kapelusze, rękawiczki, całe i oczyszczone buty, ma się rozumieć że mówię tu o męskiej połowie. 2) *Nieporządny*, mający wprost przeciwne pierwszemu powierzchowne przymioty. i 3) *starozakonny*, podług kroju judejskiego, któremu chociaż pejsów, brody, lejbaka i szabasowej czapki nosić zabroniono, on jednak wszystkich czterech nie używając używa stosując sobie ten axiomat: „że poetom, malarzom i żydom wszystko wolno.“

Postanowiłem studjować każdego z tych oddziałów po kolei, i zaczynam od pierwszego, jak mi się z mojego obserwatorjum przedstawił. Oddział ten najwięcej liczy gatunków, nie pod względem ubioru, albowiem dzięki wszechwładnemu komitetowi mód paryzkich, jesteśmy na jeden model skrojeni; nie pod względem wzrostu, bo nie będąc z linii mierniczój, ani od spisu wojskowego, na tem się nie znam; nie pod względem rysów twarzy, wyrazów oczu, zakroju ust lub profilu nosa, bo na nich wielkimi literami wypisano: „dajcie pieniędzy, a używać potrafimy,“ lecz pod względem kształtu i koloru bród, bródek, napoleonek, wąsów i faworytów, które na nieszczęście fizjonomistów i powieściopisarzy, nie mówić nie chcą i nie nie wyrażają. Otóż ja pierwszy pozwolę sobie sięgnąć po laur Cuviera, i rozgatunkuję *osoby* (gdyż oddział ten małą liczbę ludzi zawiera) podług wyżej przytoczonych znaków. Najliczniejszym w oddziale tym gatunkiem jest *bezwąsny* czyli urzędniczy. Ale co to są urzędnicy?—zapyta niejeden malec obywatelski sylibizujący to pismo. Otóż mój kochanku, powiem ci do ucha, przyjeźdź z papką do jakiego miasta powiatowego, albo też do Warszawy, wejdz do jeźdnego z gmachów gdzie mieszczą się biura, maszeruj śmiało we drzwi, choć am napisano że „wchodzić niewolno,“ i gdy zobaczysz rząd biurka mniej-

szych i większych, na nich, pod niemi, koło nich stosy papierów, a za niemi stojące, siedzące w jednakowych frakach, ze świecącymi guzikami, łyse, czubate i nieczubate, stare i młode ale bez wąsów figury, to są mój chłopcze urzędnicy. Oprócz tych znaków, prócz braku wąsów, mają oni w sobie coś ptasiego, trzymając pióra w poplamionych rękach lub za uchem; mało mówią a piszą; tobie się synu obywatelski nie ukłonią boś mały, ojcu twe-mu także, ale gdy przechodzi koło nich starszy, zrywają się czempredźej z krzesel, i uśmiechają się mile. Na ulicy mój młody obywatelu nie poznasz ich: tak łatwo, jak kameleony zmieniają oni swą powierzchowność: młodzi idą jak drudzy w nowomodnych paltach, idą rozkosznie uśmiechnięci, kłaniają się pięknym damom, śpiewają wyjątki z oper, kłują zęby piórkami, i są tak dobrmi jak ty obywatelami, zapuszczając choćby kontrabandą liche wąsietą. Starsi zaś nazywają się tu radzcami, naczelnikami, dyrektorami, sędziami, chociaż w biurze ani téż kalendarzyku politycznym, ich radcostwa, dyrektorstwa i t. p., darmobys od lat kilku wyszukiwał.

W Warszawie z powodu obecności głównych władz krajowych, klasa urzędnicza od lat kilkunastu wzrosła niesłychanie, i uformowała sobie zupełnie odrębną że tak nazwę kastę, co do stosunków towarzyskich, zwyczajów, obyczajów i oryginalności. Nie zważając na liczne wady i śmieszności, jakie z powodu swój wyłączności i pedantyzmu z zajęć ich wypływającego, wśród klasy téj napotykać można, znajdziecie tu najszlachetniejsze i najwyższe uczucia, znajdziecie cnotę, naukę, rozum, talenta; znajdziecie krwawą pracę, ogrom wytrwałości i niesłychaną moc ofiary. Brak materialnych zasobów i nieustanne z tego źródła wypływające kłopoty, jak z jednej strony podnoszą wielkość ich charakteru, tak z drugiej obudzają współczucie i pobłażanie dla zstępujących z drogi ucziwój. Ten sam brak nie pozwalając im dać gruntowniejszego ukształcenia swym dzieciom, a tem samem innego kierunku wrodzonym zdolnościom, popycha nowe szeregi w zawód urzędniczy bez powołania, bez zamiaru i bez przejęcia się ważnością przyszłych obowiązków. Dla chleba choć w szczupłej ilości, ale mniej więcej pewnego; dla chleba którego zdobycie najmniej wymaga specjalnych wiadomości i nauki, rzuca się biedniejsza młodź szlachecka i dzieci urzędni-

ków do biur przepełnionych rojem łaknących; przebieduje jakie lat kilka aplikacji dając lekcje, przepisując papiery, dostawszy się zaś na jaki etacik, postępuje tą drogą, mając przed sobą tytuły, rangi, nagrody, pensje i emeryturę, jako kres życia, ideał marzeń tyloletnich, kochankę rozkoszy, władzy, dumy i spoczynku.

W takim samym położeniu znajdował się naczelnik naszego biura, mój najbliższy zwierzchnik, którego z tytułu otrzymanej rangi radcy honorowego, jedni nazywali radcą, inni naczelnikiem, a inni znów szefem. Nie wiem doprawdy czy to wszyscy naczelnicy na świecie, ale ci których mówię stylem urzędowym, mam honor znać osobiście, w kółku domowym mają tyle władzy, że wolno im kupić sobie codziennie pół łuta francuzkiej tabaki, wieczorem iść na spacer, grać w preferansa nie drożej jak cztery punkta za grosz, przy stole jeżeli nie ma gości, brać potrawy z półmiska zaraz po pani naczelnikowej, kupować osobiście rogaliki z piekarni Bochenka, mamrotać sobie pod nosem, ale w trzecim pokoju, to warzyszyć pani na wieczory i bale, zapraszać młodzież którą pani naczelnikowa w swym domu zobaczyć pragnie, dostarczać opału na zimę, i z pensji miesięcznej zostawiać sobie 30 złp. na różne wydatki. Reszta należy do pani naczelnikowej, a nawet zdrowie szanownego małżonka, dla którego ma się ubrać w ten lub ów surdut, w kapelusz albo czapkę, w cięższe lub lżejsze futro, stosownie do temperatury, potrzeby lub zwyczaju narodowego. Średniego wzrostu, szczupły, blade i łysy, z wiecznie zagiętym kołnierzem i rozpiętą z dołu kamizelką, codzien ogolony i wymyty, żeby całując nie kłół delikatnej twarzy pani, wstawał naczelnik o godzinie 8ej zimą i latem: szedł do pokoju żony powiedzieć jej dzień dobry, ztamtąd do dzieci policzyć czy jest ich dziewięcioro jak dnia poprzedniego, potem do kuchni napić się szklanek wody, a powróciwszy do siebie oglądał barometr i stopnie termometru. W zimie pod jego wyłączną dyspozycją zostawało jeszcze palenie w piecach i gotowanie śmietanki, albowiem miał talent duże kożuszki formować. Od lat kilkunastu uszył sobie już głowę nad wynalezieniem odpowiedniej a pewnej kontroli rozchodu drzewa, i raz przecie udało mu się z wielką chlubą załatwić ten przedmiot. W oddzielnej umyślnie na to oprawionej księdze z rubrykami,

każden piec miał oddzielne swoje konto i zarazem rozkład potrzebnej ilości drzewa na każdy stopień termometru Reaumura, począwszy od 6 ciepła do 23 zimna. Długimi doświadczeniami i kombinacją rachunkową doszedł, ile na tyle a tyle stopni zimna potrzeba włożyć do pieca polanek, żeby temperatura utrzymała się na 10⁰ powyżej zera, i o ile tę ilość zmniejsza lub zwiększa, przypuszczalna zmiana pogody barometrem przepowiedziana. Rozpatrzywszy się tedy w obu narzędziach, zaglądał do księgi i w oddzielnem miejscu wpisywał: „żółty 10, zielony 13 1/2, niebieski 6 i t. p.“ To uskuteczniwszy, szedł z ową księgą do drwalni, i przy sobie odliczać kazał potrzebną liczbę polanek. Wszystko mogłeś od niego dostać, do wszystkiego namówić, ale do zmiany téj ilości—nigdy. Nawet nieraz pani naczelnikowej stale się oparł, drwalnię zamknął, na obiad nie przyszedł, a gdy nastąpiło pogodzenie się, brał na drugi dzień na wymioty, czując odlanie się żółci. O 9ej godzinie punkt wypiwszy kawę, zapalał połówkę cygara, podpisywał urzędowe papiery, ubierał się szybko i wziąwszy parasol wychodził do biura. Po drodze musiał przejść koło ratusza, zregulować zegarek, odebrać ze sklepu gazetę, którą na pociechę wszelkiego rodzaju dziennikarzy, od deski do deski przeczytał. Biję trzecia, pan naczelnik chociażby na połowie wyrazu kładzie pióro, zdejmuje rękawek którego na prawą rękę używał dla oszczędzenia munduru, zamyka szufladki, i tą samą drogą wraca do domu. Przy obiedzie rozmawia z najstarszą córką o polityce, najmłodszego synka examiniuje z arytmetyki, i wstając całuje w rękę panią naczelnikową, ona oddaje mu to samo w łysinę.

— Teofilu!— pyta go z miną posłuszną małżonki,— gdzie dzisiaj pójdziemy wieczór?

— Gdzie chcesz moja duszko.

— Ależ gdzie ty chcesz, nie ja mój aniołku, przecieżes panem domu!— mówi najnaturalniej w świecie.

— No to może do tych, tych... (naczelnik nigdy nie pamięta nazwiska).

— Bucelskich.

— Tak, tak Bucelskich,—powtarza ziewając.

— Eh nie mój aniołku, byliśmy tam niedawno, jabym cię prosiła, ale nie śmiem.

— Mów duszko, mów!

— A jak się będziesz gniewać? (nb. naczelnik nigdy się jeszcze nie gniewał). Dzieci—odzywa się naczelnikowa zwracając mowę do swawolących malców,—proście ojca żeby mamie pozwolił iść do teatru!..

Jakby na dany rozkaz, dziewięć par różnej wielkości i różnej czystości rączek chwyta się ze wszech stron pana naczelnika, wołając „do teatru! do teatru!“

— Dobrze moje diobiazgi, dobrze moja duszko, idź sobie, — mówi otrzepując pomazaną wstążeczkę orderu.

— Dziękuję ci aniołku—odpowiada pani całując go w rękę,— jakiś ty poczciwy mój stary!

Naczelnik zamierza wyjść ziewając straszliwie, gdy żona woła za nim:

— Teofilu! Teofilu!

— Cóż moje dziecko?

— Biletów nie mamy, a dziś grają Żydówkę, to pewno rozkupione.

— Szkoda, no ale cóż robić?

— Żebyś ty poszedł sam aniołku, ciebie tam znają... Ale prawda, tobie się spać chce, siedziałeś długo w nocy mój stary... nie, nie, już się obejdzimy, chociaż doprawdy Kamilka wieleby skorzystała ze śpiewu...

Wtém słyhać dzwonek w przedpokoju, Kamilka biegnie otworzyć, lecz matka wstrzymuje ją mówiąc: A fe, kto to widział, żeby młoda panienka otwierała drzwi lada komu, pamiętaj przecie czem jesteś?

Wołają służącęj i ta za chwilę powraca oświadczając, że ten pan co tak często przychodzi, chce się widzieć z panem radcą.

— Który?—pyta pani.

— Ten proszę pani wysoki.

— Chocikowski!—wtrąciła Kamilka rumieniać się po same oczy, gdy szanowny małżonek skrzywiwszy się nieco, trzyma już za kłanek.

— No jakże z biletem Teofilu?.. ehty pójdziesz prawda? Może nie masz chęci, powiedz, ja nie wymagam.

— Pójdę, pójdę, tylko dajże pieniądze.

Naczelnikowa jak można najgłośnień wyjmując rublowe papierki, mówi

do męża: Łożę pierwszego piętra między 6 a 12 numerem, koniecznie na dziś, pamiętaj Teofilku.

— Dobrze, a jak niema?

— Eh ty znajdziesz, tylko bądź łaskaw idź zaraz, nie zatrzymuj się, bo będzie nierychło.

Naczelnik wychodzi i spotyka się oko w oko z przybyłym jegomością: jestto młody jeszcze wysoki przystojny obywatel, bo czoło ma jaśniejsze od reszty twarzy, a wąsy żółtawego koloru od słońca przepalone.

— Upadłam do nóg pana naczelnika dobrodzieja.

— Upadam... łoża pierwszego piętra między 6 a 12... niechże pan siada, bardzo proszę.. pięć rubli koniecznie... — I zafrasowany radca ubiera się czempredziej, nie zważając na pokorną minę kljenta.

— Pan radca dobrodziej zajęty?

— Och bardzo zajęty—odpowiada zaczesując przed lusterkiem rozpierchłe resztki łysiny.— Kamilka wieleby skorzystała ze śpiewu, może rozkupione... pierwszego piętra...

— A ja właśnie chciałem prosić pana radcę dobrodzieja o rozpatrzenie tych papierów.

— Przepraszam, nie mogę... tego pięć rubli.. między 6 a 12 numerem... to w biurze najlepij,—mówi naczelnik szukając łaski i kapelusza.

— A czy nie pozwoliłby mi pan naczelnik dobrodziej zająć się kupnem tych biletów? bo o ile mogłem dosłyszeć rozmowę państwa, idzie tu o łożę na dzisiejsze przedstawienie Żydówki.

— Prawda!—wyrzekł naczelnik zatrzymując się przy drzwiach— prawda, poczekaj pan z łaski swój chwileczkę, ja się dowiem.

— Duszko moja—mówi do żony zostawując drzwi otwarte,—czyby to nie mógł ten pan... jakże on się nazywa...

— Wiem, wiem—odpowiada śmiejąc się naczelnikowa. — Oj ty zapominalski, prawdziwie bardzoby to dobrze było, ależ się niegodzi zatrudniać tyle grzecznego pana naszymi interesami.

— Pani dobrodziejka przebaczy — odzywa się stawając we drzwiach interesant...— Dzień dobry pani naczelnikowej, dzień dobry... ależ ja tylko



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 489.

No zdaje mi się zem poważny”!

BIBLIOTEKA



1952

Instytut Kształcenia

10952

chę wyręczyć pana naczelnika, i to dla odczytania mego interesu. Istotnie bardzoby mi przyjemnie było przysłużyć się paniom, szczególnież pannie Kamilli, takiej amatorce śpiewu.

— Może pan nie dostanie już biletu? — wtrąca dlatego tylko aby coś powiedzieć owa Kamilka, spuszczaając oczy i rumieniając się potężnie.

— Bądź pani spokojną; znam się z kassjerem teatru, pani uszka będą miały tę przyjemność wysłuchać dzisiaj... lecz zaciął się nie wiedząc jak dokończyć.

— Żydówkę, czy tak moja duszko?—wtrącił naczelnik.

— Ależ pannę Rivoli papko i Dobrskiego...

— Dziękuję pani za przyjście z pomocą — mówi kljent i wybiega na schody.

— Jaki przyjemny, moja mamó, jaki ugrzeczniony, choć obywatel.

— Idzie o 10 minut później od mego i od ratuszowego,—odzywa się naczelnik spoglądając na zegar wiszący w tym pokoju, a przystawiwszy doń krzesło, reguluje skrupulatnie.

— A oddajno mi te 5 rubli aniołku?

— Przecież trzeba mu je zwrócić duszko, — ot masz tobie zapomniałem...

— Ale pozwól Teofilu!... czekajże!... — woła za mężem, który zabiera się już do wyjścia aby dogonić kljenta. — Jak przyjdzie, to mu się zwróć a tybyś mógł zgubić...

— Jak mi się to podobało moja mamó, kiedy on mówił: pani uszka raczą usłyszeć...

— Wierzę, wierzę Kamilciu, ale uważam i tyś mu się trochę podobała; tylko sobie nie rób z tego wielkich rzeczy.

— Ciekawam dlaczego?

— Bogaty, obywatel...

— To cóż? a ja młoda i przecież do ludzi podobna, papko urzędnikiem i mamy szlachectwo.

— Powiadam że z temi służącemi tylko gniew i utrata zdrowia! — odzywa się wychodząc z salonu rozgniewany radca. — Pewno czynności zatka-

nia nie uskuteczniła we właściwym porządku, i termometr wskazuje o 2 stopnie niżej.—Karolina! woła do kuchni, czemu w pokoju zimno?

— Bo ja wiem, proszę pana?

— Zatkanąś późno?

— Nie, o 5 minut na 11tą, tylko panna Kamilla otwierała lufcik za panem Stolarskim kiedy z lekcji wychodził.

— Kamilciu! rzekła matka z wyrazem ironicznego politowania na twarzy, nie zapominaj się!

— Kamilciu, powtórzył naczelnik kichając, rujnujesz nas, życie mi zatruwasz. Cały systemat na dziś zepsuty; dwa stopnie mniej ciepła w pokoju, dzieci się pochorują, lekarstwa, doktory, płacz i niespokojność.

Panna naczelnikówna chciała coś odpowiedzieć, lecz rumieniec potężniejszy od wszystkich jakieśmy dotąd widzieli, niestety potwierdzał domysły matki. Bo trzeba wam wiedzieć, że panna Kamilla była romansową panią: od lat już pięciu próbowała na wszystkich otaczających ją mężczyznach sił swoich; panna Kamilla była wierutną bałamutką nietylko młodych ale i starszych urzędników, żonaty, wdowców, a w braku tych i starych zatabaczonych emerytów. Panna Kamilla miała talent nakreconej zawsze katarynki, mogła rozmawiać bez przestanku jakie dwie godziny o wszystkich i o wszystkim; śmiać się gdy inni się śmiali, płakać gdy mama płakała, śpiewać i grać gdy goście mieli cierpliwość słuchania, bo panna Kamilla była dobrze wychowaną panią. Wszyscy też młodzi urzędnicy bywający w domu naczelnika i ich koledzy kochali się w niej na zabój, nazywali ją między sobą Kamilką; emeryci przewracali się po pokojach biegnąc podać jej krzesło lub upuszczoną chusteczkę; ale młodzież prawdziwa, która z urzędu słuchać musiała jej zajmującej rozmowy o poezji uczuć miękkiego serca, nie mogła się jeszcze zdecydować na tę lub ową stronę. Jeden tylko pan Stolarski, przystojny aplikant sądowy, bywając codziennie na lekcji w domu naczelnikostwa, wzdychał podobno za pięknymi rzęsami Kamilki, albowiem miała ona rzeczywiście te tylko piękne w całej twarzy, i gdyby nazwisko jego figurowało w kalendarzy-

ku politycznym, kto wie jakieby odbicie znalazły jego westchnienia w romansowych rżęsach panny naczelnikówny. Wbrew wszelkim przeciwnym dowodzeniom urzędników biura tatki dobrodzieja, którzy wiadomości swe czerpali z metryki urodzenia przy aktach osobistych naczelnika złożonej, Kamilka z rachunku matki miała lat 18, była rumianą, chociaż codzień wypijała dwa kieliszki octu; była otyłą, chociaż do sznurówki zużywała trzy sztuczki tasiemki na tydzień; była bardzo naiwną, chociaż pokryjomu przeczytała wszystkie romanse Koka; chciała jak najprędzej wyjść dobrze za mąż, chociaż jój się nikt jeszcze nie oświadczył; chciała przynajmniej dla oka ludzkiego mieć kilku adoratorów, ale i w tem piękne życzenia oddalały się od niej jak przedmioty w odwróconej perspektywie.

Szczęściem dla panny Kamilli, że miała długie pomarańczowe rżęsy bo z za nich widziała wszystko i wszystkich jeżeli nie w różowym, to zawsze w pomarańczowym świetle. Pan adjunkt zamówił ją do dwóch mazurów, już jój się zdawało, że zakochany; pan sekretarz pochwalił pierścionek z turkusikiem na jój palcu, była pewną że chciałby go dostać; referent miał zwyczaj ściskania rączek wszystkim tańczącym z nim kobietom, Kamilka uważała to za wyłączny a pierwszy attak do jój serca; teraz obywatel Chocikowski zaofiarował się kupić lożę do teatru, już w głowie panny Kamilli zabłysła myśl że nią się zajmuje. Ztąd do każdego z tych panów miała całe kupy pretensyj, że nie zrobili tego a tego, że nie byli tam gdzie ona była, że się zaniedbują, jednym słowem pływała w oceanie miłości własnej, kłopotując się tylko o wybór. Cała gromadka młodziej rodziny, musiała wiedzieć o każdym takim powodzeniu najstarszej latorośli domu naczelnika; mamę dręczono o przygotowanie wyprawy, a tatkę dobrodzieja o wydanie zachowanych w szufladce na nadzwyczajne wydatki pięciu tysięcy złotych polskich.

— Teofilu! powiedziała pani naczelnikowa po odejściu interesanta, który za kupione bilety pieniędzy przyjąć nie chciał, a którego zaproszono na dziś do towarzystwa, a w niedzielę na obiad—rozumiesz co to się znaczy?

— Rozumiem, rozumiem—odpowiada siedząc przy stoliku z oczami zwróconymi na przyniesione przez klienta papiery.

— Więc uważasz—mówiła dalej nachylając się ku stolikowi i podpierając oburącz głowę, trzeba go przytrzymać dłużej w Warszawie.

— A to na co?—spytał zadziwiony spoglądając na żonę.

— No, i powiedziałaś że rozumiesz?

— Rozumiem, ale nie wiem na co?

— Och! jakżeś ty niedomyślny Teofilu, przecież kupił bilety do Łoży...

— Wiem, i dobrze zrobił, bo jabym musiał iść po nie.

— A dlakogo kupił?

— Dla ciebie.

— Otóż nic nie rozumiesz, bo dla Kamilci.

— Doprawdy, odrzekł z najobojetniejszą miną, kochany radzca przerzucając kartę za kartą, że też te hebesy prowincjonalne dotąd jeszcze ortografii polskiej wyuczyć się nie mogą; wszędzie *y* zamiast *j*—i to mówiąc zaczął poprawiać ołówkiem.

— Teofilu, doprawdy życie mi się przykrzy z tobą! zawołała w przystępie gniewu naczelnikowa.

— O dla Boga, cóż tak straszno!? kupił to kupił...

— Tu gdzie idzie o los dziecka, o naszą przyszłość, o nasze szczęście i szczęście córki, on obojętny jak drzewo, jak kamień! Wstydź się ty ty naczelniku, mężu, radco! Jabym cię posłała na profesora ortografii, a nie na ojca.

— A cóż ty chcesz odemnie, kobieto?

— Co ja chcę? pomocy, powagi mężowskiej...

— No, zdaje mi się żem poważny, odrzekł naczelnik prostując się w krzesle i wyciągając kołnierzyki; a widząc że żona śmieje się ironicznie, przestraszony zerwał się na równe nogi pytając: No i cóż chcesz, i cóż chcesz?

— Powinieneś się domyślić, że Kamilcia podobała się Chocikowskiemu.

— Tak...

— I że od ciebie zależy trzymać go jak najdłużej w Warszawie, żeby się na dobre zakochał.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482.

„do Tyjatr! — do Tyjatr!!!”

OKAŁOJKA



— Tak...

— Być dla niego grzecznym, uprzejmym, zapraszać; obiecywać kończyć interes a nie kończyć.

— Tak...

— Dać zaraz te 5 tysięcy na wyprawę.

— A weź sobie, odpowiada wysuwając szufladkę z niechęcią. Moja kochana powiedziałaś mi dawniej, pamiętasz, kiedym ci radził postawić wizytatorye na karku: Teofilciu, do ciebie należy biuro, opał i zegary, a do mnie reszta, prawda? Więc nie można powiedzieć żebym źle odpowiedział twemu zaufaniu: patrzaj, w téj księdze stoi, że przeszłego roku wydano sztuk zrąbanych 2431 czyli szczap $421\frac{1}{3}$, co razem kosztowało złp. 378 gr. 21....

— Dajże mi pokój...

— Z rąbaniem już... A tego roku sztuk drewnienek....

— Mamo! mamó! woła wpadając do pokoju w zupełnym negliżu i rozczesanemi włosami panna Kamilla, co mi to Kazio zrobił! a zatykając sobie jedną ręką usta, z drugiej rzuca na stół przed ojca sztuczny ząb z oderwaną sprężynką.—Mój Boże. mój B oże, jakże ja się też pokażę dzisiaj? z kąd weznę innego. Mamo ja zwaryjuję, ja zachoruję.... Położyłam na stole, mówię Kaziu nie ruszaj, a on na złość jak przygniecie... i trask! na nic.

— Gdzie Kazio, gdzie Kazio? woła naczelnikowa, biegnąc do innych pokoi, a znalazłszy psotnika, z towarzyszeniem licznych szturchańców prowadzi go za drzwi do sieni...

— Teofilu, ubieraj się żywo! Trzeba to kazać naprawić, ząb na przodzie jakżeby ona wyglądała?

— A ja powiadam, mówi naczelnik zamykając drzwi od sieni, że wy sami a nie służące jesteście największym powodem nieporządku; termometr spadnie....

Wytłumaczono przecież panu naczelnikowi, że on jako ojciec, pan domu, powinien natychmiast iść do dentysty z owym zębem, że po drodze powinien kupić bułeczek do herbaty, i wracać jak najprędzej....

Tymczasem udobruchana panna Kamilla, prowadziła dalej swą toaletę,

uczesła warkocz przywiązawszy go do poręczy krzesła, bo dzisiaj kobiety na wzór Pinetego umieją oddzielać różne części swego korpusu bez zepsucia całości, umyła się dwa razy to jest serwatką, i papką z mąki razowej, delikatnym pędzelkiem posmarowała brwi i rzęsy, niewinną wodą blejwasową, (która wcale nie jest bielidłem, a tylko wodą płęć udelikatniającą) potarła rumiane policzki, trysnęła w oczy nieco olejku ze skórki cytrynowej dla nadania im blasku, potarła czarną kawą wąziutkie usteczka, ale nie dlatego żeby miały być czarne; potem kładła na siebie, przywiązywała, spinała, odpinała stopy różnego rodzaju materyj, strzępków, kolczyków, brosz i bransoletek, a w końcu ujrzała się w postaci rozsochatego świerku którego gałęzie bielutki śnieg przypruszył.

A Kazio zapłakany, kulił się biedaczysko za drzwiami, i skrobał i krząkał, czekając zmiłowania Bożego.

— Kto tu siedzi? odzywa się dźwięcznym głosem jakiś mężczyzna potknąwszy się o zasypiającego chłopca.

— A to pan Stolarski, odpowiada z płaczem delikwent.

— Co ty tu robisz Kaziu? Pójdź do pokoju, mówi pan korepetytor, obecnie chudeusz aplikant i adorator wdzięków panny naczelnikówny.

— Nie pójdę i pan nie chodź, Kamilcia już pana nie chce, Kamilcia jest zła, Kamilcia idzie za pana Chocikowskiego, co jęj kupił dziś bilet do teatru.

Ciemno jest w sieni, więc nie można dostrzedz wrażenia, jakie ta wiadomość na panu Stolarskim wywarła, jednak drżącym głosem pyta:

— A z kąd ty to wiesz, mój Kaziu?

— Z kąd? a wiem, bo mama od taty wzięła pięć tysięcy na wyprawę co u taty były obwinięte w niebieski papier i leżały w szufladce od biurka taty.

— A czy jest tata?

— Niema, bo poszedł do miasta zanieść zęb Kamilci do naprawy, odpowiada wciąż płacząc przeziębły chłopczyzna.

— Eh ty zmyślasz Kaziu, jakżeby tatko mógł wziąć zęb...

— Właśnie że Kamilcia ma takie zęby co się wyjmują i takie mają

blaszki pod spodem. A ona sama rzuciła jeden ze złości na stół, a powiedziała przed mamą, że to ja zepsułam...

Pan Stolarski nie pyta więc, widać mu się serce ścisnęło ze zmartwienia, bo westchnął jak można najdłużej, potknął się kilka razy na wschodach i mrużąc sobie pod nosem wybiegł w ulicę.

*

*

*

W godzinę później, w jednej z łóż pierwszego piętra wielkiego teatru mężczyźni siedzący w krzesłach mogli podziwiać dwie pary dużych świecących bransolet osadzonych na dwóch parach tłustych czerwonych rąk, których palce jeszcze wsadzone były w dwie pary żółtych rękawiczek. Otóż te dwie pary bransolet, dwie pary i jakby piaskiem nasypanych rękawiczek, należały do pani naczelnikowej rozmawiającej z naczelnikiem i do panny naczelnikówny podbijającej siedzącego tuż za nią obywatela Chocikowskiego. Ciasno było w łoży, więc pani naczelnikowa zaczęła rozmyślać nad tem, czemu pan naczelnik nie jest płaszczem któregoby na kołku zawiesić można; a panna Kamilla rozповідаła obywatelowi, iż dlatego passyami lubi operę, że najczęściej dekoracje przedstawiają okolice wiejskie, a tylko te zachwycać ją mogą.

— Teofilu, oj na miłość Boską połamiesz mi sprężyny u krynoliny odzyska się półgłosem i wachlarzem zasłonięta naczelnikowa.

— Mój aniołku, odpowiada również cicho małżonek, to twoje żelaza mnie połamią, już czuję skaleczenie w nogę.

— Nie uwierzysz pan ile te kaczki, gęsi, a nawet maleńkie francuzy mają dla mnie poezyi, mówi Kamilcia pałac obywatela cytryną zakropionym wzrokiem.

— Przepraszam cię duszko, wtrąca naczelnikowa nie wiedząc o co idzie, przecież mówią iż tylko małe niemcy mają najwięcej poezyi i wyglądają nakształt Rafaelowskich aniołków. Ja sama jak mąż naczelnik po-

wiada, który mię znał sześćioletnią dziewczynką, byłam poetycznym aniołkiem.

— Za pozwoleniem moich państwa, odzywa się wsunięta między nich głowa naczelnika, jak państwo sędzicie, ile tu może być stopni ciepła, co?

— Ach papo!

— Ach Teofilku, lepiejbyś drzwi uchylił, bo takie gorąco!

Zastraszony naczelnik obraca się nagle i wypchanemi kieszeniami surduta wytrąca kapelusz obywatelowi.

— Ach Teofilu, do czego ty jesteś? mówi skwaszona małżonka, popychając lekko poły surduta.—Co ty tu masz tak twardego?

— Dalibóg że nic, chustkę od nosa aniołku.

— Ależ twarde mówię....

Nie wiem, mruczy wciąż obrócony ku drzwiom i wyciąga z kieszeni prawie za łożę dużą podługowatą bułkę. A niechże cię, zapomniałem....

— Teofilu schowaj! Krzyczy już zarumieniona małżonka, gdy kilkanaście lornetek z przeciwnych łoż kierują się w tę stronę, a paradyz zaczyna klaskać wołając fora!

Szczęściem podnoszą kurtynę i cała katastrofa kończy się na tajemnie posłanym kułaku panu naczelnikowi. Wszystkich oczy zwracają się ku scenie, prócz pana Teofila zajętego upakowaniem bułek w kieszeni i prócz pana Stolarskiego siedzącego w pierwszym rzędzie Galeryi. Z nastąpioną głową, podparłszy oburącz głowę, wzrokiem wawelskiego smoka pochłania on pulchniutką postać panny Kamilli, a ile razy dostrzeże uśmiech jój dla wąsatego obywatela, rzuca się z taką zapalczywością, że sąsiad jego przyjaciel professor pyta:

— Co u diabła wierzisz się jak owad na szpilce?

— Patrz! ona się wdzięczy do niego, zalotnica...

— Gdzie? do kogo?

— W szóstej łoży pierwszego piętra, któżby jak nie Kamilka, do tego lnem pokrytego wełniarza.

— Ta ta tłusta brunetka, w ceglastej sukni?

— Ona.



w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. 482.

„Co ty tu robisz Kaziu ?!”

BIBLIOTEKA



Instytut

10952

— A doprawdy mój Marcelku masz prawdziwie gust turecki.

— No dlaczego? — zapytuje cały w płomieniach, bo właśnie w tej chwili spojrzała ku niemu owa kobieta w guście tureckim. Spojrzała, on się uklonił, a ona udała że go nie widzi. Poczekajże panno ze sztucznymi zębami,... niech zginę, niech się zapadnę, niech, niech.... a nauczę cię co to być zalotnicą...

— Wylecisz, jak Boga kocham wylecisz Marcelku. No, no, uspokój się na seryo, niema za czém...

— Kiedy ją kocham szalenie! mówi, wciąż patrząc w tamtą stronę — zginę, zmarnieję, zwiędnę, jak ona pójdzie za niego.

— Ani nie zgnijesz, ani się nie zmarnujesz, ani się uwędzisz, powtarza, przekręcając spokojnie te zaklęcia kolega — ja znam familią naczelnika i jeżeli zechcesz, w tydzień rzecz ci ułatwię.

— A to jak ułatwisz?

— Że cię przyjmą i sami ośmielą.

— Nie żartuj, bo jak honor kocham wyskoczę z łoży nie dziś to jutro, nie jutro to pojutrze i skręcę kark, żeby widziała, tak, tak, żeby widziała na własne zalotne oczy.

— No, załóż się Marcelku?

— Nie chcę, bo to na nic się nie zda; ten ten konopiasty hreczkosiej weźmie moje szczęście.

— O kosz szampana Marcelku, zgoda?

— Zgoda, ale jak nie, tak skoczę!

— Skoczysz dobrze, tylko po wypiciu szampana.

* * *

Zaczęto wychodzić z teatru, pan naczelnik jak zwykle szedł podać rękę Kamilce, bo z małżonką iść nie mógł płącząc się w gęstych fałdach jej sukni, lecz tym razem inaczej się stało.

— Teofilu, prowadź mnie — woła na wschodach pani naczelnikowa.

— Ależ Kamilcia.

— Proszę cię prowadzić — a kaptur wzięłeś dla mnie?

— Aniołku zapomniałem.

— Wierzę, wierzę... — mruczy już na dobre zagniewana małżonka, co dobitniej wyraża zdjawszy watowaną czapkę z jego głowy, a kładąc ją na swoje. — To mi mąż, to mi pan domu, naczelnik — kto zapomina niech marznie.

Obywatel z Kamilką idąc naprzód znaleźli dorożkę, i choć rozamorzona panienska niebardzo rada tej okazji, jednak zmuszona jest przyjąć tę grzeczność obywatelską, za co mama dziękuje mu bardzo, a tatko jeszcze bardziej odzyskawszy watowaną czapkę.

— A proszę nie zapomnieć o niedzielnym obiedzie.

— Będę służył, będę służył — odpowiada, kłaniając się za odjeżdżającymi.

Działo się to we czwartek, więc do niedzieli przez główkę panny Kamilli przeszło więcej może rozkosznych zadumek o mężu obywatelu, niż drewniak przez całoroczną kontrolę ojca naczelnika, który ilekroć zabrał się do czytania papierów pana Chocikowskiego, zawsze kochana małżonka zamykała mu takowe przed nosem, powtarzając: „nietrzeba się spieszyć Teofilu, jeszcze dość będzie czasu.“ — Zapowiedziany obiad odbył się podług ułożonego z góry ceremoniału: była zupa rumiana dla starszych, a prosty cieniutki rosół dla dzieci, były paszteciki roboty panny Kamilli, była pieczeń huzarska z pomocą także panny Kamilli przydymiona, była przyklapnięta legumina, którą Kazio drobnymi pazurkami w kuchni nadwreżył, i za to, jak mówił naczelnik, na miesiąc od stołu wydalonym został; była nakoniec czarna kawa także rączkami panny Kamilli nalana, wprawdzie z dwiema muchami, których zjawienie się o tej porze, wywołało półgodzinną dysputę, ale za to smaczna, prawdziwa mokka po 3 złt. funt od Krupeckiego.

Po obiedzie, pan Naczelnik także według zatwierdzonego ceremoniału udał się do swego pokoju czytać papiery obywatela, pani naczelnikowa nie

mogąc znosić zapachu cygara, a nie chcąc pozbawiać gościa téj przyjemności wyszła także do sypialni — pozostali więc w pokoju bawialnym panna Kamilla, której nerwy i płuca niczego bać się nie mogły, i pan Chocikowski niezbyt romansowy obywatel, który ani pojmował, a tém bardziej korzystał chciał z tego przypadkowego sam na sam. Ona siada przy zasłoniętym zieloną roletą oknie, on blisko niéj; serce Kamilki drży z obawy rozpocząć się mającej rozmowy, a prawdopodobnie i oświadczenia, on zaś opiera się jak może napadającym go co chwila ziewaniami, albowiem wedle przyjętego na wsi zwyczaju, radby przedrzymać się po obiedzie. Wreszcie gdy tak wyrazista, a milcząca konwersacya niepokoić zaczyna obywatela, mówi:

— Pani widać cierpisz na oczy?

— Przeciwnie, zupełnie mam wzrok dobry.

— Ale takie czerwone dzisiaj, może ze zmartwienia? (Panna Kamilla dla nadania im blasku za wiele natryskwała olejku cytrynowego).

— Och nie, chyba z powietrza; bo nie wystawisz sobie pan jakie to niegodziwe skutki wywiera na zdrowie miejskie zadymione i ciężkie powietrze. Jak jestem na wsi — (mówi już żywo, wpadłszy na wątek) wyglądam wcale inaczej. Przeszłego roku byłyśmy z mamą u ciotki prezesowej (dozoru kościelnego, przez dwa miesiące; i wie pan przez cały ten czas zajmowałam się sama jedną całą gospodarstwem: chodziłam do obory, do kurników, karmiłam indyczki, sadiłam rozsądę, bo nie myśl pan, żebym ja była taką warszawianką jak inne, które nie słyszały nigdy o gospodarstwie...

— Bardzo to pięknie ze strony pani, bardzo, o bardzo... kończy — ziewnąwszy ukradkiem.

— Tam na wsi, bliżej natury, serce inaczej pojmuje cuda stworzenia; tam wszystko każe się kochać, każe się uwielbiać.

— Czy i błoto? — wtrąca Chocikowski, puszczając gęsty kłęb dymu.

— I błoto nawet; dlatego ja myślę, że wszyscy mieszkający na wsi daleko lepiej czuć i kochać potrafią.

— Dziękuję pani imieniem obywatelstwa — odpowiada Chocikowski,

ale sędzę, że przeciwnie w mieście silniejszym jest to uczucie, namiętniejszém...

— Zgadłeś pan — mówi, spuszcżając oczy Kamilka, a bczkiem spojgładając na stojący obok duży zegar, na którym dochodzi czwarta. — Dla tego téż ja mogąca się policzyć w połowie do miasta, a w połowie do wsi...

— Jest pani zarazem czuła i namiętna, prawda?

— Jak pan umiesz czytać w sercach kobiet? — ciągnie powoli, pieszczotliwie panna Kamilla, i niby zakłopotana zdejmuje z palca i wkłada ów historyczny pierścionek z turkusem. — A pan do jakich się możesz liczyć?

— Niech pani raczy^a zgadnąć.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem... ale zdaje mi się...

Wtém uderza czwarta, słychać skrzyp otwierających się drzwi z pokoju naczelnika, panna upuszcza pierścionek, powstając z dąsem: to takie zaczarowane oczy pana!

— O całe pół godziny spieszą i ten i tamten! — woła, wpadając z najzakłopotaną miną szanowny radca, gdy tymczasem grzeczny obywatel podnosi pierścionek z posadzki.

Kamilciu pewnoś ruszała?

— Nie, jak tatkę kocham. Może Kazio albo Natałka, zaraz się do-wiem! — kończy wybiegając jak doletnia sarna.

Naczelnik nie zważając na gościa majstruje koło zegaru i mruży: — Otóż to miej dzieci; wszędzie ci wejda, wszystko ruszą, wszystkiego dotkną, zepsują... ja to chyba rozum stracę. Kaziu! pocoś tu ruszał zegar? — pyta z gniewem, wepchniętego przez siostrę chłopaczka.

— Ja nie, proszę papki.

— Nie, nie, ja wiem, jak to wy nie ruszacie; tak samo jakeś nie ruszał zęba Kamilci, jakeś nie złamał sprężynki...

Teofilu, — krzyczy, wchodząc na to zagniewana imość — nie plótlbyś trzy potrzy, wstydzilbyś się spędzać na dzieci; — źle idzie, bo stary klekot. Ach cóż pan kochany tak się spieszy! wszak to nie jest późno, bardzo pro-



w Lit. A Pecq & C^o w Warsz. 482

W Łoży. —



06

BIBLIOTEKA



Institute
No. 10952

szę usiądź pan jeszcze — mówi do zafrasowanego obywatela, który gniotąc w swęj dłoni pierścionek, nie wie co z nim zrobić.

— O musisz pan zostać na herbacie! — dodaje pan naczelnik pobudzony mrugnięciem żony.

Nie wiadomo, czy przestraszony tą prośbą Chocikowski, czy też z innéj przyczyny, zerwał się czémprędzej z krzesła, wziął kapelusz i nie słuchając molestowań obojga naczelnikostwa, wybiegł zatrzymując nieszczęśliwy pierścionek.

— Ale we środę pan przyjdiesz, albo jutro, pojutrze, kiedy pan wspomnieć raczysz o serdecznie życzliwych sobie przyjaciołach...

— Nie zaniedbam, służyć będę z największą przyjemnością — odpowiada jeszcze ze wschodów obywatel. A potem drzwi się zamykają, następuje mycie głowy naczelnika za ów ząb, a radość Kamilki wołającej z klaskaniem rączek: wziął mameczku, wziął, wziął... będę obywatelką, będę mieć swoje konie, swój powóz, swój dwór i swoich poddanych!!!

* * *

U państwa naczelnikostwa, w każdą środę bywały tygodniowe przyjęcia, podczas karnawału zmieniające się na wieczorki tańczące. Przyjęcia te, które pani naczelnikowa za zaszczyt bywającej młodzieży uważała, składały się z dwóch szklanek prusko-czerwonéj herbaty na osobę, z jednéj świeżéj bułeczki, jednegó precelka, bardzo przyjemnéj towarzyskiéj rozmowy, gier niewinnych, szczególniej pana pastora i pani pastorowéj, a jeżeli trafił się szczególniejszy dobór gości, a pani naczelnikowa zauważyła ich forsowną zabawę, około 11éj kazała podać wódkę z maleńką przekąską. Ale dzisiaj, inaczej się rzecz miała: naczelnikowa chciała wystąpić, a naczelnik pokazać przyszlému zięciowi, że zna się bardzo dobrze na opalaniu pieców i oświetleniu kinkietów. Zdjąwszy swój długi brązowy tużurek i nasadziwszy na nos okulary, od samego obiadu krzątał się na wszystkie strony, poprawiał w piecach, czyścił lampy, nalewał oleju, próbując czy do-

brze pójdzie. — Panna Kamilla podwoiła wszystkie dozy czynników chemicznych dla nadania sobie podwójnego wdzięku, zczesła długie na szyi opierające się nioby, których wypukłość zapełniła z wielkim uszczerbkiem wnętrzości materacowych; mama zaś kazawszy dzieci wymyć, uczesać i w nowe sukienki przystroić, jak na poważną matronę przystało, kolosalnych rozmiarów wdzięki swe, ubrała w jedwabny piernikowego koloru szlafroczek.

Chociaż te wszystkie przygotowania zaczęto od godziny 4ej z południa, jednakże gdy po 7ej zabrząknął dzwonek z przedpokoju, nie było nikogo coby mógł przyjąć nadchodzących gości. Krzyk, hałas, uciekania, towarzyszyły wejściu pani adwokatowej, która nie zważając na nieobecność gospodarstwa, usiadła sobie na środku kanapy i zaczęła robić przyniesioną pończoszkę. W godzinę zapełnił się salon naczelnikostwa: starsze damy obsiadły prezydyonalny stolik opatrzone dużą słoneczną lampą, dzieci zaczęły się plątać koło nóg mężczyzn, między którymi widzimy z desperacką miną Stolarskiego i kolegę jego z galeryi.

— Pan Sumkiewicz kolega mój uniwersytecki, odzywa się aplikant korepetytor, przedstawiając naczelnikowej przybyłego.

— Czy z gimnazyum? — pyta, przymrużając oczy gospodyni domu.

— Nie pani, ze szkoły powiatowej.

— Ach jaka to szkoda, odzywa się naczelnikowa, właśnie od wakacyj mamy oddać Kazia do gimnazyum, miałby opiekę w osobie pana profesora.

Tymczasem Stolarski siada obok panny Kamilli i zaczyna ją bawić rozmową o literaturze, którą ona tak bardzo ukochała. Lecz dzisiaj najpiękniejsze ustępy poezyi Mickiewicza nie robią żadnego wrażenia na sercu naczelnikówniej, wstaje co chwila, przyłącza się do innėj gromadki, gdzie obywatel rozmawia, a pan Stolarski jako cień zemsty goni i przesładuje delikatne jēj uszy, czy Chatą za wsią Kraszewskiego, czy ślicznym ustępem Dziadów, lub zwrotką ze śpiewek Bogdana.

Jeszcze nie zdołał naczelnik przygotować stolików do preferansa, gdy silny brzęk dzwonka, oznajmił przybycie nowego gościa.

— Cóż u Pana Boga tak dzwonić gwałtownie! mruczy sobie, odsuwając zasuwkę, a zobaczywszy obdartego izraelitę, podającego mu zapieczętowany bilecik, nie chce go przyjąć mówiąc: w biurze, w biurze.

Niech Wny naczelnik przeczyta!

Jutro...

— Jabym radził teraz, takie wielkie szczęście..., odpowiada wsunawszy się do przedpokoju.

Naczelnik odrywa pieczętkę, czyta, przeciera oczy, otwiera usta i jeszcze raz czyta, i staje przerażony.

— Co to takiego, Teofilu? — pyta wbiegając na to pani naczelnikowa w towarzystwie sześciorga drobiazgu.

Naczelnik oniemiał.

— Teofilu! na rany Boskie co się to stało?

Naczelnik tylko ustami porusza, nie wydając głosu. Wyrzywa mu więc z ręki ów bilet, czyta znowu po kilka razy, i tak samo oniemiała staje z otwartymi usty.

Mamo, co to jest? — krzyczą naraz przestraszone dzieci.

— Mamo! — woła przybiegając na ten hałas Kamilcia.

— Szczęście córko moja! — zdołała przemówić naczelnikowa i porywa w swe objęcia ukochaną córkę. Naczelnik robi to samo z Kaziem, Kazio pada do nóg mameczce, Natalcia, Józia, Rózia, Marynia i Filipcio krzyczą na całe gardło: szczęście, szczęście! i tak gromadnie prowadzą się do sali.

— Teofilu mów! Teofilu na miłość Boską uwiadom łaskawych gości, bo ja zemdleję, bo serce mi pęknie z radości...

Teofil tedy pociągnawszy oba kołnierzyki, odchrząknawszy i zażywszy tabaki, chwycił się oburącz stołu, gdy zadziwione towarzystwo płci obojęd powstało, czekając wiadomości.

— Wielkie szczęście — mówi naczelnik — wielki los padł na polowę...

— Czyją tateczko, czyją? — pyta, szarpiąc go za surdut Kamilcia.

— Twego ojca moje dziecko — będziecie szczęśliwi!

„Wielmożni panie Naczelniku! -- czyta głośno z rozpromienioną twarzą córeczka.

„Niech ja pierwsze powinszuje Wielmożne naczelniku wielkiego los „jaka na Nr. 16,303 w moim kantorze dzisiaj upadła.

Dawidberg, kolektor.

Krzyk, hałas, winszowania, tańczenia, całusy nie mają granic po takim oświadczeniu. Mama dobrodziejka z zapłakanymi oczyma, drżącą ręką wydobywa portmonetkę z kieszeni i pierwszy dziesięciorublowy papierek idzie na wynagrodzenie żydka posłańca, drugi na kupno wina szampańskiego, a reszta drobniej monety na gratyfikacją dla dzieci, którzy ją w mgnieniu oka rozdrapują.

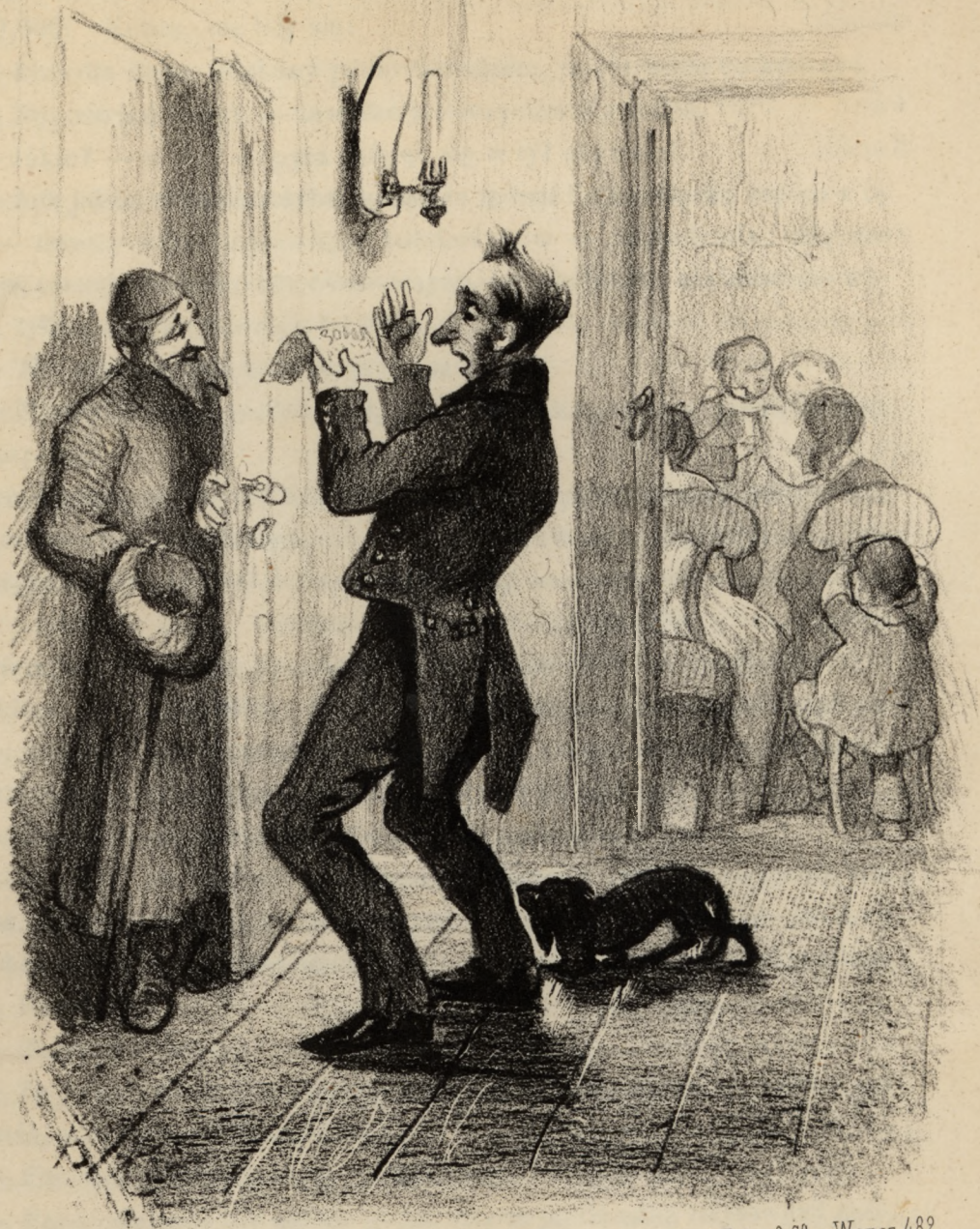
Opisać co się tam podówczas działo, zrozumieć te lataniny, krzyki, uściski, płacze; przeniknąć chaos myśli, projektów i marzeń, jakie tysiącami przebiegały serca i głowy uszczęśliwionych, trzeba albo samemu wygrać wielki los na połowę, albo być klientem w kantorze OO. Bonifratrów. My to tylko możemy powiedzieć, że o gościach zupełnie zapomniano, że woźny biura pana radcy, pełniąc obowiązki lokaja przewrócił się z tacą na środku równego pokoju i rozlał herbatę, potłukł szklanki i podstawki, że pani naczelnikowa zgubiła grzebień od włosów, Kazio zrabował cały zapas sucharków, pannie Kamilli odpiął się warkocz i sznurówka pękła; a naczelnik w przystępie radości, spalił całą księgę z rachunkami drzewa i za okno wyrzucił termometr.

W godzinę, kiedy się nieco uspokoiło, a cztery butelki szampańskiego wina stanęło na prezydyonalnym stoliku, pani naczelnikowa zaczęła coś szeptać do ucha swemu Teofilowi, ten kiwał głową uśmiechając się rozkosznie, a potem wzięwszy pod rękę pana Chocikowskiego wyszedł z nim do swego pokoju.

— Panie dobrodzieju, mówi mu do ucha, no czy chcesz teraz!

— Nie wiem czego?

— Ot figlarz z pana, odpowiada, klepiąc go po ramieniu naczelnik, po



w Lit. A. Pécq & C^o w Warsz. 462.

Niech W^y Naczelnik psieczyta !?

BIBLIOTEKA



Instytut

10952

co to się w baranią skórę obszywać, a potem ciszej: Kamilei przeznaczona żona 50,000! Kończ, nie bój się!

— Ależ dla Boga, kochany panie naczelniku, ja nie wiem co kończyć...

— No, oświadczyń! — zawołał już rozgniewany radca.

— Jakże? — o co? — pyta cofając się w tył obywatel.

Ach jakże ci panie trzeba wyraźnie mówić! kara Boska czy co z tą żoną; — mruży sobie poprawiając kołnierzyków — powiedziała: idź, zawołaj go, ośmiel, niech kończy oświadczyń, on wie jakie, nie mów mu wyraźnie... tylko, że Kamillee daję 50,000...

— Nie wiem, słowo honoru daję, nie wiem.

— No widzisz bo i ja nie wiem, kara Boska z tą żoną... czekajże, pójdę się zapytać...

Tymczasem w sali oczekiwano niecierpliwie pokazania się naczelnika: woźny oderwawszy druciki przytrzymujące korek butelki z szampanem, całą siłą żyłastej ręki opierał się eksplozy, a pani naczelnikowa, będąc pewna skutku poselstwa męża, każdemu z gości mówiła do ucha:... za jednym szczęściem pójdzie drugie, będziecie świadkami oświadczyń Obywatela Chocikowskiego o rękę Kamilei. Kiedy więc naczelnik otworzywszy drzwi zawołał: „żono!“ woźny puścił rękę, korek puf i nastąpiła winna fontanna, przed którą kobiety zaczęły uciekać, kryjąc się za krzesła.

— Żonusi! on nic nie wie! — szepcze naczelnik.

— A jakież on nudny!... Panie Chocikowski, proszę, czego się pan żenujesz, odzywa się ciszej prowadząc go za rękę. Przedstawiam państwu pana Chocikowskiego, właściciela dóbr ziemskich, a naszego przyszłego zięcia... Kamilciu...

— Za pozwoleniem!

— Za pozwoleniem! — wyrrywają się naraz dwa okrzyki, jeden z ust obywatela, a drugi z ust Stolarskiego...

— Pani naczelnikowa raczy mi darować...

— Panno Kamillo tak się nie godzi, szepce jój do ucha zirytowany aplikant.

— Nalewaj gapiu kieliszki! — krzyknie, tupając nogą pani naczelnikowa.

— Ależ uwolnijcie mnie państwo! — woła, wyrывая swą rękę obywatel. — Dość tych żartów, ja nie mam żadnej pretensyi do ręki panny Kamilli.

— Pani chcesz mojej zguby, szepcze wciąż odpychającej go panience Stolarski.

— Jakto? — krzyknie z całą zajadłością naczelnikowa, — nie masz pan pretensyi? nie masz pan pretensyi, a pierścionek?

— A pierścionek? powtórzyła także zagniewana Kamilia.

— Widzę tu jakiś podstęp czy pomyłkę moi państwo; o pierścionku nie wiem...

— I możesz pan być tyle zuchwałym, i możesz pan zaprzeczyć, żeś nie wziął od Kamilci pierścionka z turkusikiem w niedzielę, co?

Stolarski załamuje ręce, gdy uśmiechnąwszy się obywatel odpowiada spokojnie.

— Podniosłem go z podłogi... nie więcej, a że panna Kamilla wyszła z pokoju, nie miałem czasu zwrócić go...

— Więc pan nie chcesz, co nie chcesz mimo głównej wygranej, mimo pięćdziesięciu tysięcy?

— Nawet mimo wszystkich wygranych całego świata, dajcież mi państwo pokój, jam od dwóch tygodni zaręczony...

Stolarski trącając łokciem kolegę profesora, zaciera ręce od radości.

— Więc oddaj pan pierścionek! — krzyknęła Kamilia.

— Oddaj pierścionek! — powtórzył chór dziatwy.

— Teofilu oddaj papiery, natychmiast, oddaj, oddaj, oddaj! nie potrzebujemy, obejdziemy się...

Odurzony tym wrzaskiem Chocikowski, szuka w kieszonkach kamizelki ciężkiego zakładu miłości panny Kamilli, a tymczasem posłuszny małżonek wtyka mu pod pachę zwitek papierów. Goście pokładają się od śmiechu,

mężczyźni szukają kapeluszy i lasek, a pani naczelnikowa jeszcze do przedpokoju goni obywatela.

— Weź pan swoje pięć rubli za lożę, weź pan nie potrzebujemy żadnej łaski, żadnej grzeczności...

* * *

Po weselu bywa smutek, a po smutku znowu wesele; otóż to samo się przytrafiło w domu naczelnikostwa. Na drugi dzień albowiem, ledwie że słońce pokazało się na niebie, już pani naczelnikowa włożywszy aksamitny kapelusz na głowę i najlepsze futro na ramiona, pędziła do kantoru pana Dawidberga po odbiór wygranej. Lecz jakież było zdziwienie kolektora, a rozpacz pani wygrywającej, gdy się przekonano, że Nr. 16,403 wcale nie wylosowany, a kolektor do listu wczoraj odebranego, przyznać się nie chciał. Wstyd, zawód, boleść i żal opanowały czułe serce naczelnikowej, musiała najać dorożkę, by dostać się od domu, a co tam się działo po jej przybyciu, nie potrzebuję opisywać. Niczego już tak nie żałowano, jak dziesięciu rubli dla żyda oszusta, drugich dziesięciu na wino i pięciu zwróconych obywatelowi, bo co się tyczy drobniej dla dzieci gratyfikacji, ta leżącym jeszcze w łózkach skwapliwie odebraną została.

Napróżno przez kilka tygodni śledził naczelnik sprawę owego boleśnego figla, napróżno sprawdzał pismo tego listu, z pismem wszystkich referentów i kancelistów swego biura, nic nie pomogło, tajemnica przepadła jak kamień w wodzie. — Tylko w dwa miesiące potem, Stolarski, jako podpisarz Sądu Pokoju i narzeczony panny Kamilli, w handlu Wolfina ścisnął i całował przyjaciela profesora na wszystkie boki i stawiał butelkę za butelką szampańskiego wina, ale za co i dlaczego? — domyśl się czytelniku.

W. Wilezyński.

OD REDAKCYI.

W statystyce miasta naszego umieszczonej na początku szkicu pod tytułem *Dowcipniś Warszawski*, zapomnieliśmy o jednej bardzo ważnej pozycji — nie zapisaliśmy tam ilu Warszawa mieści w sobie *znawców*. Teraz trudno już naprawić owo mimowolne zaniedbanie; dokładne zliczenie ludzi należących do téj kategorii zawiełoby nam ujęło czasu, zwłaszcza, że znawcy stanowią najznaczniejszą może część ludności warszawskiej.

Niebraknie ich i na prowincji, ale w każdym razie Warszawę obrali sobie oni za główne siedlisko i tutaj promieniują się w całej chwale swojej.

Lecz cóż to jest *znawca*?

Dziewiętnasty wiek ma tę specjalność, że każdy w tym wieku urodzony, uważa się za ucywilizowanego i wykształconego we wszystkich gałęziach nauk, sztuk i wiadomości ludzkich.

Wszakże prawo nikomu prawie nie jest obcym, i każdy rozprawia o nim, rozbiera go, krytykuje.


Toż samo z medycyną. Wszyscy ludzie są doktorami, każdy ma swój systemat, radzi innym i leczy ich, ale broń Boże sam siebie; gdy bowiem zapadnie w słabość, zaraz przyzywa lekarzy, własne bowiem jego zdrowie wydaje mu się zbyt drogiem, żeby na niem *experymentu* miał robić.

Któż nie zna ekonomji politycznej, i któż nie rezonuje o niej! Nie zliczyłby nikt każdodziennie tworzonych projektów o podniesieniu bytu krajowego, zwiększeniu dochodów, ulżeniu podatków i t. d.



w Lit. A. Pecq & C^o & Warsz. 432.

(Znawcy)
„Ma talent... ale farby ordynarne!”

BIBLIOTEKA  国会図書館
Inventory No. 10952

Polityka i prawo narodów są także wrodzonymi każdemu naukami, i gdyby tylko chcieć zaciągnąć zdań szczegółowych, to kandydatów na pierwszych ministrów i posłów, znalazłoby się po kilku na każdym piętrze, każdego domu w Warszawie.

I filozofówby nie zliczył, i moralistów także, a o teologach to nawet ani już mówić.

Ale pomimo ogromnej liczby znawców powyżej wymienionych, najwięcej jednak jest takich, którzy się znają na literaturze i sztukach pięknych, na muzyce i malarstwie w szczególności.

Tutaj każdy uważa się za krytyka z powołania, bo cóż to szkodzi krytykować, a w każdym razie dowodzi to pewnej wyższości umysłowej i znawstwa.

Owóż proszę zebrać rzucone tu i owdzie zdania o książkach i obrazach, dziwnych tam się rzeczy nasłuchaćby można.

Wielki miał rozum Lafontaine, kiedy pisał znaną bajkę o młynarzu, synu jego i osle; zastosowanie bowiem tej bajki co chwila ma miejsce.

Literat, któryby chciał zbierać różne dawane sobie rady i do nich się stosować, nie potrafiłby napisać ani jednej literki; malarz rzuciłby w kąć pędzel i ołówek, jako do niczego już nieprzydatne.

Na próbkę możemy przytoczyć niektóre z mnogich listów, jakie otrzymaliśmy podczas wydawania tej pierwszej serji szkiców i obrazków. — Za autentyczność ręczymy.

Do Redakcji Szkiców i Obrazków.

To się tak niegodzi, moi panowie. Zapowiadacie nowe dzieło i tytuł sam dowodzi, że to powinno być coś wesołego, lekkiego, słowem humorystycznego. A z czegoż tu się śmiać? Jakież tam obrazy, nibyto charakterystyczne, żadnych conceptów, żadnych dowcipów, nic zgoła. To nudne. I w rysunkach to samo, żadnej cechy tych dowcipnych karykatur, w których

takiemi mistrzami są francuzi. Na miłość Boską poprawcie się i rozweselcie, bo wasze wydawnictwo przepadnie. To moja szczerza rada, a rękę, że wszyscy tak samo myślą. Zostaję i t. d.

Szanowny Panie Redaktorze!

Cóż wy czynicie, zabijacie wasze pismo? Czyśmy francuzami, żeby nam dawać karykatury i sadzić się na koncepta? To niegodne literatury polskiej. I poco litografje piórkowe, nie przyzwyczajeniśmy do tego, i zawsze to niezgrabnie wygląda. Coś nakształt szkolnych próbek. Dajcie pokój z konceptami i karykaturami, bo podług zdania ogólnego, musicie upaść tak dalej postępując.

Kochany Artysto!

Tego zaślepienia nie spodziewałem się po tobie: zaczęłeś piórkami i było wybornie, a teraz widzę przechodzisz do bazgroł kredowych. Kredą każdy potrafi robić, ale piórkami to właśnie chluba, pierwsze szkice były wyborne, teraz same miernoty. I poco robić portrety znajomych osób, nam nie portretów, ale typów trzeba. Jeżeli za moją szczerą radą nie pójdiesz, stracisz zupełnie reputacyą, rękę ci za to.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Przepraszam, że się śmiem panu z mojem zdaniem narzucać. Zaprenumerowałem Szkice i Obrazki, ale muszę się panu wyznać, że oczekiwanie moje najzupełniej zawiedzioném zostało. Ja się tam spodziewałem spotkać znajome osoby; owe fizjonomje, które interesują każdego. A panowie nam dajecie jakieś *ideały*. To się niegodzi tak zawodzić publiczne oczekiwanie. Przecież możnaby tego lub owego dowcipnie skarykaturować, czyby to się kto gniewał za to? Owszem, każdy z portretowanych byłby kon-

tent, sądząc, że jest znakomitą osobą, ponieważ piszą o nim i litografowane konterfekta umieszczają. Masz pan czas jeszcze, zrób tak jak radzę, a ręczę że Szkicom i Obrazkom mnóstwo przybędzie prenumeratorów.

Szanowny Panie!

Ostrzegam, że jeżeli jak głoszą mój portret będzie w Szkicach umieszczony, będę zmuszonym wymagać od każdego z panów satysfakcyi. A nawet chociażbym miał być odwrócony tyłem jak pan *** to ja się i z tyłu poznam. Mam zaszczyt etc.

Panie Wydafco Szkicuf i Obrazguf!

Pan-Juzef kochał się we mnie i przysiengął, że on się ze mnom złonczy. A tera od kfartału nie zayżał, a tylko z pannom Justiną romansuje. Niech pan bendzie łaskaf poprosi odemnie pana malaża, co on ma wymalować w szkicach i obraskach, pana Juzefa i pannę Justinem, coby śmieli się wszyscy znajomi. — Ja za to bende wdzienczna i przysyłam tszy ruble na prenumeratem szkicuf i obrazguf. Pan Juzef ma czerwone faworyty, a panna Justina brodafkę na lewym ramieniu. To bendzie bardzo śmiszne i kupować bendo.

Do Panów Redaktorów Szkiców.

Słyszałem, że macie zamiar skończyć na pierwszej serji. Byłoby to bardzo źle, bo u nas trzeba koniecznie, żeby dzieło się przyjęło, rozpowszechniło; z początku jest nieufność, która z czasem musi ustać, zwłaszcza, że widoczne czynicie postępy. W ostatnich numerach i szkice i rysunki lepsze. Niech tylko pójdzie tak dalej, a ręczę wam, że druga serja mnóstwo mieć będzie prenumeratorów. Tylko nie ustawajcie w pracy. Obrazkom mam to do zarzucenia, że niektóre postacie, zwłaszcza te, które naprzód

WYDANO



występują, są za bardzo wykończone, wylizane. Tak być nie powinno. To przecież tylko szkice, trzeba się trzymać prospektu, publiczność pragnie rysunków lekko i śmiało rzuconych na papier. A wydawajcie drugą serję ręczę wam za powodzenie. — Życzliwy

Szanowny Panie Wydawco!

Nie wiem jak tam na pierwszej serji Szkiców i obrazków wyszedłeś, może być że dobrze, bo każda nowość bawi u nas. Ale nie radzę ci drugiej serji rozpoczynać, bo możesz na pewne tylko straty rachować. Dla naszych czytelników, trzeba koniecznie zawsze coś świeżego; co tylko trwa pół roku, to już stare i nudne. Szkice i obrazki mogłyby pójść jeszcze byleby zmienić tylko tytuł i format. Na tych samych zaś co dotąd warunkach nie radzę wydawać dalej, a możesz mi wierzyć, że znam się na tém. Ale, ale zrób Pan uwagę malarzowi, żeby chociaż w ostatnich szkicach popracował trochę nad figurami. Tak lekko tych rzeczy traktować nie można, nie dość jest zrobić kilka kresiek, i namazać z grubego tła. My chcemy czegoś więcej. — Szczególniej figury na pierwszym planie niech będą starannie wykończone, to właśnie główna zasada w pracach tego rodzaju, a ja znam się na tém. I text był w pierwszych numerach do czegoś przynajmniej podobny, teraz nudnieje widocznie. A drugiej serji nie wydawajcie, albo zmieńcie tytuł.

Życzliwy

A teraz pozostaje nam przeprosić łaskawych na nas krytyków i korespondentów, żeśmy się poważyli objawione przez nich zdania podać do wiadomości publicznej. Uczyniliśmy to jedynie dla tego, ażeby wydawcy, którzy mają zamiar przysłużyć się publiczności nową jaką publikacją, wiedzieli *czego się trzymać*, jeżeli zapragną uczynić zadość żądaniom ogółu.





w Lit. A. Pecq & C^o w Warsz. N^o 482

Finis coronat opus.



WARSZAWSKI EKZEMPLARZ

na

SKRICE I OBRANKI

Przytę i składowe się bydła z korytów 12. Opisać w Warszawie
wielką uwagę zwołanie do R. 2. albo przy obywatelach:

Wzrost 12 R. 1

Wzrost 12 R. 1

Wzrost 12 R. 1

W powiecie przysięgi przynależne do R. 2. Skrytka i Skrytka
Przebieg do R. 2. za Skrytka. Przemysłowców i Skrytka od-
powiedzi Skrytka w Skrytka, Skrytka za Skrytka R. 2. Skrytka
Wzrost Skrytka i Skrytka przy Skrytka Skrytka

Wydrukowano w Warszawie w drukarni
Księgarni i Drukarni (ul. Miodowa) 1827 roku.
Droga Kasa i Skrytka.

WARUNKI PRENUMERATY
na
SZKICE I OBRAZKI.

Serya I składać się będzie z zeszytów 12. Opłatę w Warszawie można uiszczać całkowicie po Rsr. 3, albo przy odbiorze:

zeszytu	1 ^{go}	Rsr.	1
"	3 ^{go}	"	1
"	6 ^{go}	"	1

Na prowincyi przyjmują prenumeratę wszystkie Urzędy i Stacje Pocztove po Rsr. 3 za Seryę, Prenumeratorowie z Cesarstwa odbierający Gazety w kopertach, mogą za nadesłaniem Rsr. 3 otrzymywać Szkice i Obrazki przy tychże Gazetach.

Wolno drukować,
w Warszawie dnia 28 Maja (9 Czerwca) 1857 roku.
Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański*.





Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472742